www.tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 20 (1114)
10-16.05.2021
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Andrzej Celiński
Przestępcy zamiast wielkiej zmiany

Prof. Lech Mażewski
Zamach majowy i upadek sanacji

Świat szczepi dzieci na covid

Indie – płoną stosy

PAPIEŻ FRANCISZEK O BISKUPACH:

KARIEROWICZE ZAŚLEPIENI BOGACTWEM HIPOKRYCI

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
20 >
9 771509 311102

Kraków

bunkier sztuki

KRZYSZTOF PENDERECKI

Partytura i ogród
The Musical Score and the Garden

Kwiecień – wrzesień 2021
April – September 2021
Otwarcie wystawy | Exhibition opening 27.4.2021

Bunkier Sztuki
Galeria Sztuki Współczesnej
Gallery of Contemporary Art

Rynek Główny 20

www.bunkier.art.pl

Beata Stankiewicz, Krzysztof Penderecki, 2020–2021, olej, flamaster wodny / płótno | oil, water marker / canvas, 100 × 70 cm, Kolekcja MOCAK-u | MOCAK Collection

GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ BUNKIER SZTUKI — INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA | BUNKIER SZTUKI GALLERY OF CONTEMPORARY ART — A CULTURAL INSTITUTION OF THE CITY OF KRAKOW

Pałac Potockich

WSPÓŁORGANIZATOR WYSTAWY
EXHIBITION COORGANISATOR
MOCAK

WSPÓŁPRACA
COOPERATION
EUROPEJSKIE CENTRUM MUZYKI KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

PATRONAT
PATRONAT
AKADEMIA MUZYCZNA W KRAKOWIE

PATRONI MEDIALNI
MEDIA PATRONS
TVP KULTURA
Classic
wyborcza
onet
POLITYKA
Portal
PRESTO
NIEZŁA SZTUKA

eprasa.pl 829cbd8022

Jerzy Domański

Miliard na Dudę

Na poparcie Polaków dla hasła „kasa, misiu, kasa" można zawsze liczyć. Pod tym względem polegać na nich można bardziej niż kiedyś na Zawiszy. Jak wyborcy słyszą, że Unia Europejska dużo da i jeszcze więcej pożyczy na bardzo korzystnych warunkach, to myślą: trzeba brać. W tej sprawie nic się nie zmieniło od czasów tego premiera, który nasze relacje z Unią sprowadzał do sprytnego „wyciskania brukselki".

Stawanie w poprzek tym nastrojom większego sensu nie miało. Na dodatek groziło znalezieniem się we wspólnym bloku z Ziobrą i konfederatami, którzy za wszelką cenę chcą zatrzymać głębszą integrację Unii, a głosowanie za europejskim Funduszem Odbudowy uważają za duży krok ku federalizacji. I tu akurat mają rację. Problemem nie było więc, czy nasz parlament poprze fundusz, bo to było oczywiste, chodziło o warunki, na jakich opozycja wesprze mniejszościowy rząd Kaczyńskiego. Wynegocjowanie tych warunków i zbudowanie wspólnego bloku opozycji prounijnej nie było zadaniem tak trudnym jak zdobycie K2 zimą, niestety przerosło jej liderów. Wszystkich. Ale najbardziej tych z Koalicji Obywatelskiej. Mizerotę reprezentantów KO, Lewicy i PSL widzieliśmy później w mediach, które, zwłaszcza te pisowskie, z lubością pokazywały walki polityków w błocie. I wzajemne obrzucanie się głupawymi epitetami.

PiS dostało od opozycji podwójny prezent. Poparcie rządu za czapkę gruszek i darmowy materiał o skłóconych rywalach. Na kolejne wybory będzie jak znalazł.

Po sześciu latach rządów dojnej zmiany nawet jej wyborcy wiedzą, że nie ma takiej kasy, której by nie potrafiła przekręcić. Dodatkowe mechanizmy kontrolne, którymi chwali się Lewica, nie są takimi bezpiecznikami, których PiS nie będzie umiało obejść. A liczenie na unijne mechanizmy kontrolne to tylko ładnie opakowana ułuda. PiS i jego przystawki, z partyjką Ziobry włącznie, wyciągną z tego funduszu tyle, ile się da.

W Polsce podejmowane są strategiczne decyzje. A człowiek, którego utrzymanie wraz z dworem urzędników kosztuje krocie i dawno przekroczyło miliard złotych, nie bierze w tym udziału. Andrzej Duda najlepiej wypada w roli konferansjera, który na początku kolejnych spotkań wymienia z funkcji prawie wszystkich, do których za chwilę przemówi. I rzuci garść powtarzalnych banałów. Jak wielkie są ograniczenia intelektualne Dudy, można było zobaczyć w czasie uroczystego posiedzenia parlamentów Polski i Litwy z okazji 230. rocznicy Konstytucji 3 maja. Przy prezydencie Litwy Duda wypadł tak blado, że wstyd było słuchać.

BĄKOWSKI

CYTATY

PROF. EWA ŁĘTOWSKA, prawniczka
Banki same sobie reputację zepsuły. Świadczą o tym masowe powództwa.
„Rzeczpospolita"

PROF. WIESŁAW ŁUKASZEWSKI, psycholog
Pora zacząć promocję harówki. Jeśli zaś nauczymy się harować, docenimy innych, którzy też harują.
„Charaktery"

eprasa.pl 829cbd8022

W NUMERZE

KRAJ

8 **Kościół bez liderów, bez wizji**
Biskupi są głównym źródłem kryzysu Kościoła

12 **Kto nam ukradł marzenia?**
– rozmowa z Andrzejem Celińskim

16 **Świat zaczyna szczepić dzieci przeciw COVID-19**
Jak wypadamy na tle innych

18 **Gwałt po polsku**
– rozmowa z Mają Staśko

22 **Transakcja pozorna**
Policjanci na ławie oskarżonych

WOJSKO

24 **Krew w piach**
Żołnierze NATO wychodzą z Afganistanu

ZAGRANICA

27 **Ręce pełne roboty**
Pracowita administracja Bidena

30 **Niezatapialni**
Palestyna – konsolidacja władzy

32 **Indie płoną**

34 **Jak wyleczyć Afrykę?**
Ebola i druga fala covidu

36 **Okruszki imperium**
Spór o wyspy Czagos

38 **Niespełnione obietnice recyklingu**
Koszt odzyskiwania metali rzadkich

HISTORIA

42 **Rokosz zwany zamachem majowym**
Narodziny i upadek sanacji

KULTURA

46 **Zgłosił się…**
Bronisław Cieślak (1943-2021)

48 **Sławek**
Człowiek wielu talentów

50 **Qulturalia**

66 **Marta Rynkiewicz**
Gdzie wszystko można, nic nie trzeba

SPORT

52 **Szachowe nierówności**
Czy szachistki są słabsze od szachistów?

EKOLOGIA

54 **Stracone gatunki**
Grzechy wobec przyrody

ZDROWIE

58 **Zepsuta ryba**
Tajemnicze przypadki medyczne

60 **Soki – na zdrowie!**

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Miliard na Dudę

21 **Jan Widacki**
Jestem symetrystą

41 **Andrzej Romanowski**
Czarna noc Czarnkowa

45 **Roman Kurkiewicz**
Na samym początku i końcu – Hel

51 **Tomasz Jastrun**
Chłopcy rozłamowcy

57 **Wojciech Kuczok**
Czytaj, chamie

24
WOJSKO

KREW W PIACH
Żołnierze NATO wychodzą z Afganistanu

INDIE PŁONĄ

32
ZAGRANICA

46
KULTURA

ZGŁOSIŁ SIĘ…
Bronisław Cieślak (1943-2021)

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

eprasa.pl 829cbd8022

Maj – klasówek szał

Prawda jest taka, że większość nauczycieli nie rozumie tego, żeby dać dzieciom spokój. Wczoraj byłam w komisji egzaminacyjnej na maturze. Mówiłam, że nie zamierzam nic a nic sprawdzać, ani kartkówek, ani niczego, po prostu w miłej atmosferze postaram się pobawić z nimi językiem angielskim, może jakieś filmiki, gry, zabawy, bez tzw. spiny. Patrzyli na mnie jak na dziwaka.

Maturzysta powiedział, że nawet nie zdążył zżyć się ze szkołą, w sumie nie ma żadnych odczuć w stosunku do niej i kolegów. Biedaki, siedzieli wystraszeni i próbowali coś pisać, strasznie smutny widok. Moje dziecko, gdy się dowiedziało, że idzie do szkoły i trzeba spakować plecak itd., dostało ataku paniki, a ono ma przecież 100% wsparcia. Co z resztą dzieci?

Katarzyna

Powrót analfabetyzmu

Dzieci uczą się głównie dwóch rzeczy: „jak ty nie zrobisz projektu grupowego, to nikt go nie tknie" albo „a po co mam robić coś przy projekcie, kujony zrobią". Poza tym młodzież powiela to, czego nauczyła się od wszystkowiedzących rodziców, przez co wszelkie zachowania społeczne, relacje i odczucia są spaczone. Dzieci, które były wychowywane z szacunkiem i miłością, przejmują złe wzorce od rówieśników, by przetrwać, a nauczyciele nic na to nie mogą poradzić – bądź nie chcą się w to mieszać przez wspomnianych wszystkowiedzących rodziców. Kiedyś lano kijem za złe oceny, dzisiaj rodzice idą do dyrektora, mówiąc, że nauczyciele nic nie potrafią, a dziecko niewinne.

Karolina Maszczyk

657 lat Uniwersytetu Jagiellońskiego

Warto przypomnieć, że 12 maja 1364 r. została powołana wszechnica krakowska – Uniwersytet Jagielloński w Krakowie. Powołał tę uczelnię Kazimierz Wielki, który sam nie umiał ani czytać, ani pisać, co nie przeszkodziło mu zostać jedynym królem Polski z przydomkiem Wielki. Otaczał się wykształconymi doradcami i współpracownikami, którzy wykształcenie zdobywali na uniwersytetach w Bolonii i Padwie. W tej części Europy uniwersytet w Krakowie był drugą po praskiej wszechnicą naukową – symbolem cywilizacyjnego awansu Polski.

Elżbieta Więckiewicz-Kwiatkowska, Zabrze

Socjaldemokracja to nie neoliberalizm z ludzką twarzą

Kiedyś hasłem polskich socjalistów było: o wyzwolenie narodowe i społeczne. W 1918 r. nastąpiło wyzwolenie narodowe, ale nie społeczne. Po II wojnie światowej zaś nastąpiło ograniczenie suwerenności narodowej, ale przy dużym postępie w wyzwoleniu społecznym. Po 1989 r. mieliśmy znów regres w sferze sprawiedliwości społecznej przy jednoczesnym pełnym wyzwoleniu narodowym. Historia lubi się powtarzać.

Eugeniusz Sawicki

•

Nigdy wcześniej nie było tak bardzo potrzebne hasło „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się". Nikt o tym nie mówi, bo hasło jest mocno skompromitowane, ale zamykanie się w narodowych opłotkach w globalnej gospodarce jest groźne. Śmiertelnie groźne.

Iwona Kujawa

ZDJĘCIA TYGODNIA

25-letnia Malijka Halima Cisse jako pierwsza na świecie urodziła dziewięcioraczki – pięć dziewczynek i czterech chłopców. Poród odbył się przez cesarskie cięcie w prywatnej klinice w Casablance w Maroku. Podobno mama i dzieci czują się dobrze i za kilka tygodni będą mogły wrócić do domu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 829cbd8022

Fundacja ClientEarth pozwała firmę Synergio SA, jednego z największych producentów ekogroszku, za nieuczciwe praktyki rynkowe. Zarzuca Synergio SA, że opakowaniem ekogroszku stwarza wrażenie, że jest to produkt ekologiczny i inny od zwykłego węgla. W rzeczywistości to produkt bardzo obciążający środowisko, a problem dotyczy nie tylko jednej firmy, ale całej branży.

Monika Śladewska, Wołynianka, żołnierz 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK i 10. Dywizji Piechoty 2. Armii Wojska Polskiego, związana z Wrocławiem, niezłomna strażniczka pamięci o Kresach Wschodnich, autorka wielu artykułów i komentarzy o ludobójstwie OUN-UPA, **skończyła 96 lat. Ad multos annos.**

271 tys. uczniów ukończyło w kwietniu naukę w liceach i technikach.

Kwota ponad 3,2 mld zł zostanie przeznaczona na budowę, przebudowę i remont 2,1 tys. km dróg powiatowych i 1,8 tys. km gminnych. Największe wsparcie otrzymają lokalne drogi w województwach mazowieckim, lubelskim i w Wielkopolsce.

Lech Borzemski, prowadzący kancelarię notarialną we Wrocławiu, został **nowym prezesem Krajowej Rady Notarialnej.**

Od początku pandemii w Polsce infekcję koronawirusem potwierdzono u 2 824 425 osób, z których 69 445 zmarło (stan na 7 maja).

Tylko 1035 mieszkań oddały gminy do użytku w 2020 r. (GUS). To najgorszy wynik od 1990 r. W 95% powiatów nie rozpoczęła się budowa ani jednego mieszkania komunalnego.

W składzie Krajowej Rady Sądownictwa są i tacy członkowie, którzy nie mają żadnych hamulców przed powiększaniem swojego konta. Wydatki na diety wzrosły z 2,7 tys. zł w 2019 r. do 122,9 tys. zł w 2020 r.

Jarosław Berendt, burmistrz Wągrowca pod Poznaniem, ma jakiś problem z wychowaniem seksualnym dzieci. Nie tylko patronował egzotycznemu marszowi „Seksedukacja to deprawacja", ale też maszerował na jego czele. Któż go tak zdeprawował?

Marcin Zabłudowski, były szef Młodzieży Wszechpolskiej na Podlasiu oraz kierowca Adama Andruszkiewicza, byłego szefa tej organizacji i kuriozalnego wiceministra cyfryzacji (!), **dostał fuchę w państwowej spółce Aranda, której właścicielem jest Agencja Rozwoju Przemysłu.** Jest członkiem rady nadzorczej od usług w zakresie naprawy pojazdów i utrzymania ich w ruchu. Zasłużył na to, paląc kukłę Angeli Merkel.

PRZEBŁYSKI

Mucha, Orlen i „Krakowska"

Gazeta Krakowska

Nowy, już orlenowski redaktor naczelny „Gazety Krakowskiej" Wojciech Mucha przywitał się z czytelnikami w stylu proboszcza z odciętej od świata wioski. Dla Muchy nabożeństwa majowe to zachodzące słońce, cień kwitnących drzew i średniowieczna tradycja.
Z tą tradycją to akurat prawda. Mucha będzie jej wiernym strażnikiem. Bo jak pisze, „cóż bardziej polskiego od zafrasowanego Chrystusa i jego Matki Maryi, spotkanych na rozstaju dróg, wysłuchujących cierpliwie naszych litanii i trosk?". Może taką troską kierował się Obajtek, stawiając na Muchę?

Rychu Czarnecki przy siatce

Prześladowany przez Unię Europejską, która zmusiła go do zwrotu ukradzionych ponad 100 tys. euro, tupeciarz Czarnecki poluje na posadę w sporcie. Chce zostać prezesem Polskiego Związku Piłki Siatkowej.
Polował na prezesurę w PZPN, ale dla działaczy piłkarskich Rychu to mniej niż cienki Bolek. Siatkarki i siatkarze, mając go za prezesa, musieliby się przemieszczać kanałami. Bo na drodze mogliby zobaczyć fatamorganę, czyli Rycha, który wyciągniętym ze złomu fiatem punto cabrio zasuwa z Jasła do Brukseli.
Okradając Unię na lewych delegacjach, europoseł PiS okradł każdego rodaka. A ponad 100 tys. euro to prawie pół miliona złotych. Na tę kwotę, którą Czarnecki ukradł, przeciętny Polak musi pracować 10 lat. Przekręciarz, który to zrobił, łazi tymczasem po mediach jako ważny polityk PiS. I kombinuje, jak zostać prezesem siatkarzy.

Klicha kłopoty z pamięcią

Odezwał się senator PO Bogdan Klich. Dzięki fanaberii Tuska był ministrem obrony narodowej. W szkodach, jakie wyrządził wojsku, przebija go tylko Macierewicz. Nie wadzi to jednak Platformie, skoro właśnie Klichowi powierzyła pilnowanie Krajowego Planu Odbudowy. Wiemy przynajmniej, kto stoi za licznymi wpadkami PO w tej sprawie. A co o władzy i planie mówi Klich? „Papierowy komitet", „lokajstwo", „brak szczegółowych kompetencji", „instytucja fasadowa". Uniwersalne oceny. Każde słowo pasuje jak ulał do Klicha. Choć z drugiej strony skoro tyle lat żyje z polityki, to może ma jakieś zalety?

KaKaO adoruje

Każdy dzień bez dowalenia Morawieckiemu ziobryści uważają za bezpowrotnie zmarnowany. Szczególnie gorliwy jest w tym chrześcijańskim dziele tercet, zwany KaKaO (Kaleta, Kanthak, Ozdoba). W przerwie zaś między knuciem i ustawianiem na posadach krewnych i znajomych KaKaO oglądają na YouTubie adorację wieczystą Najświętszego Sakramentu, transmitowaną z Niepokalanowa przez Polską Katolicką Telewizję Wiekuistego Słowa.
Jak to godzą? Nie mają z tym problemu. Każdy z KaKaO ma przecież dwie półkule. Jak jedna knuje, to druga adoruje.

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl 829cbd8022

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Czy ktoś, kto zrezygnował ze szczepienia przeciw COVID-19, a potem zachorował, powinien płacić za swoje leczenie?

BARTOSZ FIAŁEK,
lekarz, popularyzator wiedzy medycznej

Szczepienia mają obecnie kluczowe znaczenie nie tylko dla zdrowia publicznego, ale także dla gospodarki; są jedynym narzędziem, które może pozwolić nam na powrót do przedpandemicznej normalności. Dlatego można rozważyć stworzenie jakiegoś „kija" na tych, którzy nie tylko świadomie nie skorzystali ze szczepionki, chociaż mieli możliwość, ale jeszcze publicznie odstręczali od tego innych, a gdy zachorowali – jako pierwsi szukali pomocy w szpitalu i zajęli łóżka osobom, które nie zdążyły lub nie mogły się zaszczepić. Przyjęcie takiego rozwiązania wymagałoby jednak dużej ostrożności, żeby nikogo nie skrzywdzić. Nie możemy bowiem wszystkich niezaszczepionych wrzucać do jednego worka. Niektórzy po prostu nie mogą przyjąć szczepionki, np. ze względu na przeciwwskazania zdrowotne.

DR HAB. DOROTA KARKOWSKA,
prawniczka, Fundacja Ius Medicinae

Jak dotąd władze publiczne nie wprowadziły obowiązku szczepień przeciw covid, być może dlatego, że z oczywistych względów nie są jeszcze dostępne dane naukowe na temat długofalowych skutków zaszczepienia poszczególnymi preparatami czy statystyki zdarzeń niepożądanych dla naprawdę dużych grup. Gdyby ustanowiono taki przymus, odpowiedzialność za wspomniane następstwa, której w umowach z Polską zrzekli się producenci szczepionek, zacząłby ponosić skarb państwa. Dopóki tak się nie stanie, nie widzę powodów, by odmowa dobrowolnych szczepień mogła skutkować obowiązkiem pokrycia kosztów leczenia.

MARIA LIBURA,
Polskie Towarzystwo Komunikacji Medycznej, Uniwersytet Warmińsko-Mazurski

Ta propozycja pozornie brzmi dobrze, bo odwołuje się do szczególnie rozumianego poczucia sprawiedliwości, ale jej wprowadzenie wiązałoby się z poważnymi kosztami społecznymi. Opiera się ona na nierealistycznym przekonaniu o racjonalności indywidualnych decyzji w sprawie szczepień. Wątpliwe etycznie byłoby też obciążanie wysokimi kosztami leczenia tych osób, które będą miały pecha i przejdą covid w sposób ciężki, wymagający hospitalizacji oraz zaawansowanych i drogich procedur medycznych, a które ze względu na stan zdrowia nie będą mogły spłacić takich zobowiązań. Pomysł nie uwzględnia również tego, że ktoś, kto obawia się konsekwencji finansowych, prawdopodobnie będzie zwlekał z kontaktem z lekarzem, w związku z czym – wcześniej zarażając wiele osób – trafi do szpitala, dopiero gdy będzie z nim naprawdę źle, a niezbędne leczenie stanie się koszmarnie drogie. Wspomniane rozwiązanie ostatecznie uderzyłoby zatem w zdrowie publiczne.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 829cbd8022

Kościół bez liderów, bez wizji

Biskupi – zaślepieni bogactwem, karierowiczostwem, przesiąknięci hipokryzją – są jednym z głównych powodów kryzysu Kościoła

Jarosław Makowski

Abp Sławoj Leszek Głódź i abp Marek Jędraszewski to jedni z najgorzej ocenianych polskich hierarchów.

1.

Zacznę od anegdoty, którą opowiedział mi przyjaciel, pastor Kazimierz Bem. Otóż pewnego razu król Francji Ludwik XVI miał podpisać nominację na urząd arcybiskupa Paryża. Gdy jednak zobaczył na pergaminie imię i nazwisko znanego mu arystokraty, westchnął, odłożył pergamin i powiedział: „Nie. Arcybiskup Paryża powinien przynajmniej wierzyć w Boga".

No właśnie. Od dłuższego czasu słyszę, także z ust katolików, słowa krytyki pod adresem polskich hierarchów. Powie ktoś: ale przecież zawsze tak było. Jasne, tyle że powtarzano je gdzieś po cichu, tak żeby nikt nie słyszał. Bo przecież nie wypada krytykować biskupa. Dziś biskupi są na cenzurowanym, gdyż – jak powiedziałaby młodzież – są odklejeni od rzeczywistości.

O zupełnie nowej sytuacji świadczy fakt, że słowa biskupów poddawane są krytyce nie tylko przez zewnętrznych obserwatorów, ale również przez samych wiernych. Ich autorytet jest kwestionowany, moralność podawana w wątpliwość. Odbierane są im honorowe tytuły nadawane przez miasta, a jeszcze wczoraj szczycili się nimi i oni sami, i włodarze owych miast – to ostatnio spotkało abp. Sławoja Leszka Głódzia w Białymstoku, ukaranego także przez Watykan za krycie pedofilii.

Ale chyba największym problemem okazuje się to, że polski Kościół od dawna pozbawiony jest przywództwa. Lidera, którego głos byłby słyszalny, a przede wszystkim takiego, który budziłby szacunek. Nie jest nim ani abp Stanisław Gądecki, skupiony głównie na zarządzaniu i wydawaniu nic nieznaczących oświadczeń. Ani abp Grzegorz Ryś, który był nadzieją na zmiany, ale ostatecznie wykazuje dużą lojalność korporacyjną. Ani prymas Wojciech Polak, który co prawda publicznie oburza się na poczynania kolegów w biskupstwie, ale słów nie zamienia w czyny.

Jakie błędy – lub grzechy, by użyć języka teologicznego – popełnili biskupi, że dziś mało kto widzi w nich duchowych i moralnych przywódców? Dlaczego powszechna staje się teza, którą powtarzam od lat, że głównym źródłem kryzysu katolicyzmu w Polsce są nasi biskupi? Postaram się opisać owe grzechy: niesamodzielność myślenia, utratę wiarygodności moralnej, brak strategii duszpasterskiej i – być może najważniejszy – zaprzedanie duszy religijnej prawicy, czyli upolitycznienie katolicyzmu.

2.

Kim jest biskup? Jeśli sięgniemy do łacińskiego źródłosłowu, *episcopus* znaczy nadzorca i opiekun. Biskup to zatem ktoś, kto troszczy się o swoją diecezję, nadzoruje pracę pastoralną, dba o wiernych. Krótko mówiąc, lider. Obecny brak duchowych liderów jest skutkiem tego, że przez długie lata to nie lokalni pasterze organizowali życie religijne Polaków. Robił to Jan Paweł II. Choć był daleko, w Rzymie, wyznaczał politykę duszpasterską i personalną polskiego Kościoła. Polscy hierarchowie tak się przyzwyczaili, że Karol Wojtyła jest przywódcą rodzimego Kościoła, iż swoje strategie i pomysły ograniczali do przywoływania cytatów z tekstów polskiego papieża, do stawiania mu pomników i otwierania muzeów poświęconych wielkiemu rodakowi, które często finansowano z publicznych pieniędzy. I ta strategia trwa w zasadzie do dziś: im częściej w kazaniach i listach naszych biskupów przywoływany jest Jan Paweł II, tym bardziej okazuje się, że to skrywanie braku pomysłu na program duszpasterski.

eprasa.pl 829cbd8022

Co więcej, mam wrażenie, że hierarchowie dziękują Bogu, iż – jakkolwiek paradoksalnie to brzmi – Jan Paweł II odszedł. I że jest już tylko „świętym". Kiedy bowiem nie ma Jana Pawła II, polscy biskupi i duża część wiernych pokazują prawdziwą twarz. Ci sami nacjonaliści, którzy nienawidzą uchodźców, naśmiewają się z Franciszka, ba, na forach internetowych życzą mu śmierci, gdyż brata się z imigrantami, są dopieszczani przez polski rząd, witani z otwartymi ramionami przez paulinów na Jasnej Górze. Są nie tylko tolerowani, ale wręcz promowani przez licznych księży. Wielu duchownych i tzw. prawdziwych katolików cieszy się więc, że ma tylko świętego Jana Pawła II, którego rocznicę śmierci można celebrować, wiedząc, że on niczego już od nas nie zażąda. Nie sprzeciwi się, gdy jego nauczanie jest wykorzystywane do celów politycznych. I sprowadzono je do trzech NIE: dla antykoncepcji, in vitro oraz aborcji.

Ale to tylko jedna strona medalu. Druga jest taka, że dzisiejszy episkopat – bez osobowości na miarę abp. Józefa Życińskiego czy bp. Tadeusza Pieronka, a z zarządcami administracyjnymi abp. Stanisławem Gądeckim czy abp. Markiem Jędraszewskim – to duchowi synowie Jana Pawła II. Zapytajcie ich, a powiedzą, że „oni wszyscy z niego". Większość dzisiejszych hierarchów karierę zawdzięcza papieżowi Wojtyle. To on ich nominował. On dał im władzę. Czy Jan Paweł II mógł się mylić, abp. Leszkowi Sławojowi Głódziowi dając sakrę biskupią, a Henrykowi Gulbinowiczowi kapelusz kardynalski? Na obu ciąży dziś odium krycia pedofilii.

Kryzys polskiego Kościoła to także kryzys autorytetu funkcji biskupa. A przecież jeszcze wczoraj każdy głos biskupa traktowany był z powagą. Dokumenty sygnowane przez polskich hierarchów zmieniały bieg historii. Przypomnijmy choćby słynne zdanie, które wyznaczyło nowy rozdział w stosunkach polsko-niemieckich. To polscy biskupi, kierując się chrześcijańską wizją pojednania, napisali: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Listy biskupów były drukowane na pierwszych stronach „Tygodnika Powszechnego", a ludzie przekazywali je sobie z rąk do rąk. Tak został zbudowany autorytet, który przejawiał się powagą i chrześcijańską prawością.

3.

Z dewaluacją autorytetu łączy się upadek moralny. Biskupi nie stanęli na wysokości zadania w kwestii rozliczenia się z ukrywania pedofilii. Mieli prawo sądzić, że ich grzechy i zaniechania zostaną przemilczane. Dlaczego? Bo karmieni byliśmy frazesami, że w ojczyźnie Jana Pawła II, papieża walczącego z tzw. cywilizacją śmierci, księża nie mogliby gwałcić dzieci. Pedofilia w Kościele to przecież problem zachodnich wspólnot, gdzie – jak tłumaczyli polscy duchowni i katoliccy publicyści – panuje moralny relatywizm i zepsucie. Takie postawienie sprawy nam, polskim katolikom, dawało poczucie moralnej wyższości. Z niesmakiem patrzyliśmy więc na doniesienia dziennikarzy ujawniających – od Ameryki, poprzez Irlandię, po Francję – kolejne skandale pedofilskie, których bohaterami byli księża.

Kultura milczenia i zamiatanie brudów pod dywan dawały przestępcom seksualnym w koloratkach jeszcze większe poczucie bezkarności. Wiedzieli, że w najgorszym wypadku czeka ich przeniesienie do innej parafii. Dlatego mam graniczące z pewnością przekonanie, że dziś cały wysiłek polskiego episkopatu zmierza nie do tego, by zadośćuczynić ofiarom i ujawnić opinii publicznej prawdę o nadużyciach seksualnych, ale do przeczekania i przemilczenia niewygodnych dla hierarchów faktów krycia pedofilów. W ten sposób bronią nie tylko swojej skóry, ale – jako wierni synowie papieża Polaka – również obrazu i dziedzictwa Jana Pawła II, którego nauczanie ponoć z taką gorliwością wcielają w życie.

Biskupi są na cenzurowanym, bo są odklejeni od rzeczywistości. Ich autorytet jest kwestionowany, moralność podawana w wątpliwość.

Słynny już wywiad z kustoszem pamięci o Janie Pawle II, kard. Stanisławem Dziwiszem, obraca to ich przeświadczenie w pył. Kardynał pytany o kwestie dotyczące molestowania seksualnego w Kościele odpowiadał, że nie wie, nie pamięta, nie słyszał. Ten wywiad wzbudził powszechny niesmak. Ba, kard. Dziwisz pokazał w nim, że jego wiarygodność jest zerowa. Podobnie jak całego episkopatu. Biskupi przestali być autorytetami w dziedzinie moralności nie tylko dla większości Polaków, ale i dla dużej części katolików, którzy coraz częściej – również z tego powodu – zwracają Kościołowi bilet.

Kard. Stanisław Dziwisz skompromitował się wywiadem w sprawie krycia pedofilii.

4.

Kryzys polskiego Kościoła to także kryzys poważnego namysłu nad światem, dialogu z nim. Z abp. Józefem Życińskim można było się nie zgadzać, ale był on ważnym uczestnikiem debaty publicznej. Dziś nic z tego nie zostało. Nie ma biskupów intelektualistów. Często ich wywody przypominają niekontrolowany strumień świadomości

eprasa.pl 829cbd8022

znachorów wiary. Hierarchowie toczą głupie wojny, rozmieniając swój autorytet na drobne – walcząc ze szczepionkami czy kwestionując pandemię. Banalizują religię, pokazują zaściankowość katolicyzmu. Przykładem jest bodaj największy obecnie intelektualista, abp Marek Jędraszewski, metropolita krakowski, który wszędzie widzi zagrożenie genderyzmem, LGBT i ekologizmem. A jakość jego argumentacji przypomina głębię wpisów w mediach społecznościowych anonimowych

Abp Marek Jędraszewski wszędzie widzi zagrożenie genderyzmem, LGBT i ekologizmem.

internautów. Te argumenty to przede wszystkim podsycanie strachu przed tymi, których krakowski metropolita piętnuje, karci i napomina.

Przykładem tej nienawistnej strategii są słowa o zarazie. Przypomnijmy, co hierarcha mówił w 75. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego: „Czerwona zaraza już po naszej ziemi nie chodzi. Co wcale nie znaczy, że nie ma nowej, która chce opanować nasze dusze, serca i umysły. Nie marksistowska, bolszewicka, ale zrodzona z tego samego ducha – neomarksistowska. Nie czerwona, ale tęczowa". Kolejny wróg: ekologizm. Dlaczego jest groźny? Bo, jak głosi Jędraszewski, próbuje się go „narzucać jako obowiązującą doktrynę".

Abp Jędraszewski określił sposób kościelnego myślenia. A działa on podług następującej logiki: jeśli jakiś hierarcha chce naznaczyć wrogą w jego oczach grupę – ekologów czy osoby LGBT – mówi, że piętnuje nie ludzi, których szanuje, ale ideologię, która stoi np. za ekologią, czyli ekologizm. Ten zmyślny chwyt pozwala mu odpierać wszelkie zarzuty o nienawiść czy pogardę wobec innych. Tyle że idąc tym tropem, można kreować kolejnych wrogów, a potem ich piętnować i nic sobie nie robić z oskarżeń o rasizm i faszyzm.

5.

Biskupi sprzeniewierzają się swojemu powołaniu, gdy upolityczniają religię. Zawsze w Polsce – niezależnie od tego, kto rządził – jakoś układano się z Kościołem. Ale po dojściu w 2015 r. PiS do władzy nastąpił radykalny przełom. Hierarchowie przestali nawet udawać, że jest jakiś „przyjazny rozdział", i zaczęli wprost mówić, że pisowska władza jest dla nich tą, o której zawsze marzyli i dzięki której zamierzają swoje przekonania zamienić w rozwiązania instytucjonalne. Dlatego bp Józef Wysocki dziękował Bogu za dar zwycięstwa „dobrej zmiany". Mówił, zwracając się do ówczesnej premier Beaty Szydło: „Pani premier, tak chciałbym powiedzieć, jak bardzo panią wszyscy kochamy. (...) Otrzymaliśmy pana prezydenta, to jest dar od Pana Boga. Otrzymaliśmy panią jako wielki dar, otrzymaliśmy to wszystko, co się dzieje, i wszystko będziemy czynili, żeby tego nie zmarnować". Abp Stanisław Gądecki, przewodniczący episkopatu, na spotkaniu z ówczesnym marszałkiem Sejmu Markiem Kuchcińskim miał powiedzieć następujące słowa, cytowane później przez marszałka: „Nastąpił ogromny przełom. Po wojnie nie było jeszcze takiego zjednoczenia państwa i Kościoła". Czy mogą nas zatem jeszcze dziwić wiernopoddańcze akty strzeliste wobec pisowskiej władzy bp. Wiesława Meringa? W Muzeum Diecezjalnym we Włocławku odbyła się konferencja „Być Polakiem – duma i powinność". Kto mógł grać pierwsze skrzypce w czasie tej konferencji? Oczywiście Jarosław Kaczyński. Oraz symbol rodzimego, niezależnego, dziennikarstwa, redaktor Krzysztof Ziemiec. Jednak to nie słowa prelegentów przykuły uwagę opinii publicznej, ale wypowiedź gospodarza, bp. Meringa: „Bardzo bym chciał, panie premierze, żeby czuł się pan tu, między nami, człowiekiem nie tylko akceptowanym, ale podziwianym. Jesteśmy wdzięczni za wszystko, co pan robi i robił dla Polski – razem ze swoim bratem prof. Lechem Kaczyńskim. Pańskie sukcesy są naszymi sukcesami". Gdyby nie koloratka, biskup spokojnie mógłby być jednym z gorliwych działaczy „dobrej zmiany".

Polski Kościół od dawna pozbawiony jest przywództwa.

Bp prof. Józef Wróbel ogłosił, że katolicy nie powinni się szczepić preparatami firm AstraZeneca i Johnson&Johnson.

Kaczyński nie pozostał Kościołowi dłużny. Zapewnił mu nie tylko finansowanie na niespotykaną w III RP skalę, ale też polityczne plecy i – jako władca esbeckich teczek – lustracyjny spokój. Dlatego zwracając się do o. Tadeusza Rydzyka na urodzinach Radia Maryja, mówił: „Fundamentem polskości jest Kościół i jego nauka. I nie może być Polski bez Kościoła. (...) każdy, choćby nie miał łaski wiary, musi to przyjąć. (…) Każda ręka podniesiona na Kościół to ręka podniesiona na Polskę". Dziś siła Kościoła nie bierze się z tego, że włada duchem wiernych. Polega ona na tym, że zespawała się z PiS. I to nie PiS potrzebuje Kościoła, ale Kościół potrzebuje PiS. Na krótką metę to się biskupom opłaca. Ale w długiej perspektywie oznacza odchodzenie ludzi z Kościoła.

6.

Kolejny deficyt, jaki zdradzają rodzimi biskupi, to brak strategii duszpasterskiej. Pomysłu, jak organizować życie religijne. Ten brak obnażyła pandemia. Kościół zawiódł wiernych. Zaczęło się od tego, że zaraza jest gdzieś daleko, nas, Polaków – „Mesjasza

eprasa.pl 829cbd8022

narodów” – nie sięgnie. Kiedy więc wirus był choćby we Włoszech, a nawet w Watykanie, to w Polsce niektórzy księża widzieli w nim tylko osobliwy znak, swoistą karę bożą za grzech aborcji czy homoseksualizmu.

Kiedy zapukał do naszych drzwi, było już jasne, że kraj nad Wisłą nie będzie wyspą wolną od zarazy. Biskupi jednak przez długi czas nie przyjmowali do wiadomości, że w takim razie będą musieli zamknąć świątynie, tak jak to miało miejsce wcześniej we Włoszech. Abp Stanisław Gądecki wprost powiedział, że nie wyobraża sobie kościołów bez ludzi. Abp Andrzej Dzięga już w czasie szalejącej zarazy przekonywał w liście do wiernych, że „Jezus nie zaraża”, dlatego można gromadzić się w kościołach. Kiedy zaklęcia przestały działać, a liczba zarażonych rosła, Kościół ugiął się pod naciskiem wirusowej rzeczywistości i restrykcji państwa, zamykając *de facto* świątynie przed wspólnotowymi modlitwami.

Potem był czas liczenia strat finansowych. Księża przekonywali, że przeniesienie posługi duszpasterskiej do internetu to straty, jakie wiążą się z faktem, że nie mogą zbierać datków. A Kościół, jak z kolei przekonywał niedawno abp Grzegorz Ryś, „żyje z tacy”. Te głosy pokazały, szczególnie przeciwnikom Kościoła, że nawet w tak dramatycznych chwilach kler troszczy się wyłącznie o zabezpieczenie swojego wiktu i opierunku.

Zgoda, pojawiły się też akcje inspirowane przez biskupów, jak choćby przez abp. Wiktora Skworca, metropolitę katowickiego, w których prosi duchownych o jałmużnę postną na pomoc szpitalom w Tychach i Mikołowie. Pieniądze miałyby być przeznaczone na zakup respiratorów lub środków ochrony osobistej dla lekarzy, którzy zajmują się chorymi na covid. Szlachetne. Ale, jak zauważyli internauci, wystarczy, że arcybiskup zrezygnuje z 40 mln zł państwowych dotacji na budowę Panteonu w Katowicach i poprosi o przeznaczenie tych pieniędzy na szpitale.

Gdy ludzie pozamykani w domach szukali pocieszenia, wsparcia duchowego i nadziei, dostawali przekaz, że albo wirus to zmyślona pandemia, albo że najważniejsze w życiu jest chodzenie do kościoła. Dla wielu katolików był to znak troski nie o życie duchowe, ale o tacę.

W Polsce z biskupami Kościoła nie da się zmienić. Wbrew biskupom też nie.

7.

Ten opis wybranych postaw i zachowań polskich biskupów pokazuje, że dziś poszukiwanie lidera w polskim Kościele staje się karkołomne. To efekt od lat żywionego przekonania, że w Kościele karierę robi ten, kto wyznaje zasadę BMW: bierny, mierny, ale wierny. Czy jest jakaś recepta, która pozwoliłaby zbudować prawdziwych duchowych liderów?

Ten przepis jest w adhortacji *Evangelii nuntiandi* papieża Pawła VI: „Człowiek naszych czasów chętniej słucha świadków aniżeli nauczycieli; a jeśli słucha nauczycieli, to dlatego, że są świadkami”. Gdy chcemy powiedzieć, że ktoś jest wiarygodny, mówimy: „Ten człowiek żyje podług tego, co głosi. Słowa i czyny stanowią jedno”. Tę potrzebę świadectwa, potrzebę spójności między tym, co liderzy – np. politycy czy duchowni – mówią, a tym, jak żyją, doskonale ujął sam Franciszek: „Brak spójności wiernych i pasterzy między tym, co mówią, a tym, co czynią, między słowami a sposobem życia, podważa wiarygodność Kościoła”.

Polscy biskupi mają problem z wiarygodnością. Wciąż pretendują do tego, żeby być autorytetami moralnymi, ale ich zachowania – jak choćby ukaranego przez Watykan za tuszowanie pedofilii bp. Edwarda Janiaka – odsłaniają jedynie hipokryzję.

Dodatkowo kłody pod nogi rzuca im papież Franciszek. Katolicy, słuchając go, a przede wszystkim wymagań, jakie stawia w pierwszej kolejności duchownym, biskupom, zaczęli więcej wymagać od hierarchów. Bo zdaniem Franciszka biskupi – zaślepieni bogactwem, karierowiczostwem, szukaniem poklasku, przesiąknięci hipokryzją – są jednym z głównych powodów kryzysu Kościoła. Papież zerwał z niepisanym dogmatem, wpajanym skutecznie księżom i wiernym: „Kościół jest jak matka. A matki się nie krytykuje”. Franciszek odrzuca ten moralny szantaż i daje jasno do zrozumienia, że jeśli widzisz zło, także w Kościele, i nie reagujesz, stajesz się jego współsprawcą.

Kryzys polskiego Kościoła to także kryzys poważnego namysłu nad światem, dialogu z nim.

Tego nie rozumieją polscy biskupi – abp Jędraszewski, który wciąż nie może się doczekać od Franciszka kapelusza kardynalskiego. Abp Gądecki, który pomylił przywództwo duchowe z zarządzaniem szacowną instytucją korporacyjną, czy prymas Wojciech Polak, który miota się między chęcią reformy a lojalnością wobec kolegów w biskupstwie. Taka postawa może i gwarantuje kościelną karierę, ale jest zabójcza dla autentycznego życia duchowego. A to znaczy: w Polsce z biskupami nie da się Kościoła zmienić. Wbrew biskupom też nie. Będzie więc tak, jak jest – bez liderów, bez wizji. Nijako.

Jarosław Makowski

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS, STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS, RAFAŁ PASTWA/GOŚĆ NIEDZIELNY/FORUM, PIOTR TUMIDAJSKI/FORUM

eprasa.pl 829cbd8022

Kto nam ukradł marzenia?

Dzisiaj nie ma już żadnej wielkiej zmiany, wielkiej idei. Jest po prostu grupa przestępcza

Rozmawia Robert Walenciak

ANDRZEJ CELIŃSKI
– uczestnik Marca 1968, współpracownik KOR, organizator Towarzystwa Kursów Naukowych, w czasach NSZZ Solidarność szef gabinetu Lecha Wałęsy. Uczestnik Okrągłego Stołu, senator OKP. Wiceprzewodniczący Unii Demokratycznej (lata 1993-1994), potem w UW (do 1996 r.). W latach 1999-2004 wiceprzewodniczący SLD, potem w SdPl (do 2008 r.).

Czy to już jest koniec post-Solidarności, koniec PO-PiS? Pańskiego pokolenia?

– To się dawno skończyło. Tego nie było już za Tuska. Owszem, oddawali się rytuałom, zwłaszcza wokół Lecha Wałęsy, rocznicy 31 sierpnia, ale Solidarność jako paradygmat kulturowy, jakieś wartości, bliskości, zainteresowanie innym człowiekiem... Nie ma o czym mówić. Tego nie ma.

A co jest?

– Mogę zacząć od Jana Pawła II?

?

– Kiedy słuchałem Jana Pawła II we wczesnych latach 80., gdy mówił o konsumpcjonizmie, zaraz obok jego „cywilizacji śmierci", jako wielkim zagrożeniu dla współczesności, naszej kultury, wspólnego życia itd., to się podśmiewałem w duchu. Jaki konsumpcjonizm?! My nie mamy podstawowych rzeczy, a on o konsumpcjonizmie. A to była przestroga dla świata. Prorocza i dla nas. Pieniądz, pogoń za nim, jego posiadanie i porównywanie się z innymi są puste, nic dobrego z tego nie wyniknie! Miał rację. A ja mam wrażenie, pewność, że ta pogoń za kasą, konkurencja, kto ma więcej, lepiej, szybciej, zastąpiła wszystko inne. Poszło głęboko. Do miasteczek, na wieś. Kto urządzi większe weselisko? Czy kupię synowi beemkę? Może mieć ćwierć wieku i rdzą przeżarte progi, ale beemkę.

15-20 lat temu, kiedy ludzie zamykali się w wielkich miastach, w Warszawie w kondominiach, grodzili osiedla, instalowali domofony, kiedy dbałość o prywatność stawała się samoizolacją i wykluczeniem, myślałem, że może to warszawskie zboczenie, zagrożenie wielkomiejską przestępczością, ale gdzieś tam na pięknym Podlasiu, Lubelszczyźnie jest inaczej, tam to nie dojdzie. Nie jest inaczej. Konsumpcjonizm, wszechobecna konkurencja, zawiść zabiły solidarność. Tak, nie wszędzie, nie w każdej małej społeczności, ale jest tego wystarczająco, by zabić społeczne więzi.

To nagle wybucha, a potem tego nie ma

Mówi pan o konsumpcjonizmie, a przecież wystarczy włączyć telewizor, by usłyszeć różne patriotyczne pogadanki: że Solidarność, że Sierpień… Co to jest?

– To jest dowód na coraz mniejszą wiedzę.

Kogo?

– O „onych" w ogóle nie mówię. Nie ma o czym mówić. O tych demiurgach propagandy. To jest tak płaskie i tak mierne, że w ogóle mnie nie interesuje. Mnie interesują tak naprawdę normalni ludzie, którzy te 80 lat swojego życia muszą z jakimś sensem przeżyć, sami ze sobą, ze swoją rodziną, w szerszym kontekście społecznym. No i mają swoje państwo. Mają telewizję, radio, internet. Zaglądają tam. I zderzają się z problemem wątłości wiedzy, wątłości relacji, brakiem autorytetów, płynnością wszystkiego, w tym tego, co ważne.

Dlaczego wątłości?

– Bo w pokoleniach, których PESEL zaczyna się od cyfry 6 i młodszych wiedza powszechnie używana oparta jest dzisiaj na internecie.

eprasa.pl 829cbd8022

W sieci wszystko jest bardzo szybkie, ogarniające cały właściwie świat w czasie realnym, ale szalenie ulotne. Pomyślałem o KOD, o czarnych parasolkach, o Strajku Kobiet. To nagle wybucha, w dużej mierze także dzięki internetowi, ni stąd, ni zowąd jest 50 tys. ludzi na ulicy, a potem tego nie ma. Bardzo szybko tego nie ma. Nic właściwie nie pozostaje. Może poza frustracją, niepokojem, zniechęceniem. Słowa klucze, pojęcia klucze, wykrzykiwane hasła, skandowane oczekiwania to są takie balony, na użytek chwili. Na użytek doraźnego sporu. Chwilowej identyfikacji. Ale tego nie ma w sercu. Jeśli jest w sercu, to już na pewno nie w mózgu. Nie ma czasu na formułowanie jakichś głębszych myśli, na debatę, ważenie racji, kompromis.

Konsumpcjonizm, wszechobecna konkurencja, zawiść zabiły solidarność.

A w sercu konsumpcjonizm?

– Tak. Może bardziej w mózgu. A te wykrzykiwane słowa to raczej maczuga. Albo tarcza. Ale nie serce. Nie chciałbym, żeby tu zabrzmiała jakaś fałszywa nuta – wierzę, ale to jest w sferze wiary, a nie wiedzy, że ludzie jednak tęsknią za czymś innym. Za czymś szlachetniejszym. Za powagą. Sensem. Dlatego oskarżam organizacje wpływu, nie tylko te polityczne, ale i media, Kościół, celebrytów, o to, że nie podejmują nawet najmniejszych prób dotarcia do tych marzeń. Nawiązania z nimi kontaktu.

To, co kiedyś było w mediach ciekawostką, marginesem, haczykiem na czytelnika, słuchacza, widza, stało się głównym nurtem życia społeczeństwa. Uznano, że mamy nowoczesną politykę, nowoczesne życie społeczne, wszystko jest rynkowe, na wszystko jest algorytm socjotechniczny, spin doktorzy, doradcy od wizerunku, konsultanci od sytuacji kryzysowych. Trzeba po prostu dobrze poznać aktualne, doraźne ludzkie potrzeby i sprawnie, efektywnie nakłamać. Nie zrealizować, broń Boże, przecież wiadomo, że tych doraźnie wykrzykiwanych potrzeb się nie realizuje. Ludziom ma się wydawać, że są w centrum zainteresowania polityki, że się pamięta o nich. A pamięta się do czasu, kiedy jakaś nowa potrzeba wulkanem na chwilę wybuchnie. Kto wie, czy ona tak sama wybucha, czy powstaje nowa dziedzina wiedzy politycznej – inżynieria sterowania ludzkimi mirażami. Najlepiej, żeby społeczeństwo, wyborcy zrezygnowali ze swoich marzeń. Nie używali takiego języka, w którym jakieś wielkie społeczne marzenia można by artykułować. Donald Tusk odsyłał kiedyś do psychiatry tych, co chcą mieć wizje.

Na zasadzie: jesteś zapisany na szczepionkę, to tak, jakbyś już był zaszczepiony.

– Tak. Nie wszyscy i nie jednakowo. Cokolwiek myślę o PiS i o fenomenie popularności tej partii, uległości wielkich grup społecznych wobec jawnego i kłamliwego populizmu, w jednej jedynej sprawie chcę wyrazić uznanie dla tej partii, jej liderów. To 500+. Inaczej mówiąc, bardzo ograniczony kwotowo i pod względem zasięgu społecznego dochód podstawowy. Na szczęście są rozmaite badania w rozmaitych krajach świata, które pokazują, że pewien poziom dochodu podstawowego nie tłumi zaradności. Przeciwnie! Aktywizuje ludzi. Kto ma elementarne zainteresowanie fizjologią i psychologią stresu, ten zrozumie.

Wprowadzili partię do zakładów pracy

Co takiego się stało, że wygrały pieniądze, a te wielkie idee, w które na początku III RP wierzyły miliony, obumarły? Co z tego zostało?

– Każdy chce mieć elementarne bezpieczeństwo. A już szczególnie dla swoich dzieci. Solidarność, taka, o jakiej mówimy, pozytywnie wartościując, to dzisiaj jeden wielki mit. Solidarność pozostawała w kręgu tego mitu dzięki maleńkiej grupie ludzi, którzy nadali taki ton. Nie wypadało, nawet gdy ktoś się z tym nie zgadzał, jawnie w to uderzyć. No i oczywiście wielka chwała Wałęsie. On dokonał wyboru – oparcia się akurat na tych ludziach, a nie na innych. Mógł oprzeć się na innych. To środowisko ma wielką zasługę dla Polski. Miało też swoje fundamentalne ograniczenia. Choćby bezsensownie przyjmowany, a nawet kultywowany elitaryzm. Nie zdawano sobie sprawy, że chcąc mieć władzę, trzeba się nią dzielić.

Miałem kiedyś fenomenalną rozmowę z Jackiem Merklem. Bardzo go ceniłem. Myślał, analizował i pracował jak inżynier. Celowościowo. To nie było częste. Początek lat 90., on był w Kongresie Liberalno-Demokratycznym, ja w Unii Demokratycznej. Partie programowo niemal identyczne. Może wtedy wprost identyczne. Ale dwie. Zapytałem: Jacku, dlaczego KLD tak się rozpycha? Dlaczego nie próbujecie porozumieć się z nami, stworzyć jednej partii? Po co słabi, a liberalizm długo nie będzie w Polsce popularnym wyborem, mają jeszcze się dzielić?

Poczta Polska
Sprawdź, czy nie kończy się prenumerata pocztowa PRZEGLĄDU
Przegląd
Zamówienia można składać tylko do 25 maja
Listonosz bezpiecznie dostarczy Twój tygodnik
Realizacja od lipca 2021 r. po dokonaniu przedpłaty
74 zł – III kwartał
148 zł – III i IV kwartał
• we wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy
• drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl
Płać mniej!
Jeden egzemplarz w prenumeracie
~~7,50 zł~~ 5,69 zł
Poczta Polska

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 829cbd8022

On popatrzył i powiedział najprostsze i najprawdziwsze zdanie, bardzo trafne: „Wiesz, bo oni nigdy się sami nie posuną na ławce”.

Oni, czyli mędrcy UD?…

– Prawo starszeństwa. Role były wyznaczone. Ciekawe, jak długo byłyby wyznaczone, gdyby Unia trwała.

Tamtych mędrców już nie ma. A kto jest?

– Polska polityka stała się miejscem szeroko otwartym dla nieudaczników. Nie trzeba mieć wielkich talentów, żeby do niej wejść. Trzeba mieć wolę i determinację lizusa. Piję do woli politycznej Jarosława Kaczyńskiego. Otóż jeśli masz bardzo silną wolę tam być, a wszystkie inne okoliczności temu podporządkujesz, to będziesz. Co więcej, jeżeli ta wola jest naprawdę silna, systematyczna, konsekwentna, to będziesz dosyć szybko i bezpiecznie piął się w górę. A miejsc jest bardzo dużo, dlatego że polityka nam się rozlała bardzo szeroko.

Na gospodarkę, na kulturę…

– To był chyba 13. postulat strajku gdańskiego – wyprowadzić partię z zakładów pracy. Dzisiaj nie ma organizacji partyjnych w zakładach pracy, ale stanowiska kierownicze, zwłaszcza w tych dużych, są właściwie bez reszty upartyjnione. Rozmawialiśmy kiedyś o Płocku, może 15, może 20 lat temu – mówiłem, że w prasie lokalnej nie ma już wstydu, bo przeczytałem w niej, że jest oczywiste, że zmienia się dyrektor wodociągów, ponieważ były wybory. Nie było tak, że wodociągi źle funkcjonowały i nowa władza chciała zmian osobowych, by funkcjonowały lepiej. Nie! Wymieniała dyrektora nie po to, by było lepiej, tylko dlatego, że jego stanowisko to jest łup. Dlatego, że jej się należy! I że wszędzie tak jest.

Jak to się narodziło?

– Szybko, choć z początku z pewną wstydliwością. Ruszyło z kopyta w czasach AWS. Wtedy zaczął się proces głębokiego i powszechnego upartyjniania gospodarki. A potem już poszło. Każda kolejna ekipa to rozszerzała, a nie zawężała. Wystarczy przypomnieć sobie, co się stało ze Służbą Cywilną, konkursami, egzaminami. Kto w ogóle o tym pamięta? Ja pamiętam, jak w „moim” SLD zastępowano dyrektorów tzw. pełniącymi obowiązki. Aby obejść prawo. A PiS to już w ogóle… Prawo i Sprawiedliwość w relacji z państwem wypełnia klasyczną definicję związku mafijnego. Czyli jest tam związek między polityką a pieniędzmi, bardzo ścisły, zdeterminowany i oczekiwany przez władzę polityczną, przez państwo. Z ochroną ze strony służb państwowych, ze strony prawa. Całkowicie zglajchszaltowanych, po to by służyć interesom partii rządzącej. PiS dawno przestało być normalną partią, jeżeli kiedykolwiek było. Wykupienie przez Orlen, spółkę paliwowo-energetyczną, wielkiej sieci mediów lokalnych to wystarczający przykład, inne nie są konieczne. Ten opisuje całą tę wielką machinę przestępczą chronioną przez państwo, jego prawa i jego najwyższych urzędników.

> Dzisiaj nie ma organizacji partyjnych w zakładach pracy, ale stanowiska kierownicze, zwłaszcza w tych dużych, są właściwie bez reszty upartyjnione.

Kończy się zawsze na pieniądzach

Z jakiegoś powodu ludzie na PiS głosują.

– Polityka polega głównie na redystrybucji dochodu narodowego.

Także na prezentowaniu różnych wizji, nadziei…

– Ale kończy się zawsze na pieniądzach. Otóż wszystko, co było przed PiS, wyglądało tak, że to, co oddawano społeczeństwu, w gruncie rzeczy oddawano poprzez rozwijanie usług publicznych – edukacji, opieki zdrowotnej, transportu publicznego itd. PiS poszło drogą proponowaną przez Leppera. Wyjąć pieniądze przeznaczane na usługi publiczne i rozdawać je indywidualnie, adresować do rodziny. I to jest oczywista zmiana polityczna.

Czyli 500+.

– To najważniejsze. Dzisiaj tam już nie ma żadnej innej idei. Jaka może być idea Międzymorza? W konflikcie z Niemcami i z Unią? Albo kopania rowu między zatoką a zalewem nieopodal Elbląga? Rzucanie kotwicy

LIST

Jaka lewica

Bardzo mnie boli sytuacja na lewicy. Mamy grupę tzw. liderów, ludzi słabo zorientowanych w świecie, a ich narracja sięga już dna. W SLD, gdzie jest szczególnie trudno, mamy jeszcze struktury, ale właśnie się zwijają. Problemem jest idea tzw. zjednoczenia z Wiosną. Być może na górze wygląda to niezwykle obiecująco: Czarzasty, Biedroń i może jeszcze Zandberg. Aparaty można zjednoczyć, ale nigdy nie połączymy elektoratów. Na dole ci z Wiosny uzurpują sobie prawo do przejęcia naszych struktur, wyeliminowania starych działaczy. To rodzi wzajemną wrogość, która prowadzi do przyśpieszonego rozkładu.

SLD jest formacją wymierającą. Jak obserwuję, z zebrania na zebranie zmniejsza się liczba członków – starzy umierają, a nowych ta forma działania nie interesuje. Czy zatem jesteśmy skazani na śmierć polityczną? Nie tylko według liderów, ale i zdaniem większości członków – tak. Oni widzą naszą przyszłość tylko w zjednoczeniu z Wiosną, która ma dać nam świeżość. Ale tak się nie stanie, bo nie można stworzyć czegoś nowego przez zjednoczenie partii stetryczałych weteranów wspominających lata dawnej chwały z infantylną młodzieżą postrzegającą świat w kategoriach bipolarnego podziału na lewicę i prawicę. Czy można zatem w tej sytuacji wypracować jakąś sensowną koncepcję nowej formuły lewicy? Rozwiązaniem według mnie może być idea zorganizowania się mniejszości SLD we frakcję wewnętrzną. Frakcję, dla której lewicowość oznacza specyficzne rozumienie swojej roli w konkretnych warunkach historycznych, dysponującej własnym ośrodkiem myśli społeczno-politycznej, obudowanej klubami, fundacjami. Polska potrzebuje dziś czegoś nowego po lewej stronie. Potrzebuje organizacji, w której przynależność do elity jest wyznacznikiem zdolności do niezależnego myślenia, odwagi w głoszeniu poglądów, a nade wszystko woli walki o wprowadzenie partii do głównego nurtu jako jednej z dwóch opcji pierwszego wyboru.

Stanisław Tadeusz Niemiec, Powiatowo-Miejska Organizacja SLD (Mniejszość) w Tarnowie

eprasa.pl 829cbd8022

przez Atlantyk, a zrywanie z Europą? Konfliktowanie się z Włochami, Grecją, Hiszpanią, Francją, Niemcami? Rozbudowa lotniska w Radomiu, bo bliżej wakacyjnie na południe Europy? Co w tym może być? To jest kompletnie puste! OK, dla Suskiego może nie puste, ale dla tych, którzy naprawdę kierują polityką, to przecież absolutny humbug.

Po co więc to robią?

– Żeby manipulować ludźmi. Na przykład budując to, co nazywają dumą narodową. To także służy zdjęciu z ludzi odpowiedzialności i konieczności podjęcia wysiłku. Zmiana 1989 r. odrzuciła hasło „czy się stoi, czy się leży…". Nie ma tego! Jest konkurencyjność! Na dodatek w nowym organizmie, wedle nieznanych wcześniej reguł gry, odbieranych często, i często słusznie, jako niesprawiedliwe. To była przecież fundamentalna zmiana! Dzisiaj nie ma już żadnej wielkiej zmiany, wielkiej idei. Jest po prostu grupa przestępcza. Łamanie konstytucji jest przestępstwem. Działanie na niekorzyść spółki też. Wręczanie łapówek również. Nadużywanie władzy – a jakże!

Tylko kiełbasa zmienia polską politykę.

Nawet jeśli dzisiaj mówi się o tym cicho, to za parę lat będzie o tym głośno. I nie wystarczą słowa, że nie wiedzieliśmy. Albo że tylko wykonywaliśmy polecenia, spełnialiśmy oczekiwania…

A inni dzięki temu mieli dostęp do pieniędzy?

– Owszem, Kaczyński nie kradnie, ale cała ta banda kradnie. Po prostu. Tak lub inaczej. Raz po raz spotykam ludzi z innego pokolenia, dla których wybór PiS jest wyborem naturalnym. Bo ta partia jest dla nich wypłacalna. Dobra albo przynajmniej neutralna relacja z partią rządzącą daje możliwość uzyskania indywidualnych korzyści. Zarabiania pieniędzy. To są te rady nadzorcze, doradztwa, wicedyrektorstwa, kontrakty, sponsoring.

To pójdzie jak ogień po suchej słomie

Ale wszystkich nie kupisz!

– To prawda. I to jest jeden z elementów, które prowadzą PiS do upadku. Tak samo było w SLD. Dla mnie początkiem końca SLD byli ci baronowie, czyli sekretarze wojewódzcy. Nienasyceni. Miller zaczął realizować ich żądania, mimo że oni z reguły do pięt mu nie dorastali. I zaczął się upadek. Jak zaczynasz rozdawać dobra materialne, to niszczysz swoją partię. Bo nawet ci, którzy dostają, chcą więcej.

Nie trzeba mieć wielkich talentów, żeby wejść do polskiej polityki. Trzeba mieć wolę i determinację lizusa.

Obajtek też będzie chciał więcej?

– On już przegrał swoją ścieżkę wzrostu. Weźmie jeszcze milion, dwa, trzy pensji i wyleci. Przede wszystkim jego koledzy będą chcieli więcej. Nie jesteś w stanie powiedzieć: stop! To są systemy, które prowadzą do samozagłady. Nie wiemy, kiedy to nastąpi. Z reguły wtedy, kiedy zabraknie kiełbasy, bo to zawsze w Polsce jest główna przyczyna zmiany politycznej. Ale ten moment musi być skojarzony z upadkiem ludzi władzy, z wewnętrznym rozstrojem. To się dzieje błyskawicznie, w ciągu dwóch-trzech tygodni. Nie wiemy, kiedy to nastąpi, ale jak już ruszy, to idzie jak ogień po suchej słomie. I właściwie jedynym istotnym wówczas pytaniem jest, jak w tym momencie opanować żywioły, kiedy wszystkie autorytety wylatują w powietrze.

A są jakieś autorytety w Polsce?

– To jest pytanie! W demokracji zadaniem opozycji jest przestać być opozycją. Żeby przejąć władzę, trzeba stworzyć alternatywę. To kluczowe słowo w demokracji, nawet tak kulawej, tak chorej jak polska. A tu się mówi: my będziemy lepsi. Tak samo było w PRL. Każda kolejna ekipa – szło to pokoleniowo, bo każda kolejna ekipa to było kolejne pokolenie – mówiła: my będziemy lepsi. My to zrobimy lepiej. Taki był zawsze pomysł na zmianę – musimy się dogadać ze sobą, pokoleniowo, znaleźć jakieś hasło, podpiąć się pod kogoś i już! I w dzisiejszej Polsce zrobiło się właściwie tak samo. Bo alternatywa to jest coś innego!

Mówią, że będzie inaczej, bo zgodnie z prawem.

– Ale to też musi być coś realnego. A co powiedzą? 1500+? To nie jest alternatywa! Alternatywa jest taka, że mówimy np.: Polska, czyli my, utraciła twarz, swoje miejsce w świecie, śmieją się z nas. A śmieją się, bo u nas jest to, co jest! Wszystko staje się niejasne, wątpliwe, podważane, niestabilne. Jakie prawo? Jakie zasady? Wszystko zależy od satrapy! Albo od jakiegoś satrapka gdzieś w miasteczku.

Ale ludzie to wszystko akceptują.

– Ludzie nie lubią zmian. 1,5 bln zł długu żadnego z nas na co dzień nie obciąża. Nie czujemy tego. Konsekwencje są nam nieznane. To, ile wydaje na reklamę Orlen, nas kompletnie nie interesuje. Przecież tak zawsze było, wszyscy tak robili. W ten sposób tłumaczymy swoją bierność: jak wszyscy, to wszyscy, co ty jeden zrobisz?

Społeczeństwo mamy takie marne? Co najwyżej oburzy się na chwilę, pokrzyczy i już?

– Nie ma powodów być inne. Interesy znakomitej większości, te codzienne, także te godnościowe, są realizowane. Dlatego powtarzam: tylko kiełbasa zmienia polską politykę. Na chwilę.

A że demokracja jest łamana, że policjanci biją kobiety, staruszki?

– A kogo to obchodzi? 500 tys. ludzi w Polsce? Milion? Reszta udaje, że nie widzi. Albo rzeczywiście nie widzi. Choć ta władza dziś realnie już nie jest „nasza". To znowu są „oni". To wróciło.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 829cbd8022

Świat zaczyna szczepić dzieci przeciw COVID-19

W Polsce szczepienia dla dzieci 12+ mogą się rozpocząć już latem tego roku

Anna Brzeska

Eksperci nie mają złudzeń – abyśmy mogli na dobre pożegnać się z maseczkami i lockdownami, potrzebne są dalsze masowe szczepienia. Liczba w pełni zaszczepionych osób w Polsce przekroczyła 3 mln, co stanowi niespełna 8,5% populacji – aby zaś można było mówić o tzw. odporności zbiorowej, zaszczepionych musi być 10 razy więcej, czyli przynajmniej 85%. Tymczasem według kwietniowego sondażu CBOS jedynie 65% dorosłych Polaków ma pozytywny stosunek do szczepień (do tej grupy zalicza się tych, którzy otrzymali już przynajmniej jedną dawkę preparatu lub chcą się szczepić w przyszłości). Jeżeli zatem mamy choć trochę zbliżyć się do pożądanych wyników, potrzebne będą szczepienia najmłodszych.

– Gdyby dorośli szczepili się w 100%, mielibyśmy odporność stadną i to ochroniłoby również dzieci – tłumaczy prof. Włodzimierz Gut, wirusolog. – Jednak nie wierzę, że tak się stanie. Dlatego musimy szczepić najmłodszych, mimo że u nich przebieg zachorowania jest zwykle łagodniejszy, a przekazywanie wirusa przez dzieci do 12. roku życia jest znacząco słabsze niż w przypadku osób powyżej 16. roku życia. Jeśli jednak nie zaszczepimy dzieci i młodzieży, populacja będzie miała stałe źródło wirusa – dodaje.

Jeśli nie zaszczepimy dzieci i młodzieży, populacja będzie miała stałe źródło wirusa.

Pfizer/BioNTech znów na pierwszym miejscu

Dokładna data rozpoczęcia szczepień dzieci w Polsce nie jest jeszcze znana, ale wiele wskazuje, że rozpoczną się one jeszcze latem i w pierwszej kolejności będą dotyczyły nastolatków. Trzeba tu przypomnieć, że młodzież od 16. roku życia już teraz, a więc według aktualnie obowiązujących wskazań, może być szczepiona preparatem Comirnaty, czyli produktem Pfizer/BioNTech. Teraz czeka nas kolejny przełom w walce z koronawirusem. Jak informuje biuro prasowe Ministerstwa Zdrowia, Europejska Agencja Leków (EMA) rozpoczęła ocenę wniosku o rozszerzenie wskazań do stosowania szczepionki Pfizera o kolejną grupę – czyli osoby w wieku 12-15 lat. Comirnaty to pierwsza szczepionka, która ma szansę otrzymać rekomendację EMA do stosowania u osób w tak młodym wieku. Wyników oceny agencji, bazującej m.in. na zakończonym już dużym badaniu klinicznym z udziałem młodzieży w wieku 12+, możemy się spodziewać już w czerwcu.

Według informacji opublikowanych na stronie internetowej producenta testy w grupie 12-15 lat potwierdziły 100% skuteczności szczepionki u dzieci w tym wieku oraz jej dobrą tolerancję. Pierwszym krajem, gdzie szczepionka Pfizera przeciw covidowi została dopuszczona do użytku w grupie 12-15 lat, jest Kanada – stało się to 5 maja. Jak donosi „New York Times", prawdopodobnie już za kilka dni taką decyzję wyda też FDA – Amerykańska Agencja ds. Żywności i Leków.

Badania kliniczne w grupach dzieci podjęli również trzej pozostali producenci dostępnych w Polsce szczepionek. Najbliższa końca badań w grupie 12-18 lat jest obecnie Moderna – wyników możemy się spodziewać lada dzień. W tej samej grupie wiekowej szczepionkę testuje Johnson&Johnson.

Złożenie wniosku do FDA o warunkowe zezwolenie na szczepienia dzieci od 2. do 11. roku życia Pfizer planuje na wrzesień 2021 r. Prowadzone badania uwzględniają jednak nawet młodsze dzieci – bo już od 6. miesiąca życia. Podobnie ma się rzecz ze szczepionką Moderny, która jest w trakcie drugiej fazy badań w grupie 0,5-11 lat.

Swoją szczepionkę w grupie dzieci i młodzieży (6-17 lat) testowała od lutego także AstraZeneca – jednak badanie zawieszono w kwietniu w związku z doniesieniami o rzadkich przypadkach zakrzepicy po szczepieniu u osób dorosłych.

JAK WYPADAMY ZE SZCZEPIENIAMI NA TLE EUROPY?

Nie ciągniemy się w ogonie, ale najlepiej też nie jest. Podobne wskaźniki wyszczepialności przeciw COVID-19 uzyskują obecnie Niemcy, Belgowie i Szwedzi. O 2-3 pkt proc. wyprzedzają nas m.in. Francuzi czy Włosi – i właściwie większość krajów Europy Zachodniej. Niekwestionowanymi liderami kontynentu są na razie Wielka Brytania (ok. 24%), Węgry (ponad 22%) i Serbia (niecałe 22%). Bardzo słabo wygląda natomiast sytuacja Ukrainy (w pełni zaszczepiono mniej niż 0,1% populacji, a więc zaledwie kilkaset osób). Odrobinę lepsza jest Białoruś – tam zaszczepiono ok. 1%. Ze szczepieniami nie śpieszy się Finlandia (nieco ponad 3%), ale to kraj, który i tak znakomicie poradził sobie z pandemią – łącznie, od jej początku, w przeliczeniu na 100 tys. mieszkańców, liczba zgonów wynosi 17. W Polsce jest to 179 śmierci z powodu COVID-19 na 100 tys. mieszkańców.

eprasa.pl 829cbd8022

Jak podkreślali naukowcy z Oksfordu prowadzący badania w grupie dzieci, wstrzymano je do czasu uzyskania dodatkowych danych o potencjalnym związku zakrzepicy ze szczepieniami, nie zaś ze względu na obawy o bezpieczeństwo uczestników testów.

Czym są szczepionki dla dzieci?

– To są właściwie te same szczepionki co dla dorosłych – wyjaśnia prof. Włodzimierz Gut. – Są wprowadzane tam, gdzie zostało to przetestowane w odpowiednich grupach wiekowych. Z dotychczas uzyskanych danych wynika, że skuteczność tych szczepionek w grupie powyżej 12 lat jest nawet wyższa niż u starszych. I nic dziwnego, ponieważ szczyt odpowiedzi immunologicznej na podawane antygeny osiągamy między 11. a 13. rokiem życia. To dlatego, że wtedy układ odpornościowy jest już rozwinięty, a jednocześnie w tym wieku nie zaczęliśmy jeszcze sobie szkodzić.

Czy więc nie jest to najlepszy czas, by szczepić się przeciw koronawirusowi i uzyskać długotrwałą odporność, byśmy nie musieli robić tego później? – Obecnie nikt uczciwy na to pytanie nam nie odpowie – mówi prof. Gut. – Niestety, podawane w mediach wyniki badań dotyczące czasu utrzymywania się odporności bywają często źródłem nieporozumień. Kiedy bowiem pada pytanie, jak długo utrzymuje się odporność po szczepieniu, naukowcy odpowiedzą dziś, że 10 miesięcy – bo mniej więcej tyle upłynęło od pierwszych szczepień. Niektórzy błędnie sądzą, że oznacza to, iż odporność utrzymuje się tylko przez ten okres, a potem wygasa. Nie. Po prostu jedynie taki okres mogliśmy sprawdzić.

Trudno powiedzieć, czy dzisiejsze wyniki sondaży, w których pytano dorosłych o chęć zaszczepienia się, przełożą się na odsetek wyszczepialności u dzieci. Część rodziców może uznać, że wprawdzie sami mimo lęku muszą się zaszczepić, ale dzieci nie będą „narażać", ponieważ te i tak o wiele rzadziej ciężko chorują z powodu COVID-19. Te obawy mogą się odnosić szczególnie do szczepionki AstryZeneki, jeśli w przyszłości zostanie ona dopuszczona do stosowania u dzieci. Powiązanie jej z przypadkami zakrzepicy z pewnością będzie działało na wyobraźnię rodziców. Czy słusznie?

– Zakrzepica dotyczyła przede wszystkim kobiet w wieku 18-49 lat – tłumaczy prof. Gut. – Mogły to być więc kobiety stosujące antykoncepcję, uznawaną za czynnik zwiększający ryzyko tej choroby. U nich każde działanie takie jak zastrzyk może wywołać zakrzepicę. Nie ma przy tym znaczenia, którym preparatem się szczepią. Sam fakt szczepienia może być bowiem induktorem choroby.

Czy szczepionki powinny być obowiązkowe?

– Nie ma dziś aktu prawnego, który wprowadzałby obowiązek szczepień dla osób powyżej 18. roku życia – mówi ekspert. – Można egzekwować to innymi sposobami, np. pozwalając wyłącznie osobom szczepionym wchodzić na stadion czy latać samolotami. Jeśli chodzi o dzieci, szczepienia mogłyby być obowiązkowe, ale wprowadzenie ich do kalendarza szczepień trwa dość długo. Nie wiemy jednak, jak wspomniałem, w jakim stopniu zabezpieczyłoby to całą populację, bo musi upłynąć więcej czasu, byśmy mogli się dowiedzieć, jak długo utrzyma się odporność poszczepienna. ■

POLSKI CZERWONY KRZYŻ
WWW.BADZBEZPIECZNY.PCK.PL
RAZEM W WALCE Z KORONAWIRUSEM!
POMÓŻ NAM POMAGAĆ, WPŁAĆ NA KONTO PCK
16 1160 2202 0000 0002 7718 3060
Z DOPISKIEM KORONAWIRUS

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 829cbd8022

GWAŁT po polsku

Ponad 90% sprawców chodzi sobie swobodnie po ulicy

Rozmawia Anna Stachowiak

MAJA STAŚKO
– dziennikarka i aktywistka, współautorka książki „Gwałt polski"

We wstępie do „Gwałtu polskiego" piszecie z Patrycją Wieczorkiewicz: „Nie wymagałyśmy bezpośrednich dowodów na gwałt, bo brak zgody nie pozostawia śladów".

– Brak zgody wciąż nie funkcjonuje społecznie na szerszą skalę także dlatego, że w polskim Kodeksie karnym znajduje się zapis, że gwałt jest każdym obcowaniem płciowym z użyciem przemocy, zwykle utożsamianej z przemocą fizyczną i koniecznym oporem, który ma stawiać ofiara. Innymi przesłankami do uznania czynu za gwałt jest wymuszenie stosunku groźbą lub podstępem. Nie ma kategorii wyrażonej zgody, ona znajduje się w konwencji stambulskiej. Wśród osób, z którymi rozmawiałyśmy, było wiele takich, które nie wyrywały się, nie krzyczały, czyli nie stawiały owego „oporu", wymaganego często w praktyce postępowania sądowego – a jednak doświadczyły gwałtu. Został odbyty stosunek, na który nie wyraziły zgody. Nie można nazwać tego inaczej niż gwałtem.

Na policji, na sali sądowej czy ze strony opinii publicznej pada pytanie: ale dlaczego się nie broniła, skoro działa się jej krzywda?

– To pierwotna, fizjologiczna reakcja organizmu, nad którą nie mamy kontroli. Wiele osób na zgwałcenie reaguje całkowitym paraliżem lub zamarciem, bez względu na to, czy jest to gwałt dokonywany przez męża lub partnera, czy przez obcą osobę. Nasz organizm w sytuacji traumatycznej nie reaguje w racjonalny sposób. Nikt nie może powiedzieć: ja to bym się broniła, krzyczałabym. Nie wiemy, jaka byłaby nasza reakcja w takiej sytuacji, bo nigdy w niej nie byliśmy.

Jakiś czas temu media pisały o sprawie 14-latki zgwałconej przed laty przez dorosłego kuzyna. W uzasadnieniu sąd napisał, że gwałtu nie było, bo dziewczynka nie krzyczała. Tą historią kończycie książkę.

– Napisałyśmy, że kiedy stawiałyśmy kropkę i oddawałyśmy książkę do druku, światło dzienne ujrzała taka historia, w której pojawiają się wszystkie te argumenty sprawiające, że musimy zacząć mówić o gwałcie jako o każdym stosunku bez zgody. Inaczej za każdym razem, zamiast na gwałcie, będziemy się skupiać na tym, czy ona krzyczała, czy wyrywała się, czy złamała gwałcicielowi nos albo rękę, kiedy próbowała uciec. To wszystko absurd. Dopóki jest takie prawo, dopóty nie będziemy w stanie rozmawiać o większości zgwałceń w Polsce, bo one wyglądają zupełnie inaczej.

Robi się z ciebie wariatkę. Staśko jest chora psychicznie, leczy swoje traumy, jest niedoruchana – cytuję komentarze. Przemoc wobec ciebie jest emblematyczna. Nie wierzy się ofiarom i nie wierzy się tobie, kiedy stajesz po ich stronie.

– Wciąż podważa się wiarygodność osób, które doświadczyły gwałtu, przez powoływanie się na ich zaburzenia psychiczne, realne czy rzekome. To absurdalne w tej sytuacji, ponieważ po zgwałceniach wiele osób doświadcza zespołu stresu pourazowego. To zaburzenie psychiczne, które pojawia się w wyniku tego potwornego przekroczenia, którego doświadczyły zgwałcone osoby, więc powoływanie się na zdrowie psychiczne i robienie z kobiet (i nie tylko kobiet) wariatek jest przemocą.

Osoby zgwałcone często boją się szukać pomocy psychologa bądź psychiatry właśnie w obawie przed tym, że jeśli zapis o leczeniu czy

eprasa.pl 829cbd8022

terapii znajdzie się w aktach, stracą wiarygodność. Opisujesz takie sytuacje.

– Im szybciej osoba po zgwałceniu trafi na terapię i uzyska pomoc, tym lepiej. To podstawa – każda osoba powinna mieć dostęp do ochrony zdrowia, także psychicznego. Argument o „wariatce" oskarżającej niesłusznie o gwałt polega na dwóch stygmatyzacjach: z jednej strony piętnuje się osoby, które doświadczyły przemocy seksualnej, z drugiej te, które mierzą się z zaburzeniami psychicznymi, tak jakby nie były wiarygodne, a to, co mówią, było niegodne zaufania. To ma konsekwencje, np. takie, że Katarzyna nigdy nie zdecydowała się iść do psychiatry w obawie, że zostanie uznana za chorą psychicznie. Nie chciała się podkładać.

Ty się podkładasz ciągle.

– Wciąż czytam o sobie, że jestem chora psychicznie, za ładna albo za brzydka na feministkę, że nikt nawet nie chciałby mnie zgwałcić, że ktoś by mnie zgwałcił, bym przestała być „niedoruchana", albo że dlatego tak się zachowuję, bo ktoś mnie zgwałcił. To również jest przemoc. Bardzo bym chciała, żebyśmy w końcu zaczęli mówić o tym, że takie nękanie psychiczne w internecie także jest rodzajem przemocy psychicznej. Szczucie w internecie to przemoc i ja też jestem jej ofiarą. Nie wstydzę się tego słowa.

Dlaczego miałabyś się go wstydzić?

– Wiele osób po doznaniu przemocy nie chce, by mówić o nich „ofiara", ale „osoba, która doświadczyła gwałtu" lub „osoba po zgwałceniu". Czują, że dla nich jest w tym coś biernego. Dla innych powiedzenie: „Byłam ofiarą" jest emancypujące, oczyszczające, pozwala zrzucić wstyd. Kiedy mówią z podniesioną głową: „Jestem ofiarą", to jest wyzwalające – bo przez lata nie chciały tego przyznać albo bały się to głośno powiedzieć. I to jest OK. Najważniejsze, jak osoba z tym się czuje. Ważne, żeby na te historie nie nakładać swoich kalek i przyzwyczajeń. Ja jestem ofiarą hejtu, nękania i przemocy w internecie – mówię to głośno i dla mnie to jest emancypujące. Dostaję groźby, jestem upokarzana. Przerywam milczenie.

Język jest tu bardzo ważny. Piszecie, że jeśli ktoś ukradnie rower, nazywa się go złodziejem. Ale kiedy mowa o gwałcie, unika się określenia gwałciciel czy sprawca, pisze się o „rzekomym gwałcie", „domniemanym", o „kontrowersji" lub „skandalu seksualnym".

– Język jest niesamowicie ważny i słychać to za każdym razem w mediach. Pisze się i mówi, że ta osoba została zgwałcona. Mamy osobę, która jest ofiarą, ale znika nam sprawca. Jest bierna postać, która została zgwałcona, ale brakuje osoby, która zgwałciła. Dlaczego nie mówimy: „Gwałciciel ją zgwałcił"? Dlaczego on znika? W kampaniach społecznych słyszymy: „Mądra dziewczynka pilnuje drinka". A gdzie jest gwałciciel? Gdzie ktoś, kto wrzuca tabletkę gwałtu do drinka, a następnie gwałci? I czy gwałtu doświadczają tylko głupie dziewczynki? Ten brakujący gwałciciel sprawia, że osoby, które głośno mówią: „On mnie zgwałcił", są oskarżane o oczernianie sprawców. Są uznawane za głupie. Bo gwałt przedstawia się jako coś, co „się dzieje". Co nie ma sprawcy. Winą obciąża się zgwałcone: bo są „głupie", źle ubrane, źle umalowane, szły w złym miejscu, źle wybrały partnera.

W głośnych procesach pojawiają się argumenty: ale to taki młody chłopak, u progu życia, nie można mu tego życia niszczyć. To ojciec rodziny, pomyślmy o jego dzieciach!

– Jeśli ktoś gwałci, marnuje życie nie tylko tej osobie, która jest ofiarą, ale także własne. Kiedy ponosi konsekwencje gwałtu, jest to wyłącznie jego wina. Nie ofiary, nie wymiaru sprawiedliwości. To, że ofiara mówi głośno o tym, co ją spotkało, czyni z niej lub niego bohaterkę, a nie winną, bo w ten sposób chroni pozostałe osoby przed przemocą i daje wsparcie innym, które przeżyły to samo.

Z szacunków Amnesty International wynika, że jedynie co 10. gwałt jest zgłaszany. 67% spraw jest umarzanych, 30-40% sprawców dostaje wyroki w zawieszeniu.

– Z raportu fundacji Ster z 2015 r. wynika, że 94% kobiet po doświadczeniu gwałtu nigdzie tego nie zgłasza. Ponad 90% sprawców chodzi sobie swobodnie po ulicy, my możemy ich mijać, mogą się do nas uśmiechać, możemy im sprzedać pora w warzywniaku i nie wiedzieć, że to gwałciciele. Za każdym razem, kiedy taki gwałciciel zostaje ujawniony, pojawia się wielkie zdziwienie, bo my tak bardzo wypieramy społecznie fakt, że przemoc seksualna istnieje, a gwałcicielem może być absolutnie każdy – nasz chłopak, mąż, sąsiad – że stosujemy mechanizmy obronne. Chcemy wierzyć, że gwałciciel to obcy nożownik wyskakujący zza krzaków. No nie. Gwałty dzieją się codziennie, za drzwiami, tuż obok nas. Co piąta kobieta w Polsce doświadczyła gwałtu. Zostawia się je samym sobie, bo łatwiej przymykać oczy i karmić się fałszywą wizją świata bez gwałtów.

Ale po co one mają to gdziekolwiek zgłaszać, skoro na policji nikt im nie wierzy? Twoje bohaterki od policjantów słyszały, żeby nie robiły afery, że jak mąż, to nie gwałt, i skoro w domu czysto i mają co jeść, to nie ma co. Prokuratura i tak umarza, bo to niska szkodliwość społeczna czynu.

– Przez wiele lat głos kobiet i nasze doświadczenia były uciszane i marginalizowane. Nie było ich w mediach rządzonych przez mężczyzn, nie było w literaturze pisanej głównie przez mężczyzn. Kobiety rozmawiały szeptem, nie miały reprezentacji politycznej ani medialnej. Przemoc seksualna to taka, która dotyka przede wszystkim kobiety i którą stosują przede wszystkim mężczyźni, więc mężczyznom wygodniej było o tym nie wspominać. Kiedy zaczęłyśmy dochodzić do mediów, mówić

Słyszymy, że jesteśmy wiedźmy, wariatki, za brzydkie, za ładne, za grube, za chude.

Gwałty dzieją się codziennie, obok nas. Co piąta kobieta w Polsce doświadczyła gwałtu.

FOT. DAWID MAJEWSKI

eprasa.pl 829cbd8022

głośno, pojawił się olbrzymi *backlash*, bo tych informacji po prostu przez lata nie było. Co więcej, takie informacje są dla sprawców niewygodne i niebezpieczne. Narracje kobiet dotyczące seksualności, przemocy seksualnej, aborcji były i wciąż są wykluczane. Trudno się z nimi przebić, bo zawsze słyszymy, że jesteśmy wiedźmy, wariatki, za brzydkie, za ładne, za grube, za chude. Wykorzystuje się każdy argument, żeby podważyć nasze słowa.

Zdawać by się mogło, że w wymiarze sprawiedliwości pracują ludzie, którzy mają większą świadomość.

– Rzecznik praw obywatelskich sprawdził, że szkoleń w zakresie wspierania osób po przemocy, nie tylko seksualnej, jest zdecydowanie za mało, więc policjanci czy prokuratorzy nie wiedzą, jakie mechanizmy tu działają. Czy dziwić się osobom, które nie zgłosiły zgwałceń? Absolutnie nie. Bohaterce naszej książki, Ani, powiedziano, że skoro jej mąż gwałciciel zarabia na dom, to jak ona utrzyma się sama. Katarzyna z kolei chodziła do policjantów, do sołtyski, do prokuratorki i próbowała szukać pomocy. Nikt nie chciał przyjąć jej dramatu do wiadomości, nikt nie chciał jej pomóc.

Nie możemy winić osób, które doświadczyły gwałtu, że tego nie zgłaszają, bo zgłoszenie i cały proces prawny bywają jeszcze bardziej bolesne od samego gwałtu. To wtórna wiktymizacja ofiar. Nie można od nich wymagać takiego heroizmu i poświęcenia, żeby jeszcze więcej cierpiały. I po co? Żeby sprawę umorzono? To wymaganie od ofiar ciągłej ofiary, ciągłego cierpienia. Wymagajmy wreszcie od służb, żeby się doszkalały, od prawa, żeby było lepiej ustalane, od polityków, żeby zmieniali to prawo. Tu powinien być nacisk, nie na ofiary.

Kiedy słucham historii kobiet, czytam uzasadnienia umorzeń czy oddaleń zażaleń, zawsze jestem zdziwiona, gdy znajduję nazwisko prokuratorki czy sędzi. Zastanawiam się, czy one nie mają matek, córek, sióstr, przyjaciółek, że tak chętnie stają po stronie sprawcy. Bo system chroni sprawcę, nie jego ofiarę.

– System działa na rzecz sprawców przemocy. Sprawcy są bezkarni, ofiary cierpią. Brak działań zawsze będzie działał na rzecz sprawców. Nie trzeba nawet znęcać się nad ofiarą czy zadawać jej pytań, które będą wtórnie traumatyzujące, żeby zadać jej cierpienie. Wystarczy nic nie robić. I tak działa system. Próba walki o siebie jest widziana jako bezczelność, fałszywe oskarżenia, oczernianie. A sprawcy chodzą wolno, kiedy wszyscy skupiają się na ofierze. „Byłaś pijana". „Dlaczego miałaś taki duży dekolt?". „Dlaczego tyle lat milczałaś?". W naszej rzeczywistości opowiedzenie o tym, że ktoś cię zgwałcił, jest większym występkiem niż to, że zgwałcił. Kiedy 21-letni mężczyzna groził 16-latce, że jeśli nie będzie z nim odbywać stosunków, udostępni jej nagie zdjęcia, które mu wysyłała, i w ten sposób wymuszał seks – czyli ją gwałcił – to ją oskarżano o to, że wysyłała mu zdjęcia. To ona dla komentujących okazała się winna.

Płacimy i jeszcze długo będziemy płacić za brak edukacji seksualnej.

– To mnie uderzyło, kiedy rozmawiałam z moimi bohaterkami. To szokujące, że czasami gwałt jest banalny: gwałciciel uznaje, że w małżeństwie stosunek po prostu mu się należy. Albo że skoro osoba śpi lub jest nietrzeźwa, to może ją wykorzystać, bo przecież, jak powiedział kiedyś publicysta Rafał Ziemkiewicz, kto nie wykorzystał nietrzeźwej, niech pierwszy rzuci kamieniem. Albo że w trakcie stosunku może zdjąć prezerwatywę, bo nikt go nie nauczył, że to również jest zgwałcenie. Wydaje się, że to oczywiste i podstawowe rzeczy, ale gwałciciele często nie mają takiej wiedzy.

Biedne, nieświadome misie?

– Nie. Ale nikt ich nie uczy, jak nie gwałcić. Czym jest gwałt, czym jest zgoda w seksie. To nas się uczy, jak uniknąć gwałtu. Zdarza się, że mężczyźni nie wiedzą, że gwałcą. Gdyby mieli tę wiedzę, wielu gwałtów by po prostu nie było. A ofiary nie wstydziłyby się, nie cierpiały i nie miały wyrzutów sumienia, że następnego dnia zrobiły gwałcicielowi śniadanie lub że w trakcie gwałtu były mokre, bo to też się zdarza. Podobnie jak orgazm w trakcie zgwałcenia. To normalne, fizjologiczne reakcje. Po gwałcie można iść następnego dnia z gwałcicielem do kościoła albo pozostawać z nim jeszcze wiele lat w związku – to nie oznacza, że gwałtu nie było. Reakcji na gwałt jest tyle, ile osób. I to nie reakcja jest problemem, tylko sam gwałt.

Jak wspierać osobę, która doświadczyła zgwałcenia?

– Ufać. Ze statystyk wynika, że ludzie nie zgłaszają gwałtów, bo się obwiniają i nie wierzą w system sprawiedliwości. Nie ma co się na nich obrażać, że nie chcą zawiadamiać organów ścigania. Nie ma co nakłaniać czy dawać nieproszonych rad. Po sytuacji zgwałcenia najważniejsze jest to, by dać całkowite, bezwarunkowe wsparcie. Każda decyzja jest OK. Jeśli chcesz płakać, OK. Chcesz się upić? OK. Nie chcesz iść na policję? OK, jestem obok, z tobą. Wspieram cię, nie jesteś winna i nie jesteś sama. Co mogę dla ciebie zrobić? Ktoś będzie potrzebował opieki nad psem, ktoś inny może potrzebować wsparcia finansowego, wtedy można taką osobę skierować do Feminoteki, która prowadzi specjalny Fundusz Przeciwprzemocowy. Dobrym adresem jest także Centrum Praw Kobiet, gdzie kobiety doświadczające przemocy mogą skorzystać z porad prawniczek i terapeutek. Nie jesteś winna. Nie jesteś sama.

Anna Stachowiak

- **Feminoteka: feminoteka.pl**, telefon dla kobiet doświadczających przemocy 888 883 388
- **Centrum Praw Kobiet: cpk.org.pl**, całodobowy telefon interwencyjny 600 070 717, dyżur prawny (czw., godz. 12-18) 22 621 35 37

Wciąż podważa się wiarygodność osób, które doświadczyły gwałtu.

Szczucie w internecie to przemoc i ja też jestem tego ofiarą.

eprasa.pl 829cbd8022

Z Galicji

Jan Widacki

Jestem symetrystą

Ostatnie głosowanie w Sejmie przekonało mnie całkowicie. Jeszcze do niedawna miałem do Platformy, a ściślej do wielu jej polityków, jakiś sentyment. Niektórych znałem jeszcze z Unii Wolności, innych poznałem w czasie własnego pobytu w Sejmie. Teraz ostatecznie tego sentymentu się wyzbyłem. Prywatnie wielu z tych ludzi nadal będę lubił, niektórych także szanował. Uważam jednak, że najwyższy czas, by PO w ślad za PiS, a najlepiej razem z nim, zniknęła z głównego nurtu polskiej polityki. Wiem, że to życzenie się nie spełni. Polska jest skazana na PiS i na obecność PO jeszcze przez długie lata. Wielokrotnie powtarzałem, że nieszczęściem jest nie to, że PiS istnieje, ale to, że tak jak PiS myśli prawie jedna trzecia Polaków, a w tym myśleniu gorliwie wspiera ją Kościół katolicki (teologicznie poprawniej byłoby napisać, nie Kościół katolicki, ale przeważająca część episkopatu i duchowieństwa). Dopóki to się nie zmieni, a właściwie dopóki ta jedna trzecia się nie zmieni, zawsze znajdzie się siła polityczna, która będzie ją reprezentować, która będzie jej polityczną emanacją. Czy ta polityczna reprezentacja będzie się nazywała PiS, czy inaczej, nie ma to większego znaczenia.

Z Platformą pod tym względem jest dużo gorzej. Nie jest jedyną reprezentacją ludzi bardziej niż elektorat PiS wykształconych, bardziej nowoczesnych, bardziej proeuropejsko nastawionych i otwartych na świat, będących na ogół w lepszej kondycji materialnej niż ci, którzy są bazą wyborczą PiS. Tacy ludzie nie są skazani na Platformę. Przez jakiś czas zyskiwała na tym, że była największą antypisowską siłą polityczną. Uwierzyła, że tak ma być, a każdy, kto nie chce rządów PiS, musi popierać Platformę. Otóż już nie musi.

Porozbijana lewica wróciła do gry. W międzyczasie też się zmieniła. Lewica, a szczególnie jej część wywodząca się z Razem czy Wiosny, to nie partia sierot po PRL, kontynuacja PZPR. Kto taki zarzut dziś jej stawia, oprócz tego, że mówi nieprawdę (tym w polityce nikt za bardzo się nie przejmuje), coraz bardziej naraża się na śmieszność. W młodym pokoleniu, w którym postawy lewicowe są coraz częstsze, taka Lewica może zdobywać popularność.

Ruch Szymona Hołowni, Polska 2050, adresowany jest dokładnie do tego samego elektoratu, w który celuje Platforma. Ale ma nad nią tę przewagę, że nie jest uwikłany w przeszłość. W uzależnienie od Kościoła, w coraz bardziej z upływem czasu groteskowy antykomunizm, w początkową współpracę z PiS, z którym PO ręka w rękę likwidowała Wojskowe Służby Informacyjne, tworzyła CBA, „dekomunizowała", „dezubekizowała", „lustrowała", budując mocny fundament pod gmach państwa PiS.

Platforma nie może wybaczyć Lewicy, że zrobiła coś, do czego jej, Platformie, brakło rozumu i konsekwencji.

Gdy zbliżało się głosowanie ratyfikacyjne w Sejmie, Koalicja Obywatelska (*de facto* koalicja Platformy z samą sobą) nie bardzo wiedziała, co zrobić. Gdyby ratyfikacja się nie udała, Polska straciłaby miliardy euro. A mogła się nie udać. Ziobro i dowodzona przez niego przystawka jawnie zapowiadali, że zagłosują przeciw, bo te unijne miliardy ograniczą polską suwerenność. Gdyby cała opozycja zagłosowała solidarnie z Ziobrą i jego posłami przeciw, do ratyfikacji by nie doszło. Efekt? Nie tylko Polska (faktycznie, jak mawiała premier Szydło, Polki i Polacy) nie dostałaby unijnych miliardów. Zablokowałoby to europejskie fundusze dla wszystkich krajów Unii. Osłabiło po raz kolejny Unię, a Polska umocniłaby swoją pozycję unijnego warchoła, nieumiejącego w dodatku oderwać się od tradycji *liberum veto.*

Na opozycji gadano wiele, mętnie lub patetycznie (i zarazem mętnie), podczas gdy alternatywa była taka: albo głosować z PiS za ratyfikacją, albo z Ziobrą przeciw. Można też było jakoś rozmawiać z PiS, obiecywać poparcie w zamian za coś. Ale na opozycji uważano, że z PiS się nie rozmawia. Kierownictwo PO coś przebąkiwało, że przy okazji tego głosowania uda się (przy pomocy Gowina) odsunąć PiS od władzy (w szczegółach nie bardzo wiadomo jak), stworzyć nowy układ polityczny z tymże Gowinem, być może obdarowując go stanowiskiem marszałka Sejmu albo nawet premiera. Wszystko to było bardzo niekonkretne, bardzo naiwne, ignorujące arytmetykę na poziomie szkoły podstawowej. Platforma w wyraźnym politycznym stresie mówiła rzeczy wzajemnie sprzeczne, czasem niestety niedorzeczne. Raz, że trzeba zmusić PiS do przyjęcia określonych zasad podziału unijnych środków (jak to zrobić, nie rozmawiając z PiS, nie wiem), innym razem, że pieniądze unijne są bardzo potrzebne Polsce (więc chyba trzeba ratyfikować umowę), ale gdy PiS dostanie z Unii takie środki, to koniunktura gospodarcza się poprawi, przez co PiS może wygrać kolejne wybory (więc lepiej nie ratyfikować). Tymczasem Lewica podjęła rozmowy z premierem Morawieckim (wiem, że to ryzykowne, bo pan premier uznawany jest za notorycznego kłamcę, ale na razie nie mamy innego premiera), przedstawiła swoje warunki poparcia w głosowaniu nad ratyfikacją i te warunki zostały przyjęte.

Lewica zatem poparła rząd, umowa została ratyfikowana. No i zaczęło się!

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 829cbd8022

Rozległo się wycie, nakręciła licytacja, kto bardziej Lewicy dowali. Radosław Sikorski porozumienie z premierem przyrównał nawet do paktu Ribbentrop-Mołotow. Swoją drogą to chyba jego ulubione porównanie, do paktu Ribbentrop-Mołotow w przeszłości porównywał różne rzeczy. Platformę we wściekłym ataku na Lewicę wsparł sojuszniczo Michał Kamiński z kolejnej koalicji – Koalicji Polskiej (czyli tym razem koalicji balansującego nad/pod progiem wyborczym PSL z samym sobą). Różni, nawet dość rozsądni, wydawałoby się, politycy PO i PSL oraz zaprzyjaźnieni z nimi publicyści krzyczeli o zdradzie, jakiej dopuściła się Lewica, nazywając ją, ewidentnie wbrew faktom, nowym koalicjantem PiS. Na miano koalicjanta PiS mimo wielu zaprzeczeń znacznie bardziej zasłużyła w takim razie Platforma, która – powtórzę – będąc w opozycji, wspierała PiS w likwidacji WSI, tworzeniu CBA, w rozmaitych lustracjach i dezubekizacjach. Można odnieść wrażenie, że Platforma nie może wybaczyć Lewicy, że zrobiła coś, do czego jej, Platformie, brakło rozumu i konsekwencji.

Nie sądzę, aby mój apel do Platformy mógł być skuteczny, ale z obowiązku obywatelskiego apeluję: już nie pukajcie się w głowę, a przynajmniej ugryźcie się w język. Przestańcie wygadywać o Lewicy niestworzone i obraźliwe rzeczy. Bredzić, że stała się koalicjantem PiS. Uważajcie, bo doprowadzicie do tego, że wszelkie mosty między wami a Lewicą zostaną spalone, a jedność opozycji będzie jeszcze Polsce potrzebna.

Przypomnijcie sobie rok 2007. Kiedy teoretycznie, z pomocą zbuntowanych ówczesnych przystawek PiS – Samoobrony Leppera i LPR Giertycha – można było obalić rząd Kaczyńskiego. Wtedy Donald Tusk słusznie na to się nie godził. Wolał nowe wybory i je wygrał. Dziś w Platformie niestety brakuje kogoś na miarę ówczesnego Tuska. Dlatego do najbliższych wyborów parlamentarnych Platforma wyruszy z 10-15% poparcia.

Jeśli najbliższe wybory – obojętne, terminowe czy przedterminowe – PiS przegra, to opozycja będzie musiała stworzyć szeroką koalicję razem z Lewicą. Dzisiejsze, wynikające z głębokiej frustracji, głupie ataki na nią mogą sprawić, że taka koalicja będzie niemożliwa. Więc ugryźcie się w język, panowie.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Transakcja pozorna

Policjanci na ławie oskarżonych – przestępcy czy ofiary wewnętrznej rozgrywki?

Marek Książek

Jeśli polski sąd ma mnie skazać za ściganie bandytów, to jestem ostatnią osobą, która będzie zachęcała innych, by wiernie służyli ojczyźnie – wyznaje Marcin Miksza, były funkcjonariusz Centralnego Biura Śledczego Policji. Proces jego i jego dwóch kolegów toczy się przed Sądem Rejonowym dla Warszawy Pragi-Południe. Policjantom zarzuca się zaangażowanie w operację pod przykrywką handlarza narkotyków, czym naruszyli ustawę o policji.

Jak „prawdziwy pies" stał się przestępcą

O głośnej w środowisku policyjnym sprawie pisaliśmy ponad dwa lata temu w tekście „Jak »prawdziwy pies« został złym gliniarzem" (PRZEGLĄD, nr 51/2018). Przypomnijmy w skrócie: Marcin Miksza, rocznik 1978, bardziej znany jako „Borys", zaczął pełnić służbę dla kraju w Mrągowie, gdzie szybko zwrócił uwagę przełożonych, pomagając kolegom z komendy wojewódzkiej schwytać zabójców jednego z uczestników Pikniku Country. Ci koledzy ściągnęli go do wydziału narkotykowego KWP w Olsztynie. Potem dostał propozycję wejścia do zespołu werbunkowego, zajmującego się wyszukiwaniem informatorów do współpracy z policją. Jakiś czas tym się zajmował, ale kiedy jego były przełożony z KWP został wiceszefem Centralnego Biura Śledczego, Miksza przeszedł do miejscowych struktur tej służby. Wkrótce, czyli w 2013 r., został naczelnikiem wydziału narkotykowego CBŚ w Olsztynie, prowadząc skuteczną walkę z przemytnikami i handlarzami narkotyków, likwidując plantacje marihuany oraz tępiąc handel coraz modniejszymi dopalaczami. Na wspomnienie „Borysa" przestępcy zgrzytali zębami i grozili zemstą po wyjściu z więzienia, w którym znaleźli się za sprawą Mikszy i jego zespołu.

Ale wrogów narobił sobie też we własnym środowisku. Szczególnie po usunięciu z wydziału dwóch lewusów, jak ich określa. Zwłaszcza jeden pytał z oburzeniem, jak to kapitan może ruszyć majora, czyli policyjnego podinspektora. Obaj zwolnieni znaleźli zajęcie w Biurze Spraw Wewnętrznych, tzw. policji w policji, uzyskując dobry wgląd w poczynania byłego szefa. Z tego miejsca szukali na niego haków – co m.in. udowodnił reporter TVN Grzegorz Głuszak w programie „Superwizjer" w grudniu 2017 r. Do Mikszy docierały pogróżki, że mu głowa spadnie, bo skrzywdził starszego stopniem kolegę. Miksza w końcu złożył do komendanta CBŚP raport, który nie dotarł jednak do adresata.

Wydział narkotykowy z powodzeniem funkcjonował dalej, a gdy dotychczasowy szef olsztyńskiego zarządu CBŚP (podległego centrali w Warszawie) szykował się na emeryturę, zaczęto mówić o „Borysie" jako jego naturalnym następcy. Wtedy, jak wspomina, „czarna propaganda" przeciw niemu rozkręciła się na dobre. Zaczęły wyciekać tajne dane o jego osobowych źródłach informacji, pojawiły się plotki, że jest sutenerem, łapówkarzem i dilerem narkotyków. Funkcjonariusze BSW mieli rozpytywać w światku przestępczym, czy Miksza ma plantację marihuany, czy gdzieś na boku kręci lody, ale nic się nie potwierdziło. Reporter TVN dotarł nawet do kryminalistów informatorów wydziału narkotykowego, a ci potwierdzili, że BSW chciało ich nakłonić do ujawnienia jakichś grzechów „Borysa". Nie udało się, chociaż

eprasa.pl 829cbd8022

Marcin „Borys" Miksza nie daje za wygraną.

jeden z przestępców mógł w ten sposób wymigać się od więzienia.

Akt oskarżenia po pięciu latach

Wprawdzie BSW nie znalazło materiałów kompromitujących Mikszę, ale w tym czasie (przypadkiem?) został on wezwany do Prokuratury Regionalnej w Szczecinie, gdzie usłyszał zarzuty niedopełnienia obowiązków i przekroczenia policyjnych uprawnień. Prokurator Aldona Lema zasłaniała się później tajemnicą śledztwa i nie chciała mediom ujawniać szczegółów, ale potwierdziła, że z zarzutami wiąże się „konkretne przestępstwo narkotykowe". Po trzech latach śledztwa, pod koniec 2018 r., rzecznik prasowy szczecińskiej prokuratury nie odpowiedział PRZEGLĄDOWI na pytanie, dlaczego do sądu nie skierowano jeszcze aktu oskarżenia albo sprawy nie umorzono. Na nasze dociekania zareagował jedynie utartą formułką, że „czas trwania tego postępowania wynika z jego charakteru", a planowane czynności są prowadzone na bieżąco.

Zanim zapadły jakiekolwiek rozstrzygnięcia, Mikszę i jego dwóch podwładnych zawieszono w czynnościach, a następnie zmuszono do przejścia na wcześniejszą emeryturę, choć „Borys" nie miał jeszcze 40 lat! Jeden z jego kolegów, Tomasz Sobczyński, nie bał się pokazać twarzy w programie TVN. Drugi natomiast ciężko przeżywał tę sytuację, a wszyscy trzej nie mogli zrozumieć, co zrobili, żeby pozbywać się ich ze służby. I to zanim sąd wydał w tej sprawie jakiekolwiek orzeczenie, nie mówiąc o prawomocnym wyroku!

Bo akt oskarżenia, podpisany przez prokurator Aldonę Lemę ze Szczecina, trafił do warszawskiego sądu po niemal pięciu latach od postawienia zarzutów. Wczytując się w jego jawną część, można dojść do wniosku, że organy ścigania na siłę próbują uzasadnić zarzuty niedopełnienia obowiązków przez funkcjonariuszy. Główny zarzut dotyczy tego, że w trakcie operacji pod przykrywką działali oni w porozumieniu z prawdziwym handlarzem narkotyków, czym naruszyli przepisy o transakcji pozornej. Co prawda, policjanci mogą w jej trakcie „korzystać z pomocy osób udzielających pomocy" (tak napisano w akcie oskarżenia!), ale kolejny artykuł ustawy „uniemożliwia wykorzystanie osoby udzielającej pomocy funkcjonariuszowi Policji do wykonywania czynności w ramach transakcji pozornej". Zaiste trzeba tęgiej głowy prawniczej, żeby to przełożyć na ludzki język i jeszcze uzasadnić. W każdym razie obrońcy oskarżonych mają duże pole do popisu.

„Borys" (w środku) na planie serialu „Kruk II". Obok aktorzy: Magda Koleśnik i Michał Żurawski.

Policja śledzi policję

Sam główny oskarżony czeka na moment, aż będzie mógł odeprzeć te zarzuty podczas procesu sądowego. Natomiast już w programie „Superwizjer" z 2017 r. zrekonstruowano wydarzenia, które mogły do ich postawienia doprowadzić. Oto „Borys" i jego dwaj podwładni zastawili pułapkę na handlarzy narkotyków w Trójmieście. Na parkingu hipermarketu w Gdyni ich informator miał się spotkać z dilerem i odebrać od niego porcję substancji psychotropowej. Siedzieli w samochodzie obok i nagle zauważyli, że sami są obserwowani. Sądzili, że przez innych przestępców, więc przerwali operację i diler odjechał z narkotykami. Okazało się jednak, że obserwowali ich funkcjonariusze olsztyńskiego BSW, a odwołana akcja posłużyła do postawienia „Borysowi" i jego kolegom z CBŚP zarzutów handlowania narkotykami. Chociaż miała to być transakcja pozorna do ustalenia i schwytania prawdziwych handlarzy. Nie wiadomo, na ile ta wersja potwierdzi się w sądzie, ponieważ ta część, łącznie z podsłuchami rozmów telefonicznych, jest wyłączona z jawności. Jak twierdzi „Borys", podsłuchy były analizowane przez olsztyńskie Biuro Spraw Wewnętrznych, bo pani prokurator nie miała o tych sprawach zielonego pojęcia.

Marcin Miksza jest przekonany, że sąd go uniewinni, podobnie jak jego kolegów z wydziału. Na ławie oskarżonych siedzą obok trzech kryminalistów, w tym pomocnika zaangażowanego do transakcji pozornej i dwóch dilerów. Przestępcy, tak jak byli policjanci, odpowiadają z wolnej stopy. Lepiej nie pytać, jak ci drudzy czują się w tym towarzystwie.

Tymczasem „Borys" znalazł się na planie drugiej części serialu kryminalnego „Kruk". Został konsultantem w ekipie filmowej, która docenia jego doświadczenie w ściganiu przestępców. ■

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE (2)

eprasa.pl 829cbd8022

Sześcioletni Muhammad, nomada, został poturbowany przez kolegów podczas zbierania zużytej amunicji, prowincja Ghazni, październik 2013 r.

KREW W PIACH

Koniec zachodniej interwencji w Afganistanie

Marcin Ogdowski

Prezydent Joe Biden zadecydował – ostatni żołnierze USA opuszczą Afganistan 11 września 2021 r. Jego śladem poszli inni zachodni przywódcy, jak również władze Polski. „Razem weszliśmy, razem wyjdziemy", stwierdził przed kilkoma dniami minister obrony Mariusz Błaszczak. Co znamienne, stanie się to w 20. rocznicę ataków na World Trade Center, które dały pretekst do tzw. wojny z terrorem.

Pokój wymaga podziału władzy

Gdy jesienią 2001 r. amerykańscy piloci rozpoczęli odwetowe naloty na bazy Al-Kaidy, zapewne nie spodziewali się, że to początek najdłuższego konfliktu w historii Stanów Zjednoczonych. Przekleństwem okazały się… niespodziewane sukcesy. Pod bombami i naporem zaktywizowanych przez Waszyngton wewnętrznych przeciwników reżim talibów rozsypał się jak domek z kart. Co prawda, wspierany przez nich przywódca Al-Kaidy Osama bin Laden zdołał zbiec, ale jego organizacja poszła w rozsypkę. Jak się wydawało, Afganistan był wolny od religijnych ekstremistów i działających z nimi ręka w rękę terrorystów. Pod Hindukusz posłano wojska NATO z zadaniem ochrony procesu odbudowy i demokratyzacji Afganistanu. Do zrujnowanego wcześniejszymi wojnami kraju popłynęła rzeka pieniędzy i masa organizacji z odpowiednim *know-how*. Formalnie wszystko działo się za zgodą zainstalowanego w Kabulu prozachodniego rządu.

Pięć lat później Afganistan znów płonął – wielu mieszkańców uznało oddziały pokojowe za wojska okupacyjne, a wprowadzane reformy za zbyt radykalne. Doszło do odtworzenia ruchu talibskiego, którego akcje nakręcały spiralę przemocy. W 2010 r. w Afganistanie stacjonowało już 150 tys. żołnierzy koalicji (w większości Amerykanów), wspieranych przez dziesiątki tysięcy najemników z cywilnych firm ochroniarskich. Większość środków przeznaczonych na odbudowę szła na utrzymanie 350-tysięcznych lokalnych sił bezpieczeństwa. Zachodni przywódcy zorientowali się, że wdepnęli w sytuację, z której nie ma dobrego wyjścia. Rozwiązaniem miała być decyzja o zakończeniu natowskiej misji i scedowaniu obowiązku utrzymania porządku na samych Afgańczyków. Tak też się stało z końcem 2014 r. – od tej pory Zachód utrzymywał w Afganistanie jedynie nieduże szkoleniowe kontyngenty. Dziś to zaledwie 2,5 tys. Amerykanów i 7 tys. wojskowych z innych krajów, w tym 320 Polaków.

Mimo dalszej zachodniej pomocy finansowej oraz wsparcia militarnego (ograniczonego do sił specjalnych i lotnictwa) Kabulowi nie udało się zdławić talibskiej rebelii. Stało się oczywiste, że pokój wymaga podzielenia się władzą. Świadomi tego Amerykanie właściwie zmusili rząd Afganistanu do rozmów z wrogami. Niestety, prowadzone w katarskiej Ad-Dausze negocjacje dawno utknęły w martwym punkcie, a talibowie

eprasa.pl 829cbd8022

zintensyfikowali działania zbrojne. Na początku maja br. zajęli bazę w Ghazni, w prowincji o tej samej nazwie. Zginęło kilkudziesięciu żołnierzy sił rządowych, a 25 dostało się do niewoli. Rebelianci przejęli także spore zapasy broni i amunicji. Nie był to pierwszy przypadek ataku na Ghazni – w 2018 r. całe miasto na kilka dni znalazło się we władaniu talibów. Wspominam o tym z dwóch powodów. Po pierwsze, tak właśnie wygląda *modus operandi* talibskiego wojska – na co dzień trzyma się ono z dala od większych ośrodków, by od czasu do czasu dokonać rajdu, którego celem – poza uzyskaniem środków do dalszej walki – jest demonstracja siły i możliwości. Pokazanie, kto faktycznie rządzi w danym regionie. Po drugie, dla Polaków Ghazni jest miejscem symbolicznym, tam bowiem mieściła się główna baza naszego kontyngentu, prowincja zaś była tzw. rejonem odpowiedzialności żołnierzy Wojska Polskiego. Fakt zajęcia „naszej" bazy wywołał wśród wojskowych niemałe poruszenie, zwłaszcza że zbiegło się to z informacją o ostatecznym wycofaniu sił zachodnich z Afganistanu. „Krew w piach", komentowano na branżowych forach, odnosząc się do sensowności afgańskiej misji.

Niewykorzystane możliwości i stracone korzyści

Początkowo Polska wysłała do Afganistanu 100-osobowy kontyngent, lecz w 2010 r. utrzymywaliśmy tam już niemal 2,6 tys. żołnierzy. Połowa służyła w grupach bojowych, wbrew oficjalnej narracji mówiącej o misji pokojowej na całego zaangażowanych w wojnę antypartyzancką. Jej skutkiem była śmierć 47 żołnierzy i rany odniesione przez ponad 200 (u 800 żołnierzy stwierdzono lżejsze urazy). Między 2001 a 2014 r. państwo polskie wydało 6 mld zł na utrzymanie kontyngentu – z tego 120 mln zł przeznaczono na projekty pomocowe dla Afgańczyków. Co na tym zyskaliśmy? Często podnoszony argument o zdobyciu opinii lojalnego i przewidywalnego sojusznika nie ma dziś racji bytu. Zyski zostały zaprzepaszczone przez irracjonalną politykę zagraniczną PiS. Obecne władze RP nie rozumieją, że status pieniacza, jaki mamy w Brukseli, przekłada się na postrzeganie nas w NATO. Dla „starego" Zachodu Unia i Sojusz Północnoatlantycki to zazębiające się organizacje.

W Afganistanie służyło 30 tys. Polaków, do dziś PTSD zdiagnozowano u niespełna tysiąca.

Nie można w jednej być konusem, a w drugiej prymusem. Rzekoma wdzięczność Waszyngtonu, objawiająca się obecnością militarną w Polsce, nie ma większego związku z działaniami naszych władz. Jest odpowiedzią na rosyjskie zagrożenie i służy przede wszystkim zwiększeniu bezpieczeństwa państw bałtyckich (tak, Amerykanie w Polsce są po to, by łatwiej dotrzeć na Litwę, Łotwę i do Estonii). Trudno też mówić o trwałych skutkach zmian w wojsku. Żołnierz się ostrzelał, oficerowie nauczyli się dowodzić w boju – mówiono przez lata. Z tego punktu widzenia objęcie funkcji szefa Sztabu Generalnego WP przez gen. Rajmunda Andrzejczaka, który w Azji odsłużył dwie tury, wydaje się ukoronowaniem pozytywnych procesów. Rzecz w tym, że Polacy największe doświadczenie zdobywali w latach 2008-2013, a dziś sporo służących wtedy żołnierzy jest już w cywilu. Wielu żywi do armii urazę, gdyż zwolniono ich z powodu przepisów zabraniających szeregowym służby dłuższej niż 12 lat. Udział w misji tylko przez jakiś czas był trampoliną do awansu. Szybko okazało się, że lepiej przeczekać w Polsce – porobić kursy wyżej punktowane przez biurokrację MON. Przykład gen. Andrzejczaka jest raczej odstępstwem od reguły. Co więcej, sprzęt kupowany w ramach „pakietu afgańskiego", który gwarantował skok technologiczny, przez dekadę się zestarzał. Przemysł zaś, poza chlubnym wyjątkiem transportera Rosomak (efektem afgańskich doświadczeń było kilkaset usprawnień jego konstrukcji), właściwie nie wykorzystał szansy. Dość powiedzieć, że dopiero dziś widoki na wdrożenie ma nowy wzór munduru – 20 lat po tym, jak wysłaliśmy żołnierzy na wojnę.

Wojnę, patrząc z globalnej perspektywy, horrendalnie drogą. Waszyngton wydał na interwencję w Afganistanie 2,2 bln dol. (!), co uwzględnia także ponad 500 mld dol. odsetek od obligacji wojennych. Nie znamy kosztów pozostałych krajów, ale bez wątpienia idą w dziesiątki miliardów dolarów. Co za tę cenę udało się uzyskać? Afganistan podniósł się z gruzów – kto oglądał Kabul w 2001 r. i widział go w ostatnich latach, nie będzie miał żadnych wątpliwości. Nastąpiły ważne procesy emancypacyjne – prawodawstwo wyszło z mroków średniowiecza, a kilkanaście roczników dziewczynek i kobiet wkroczyło na ścieżkę edukacji. Akceptację zyskały zakazane dotąd formy spędzania wolnego czasu. Wokół nich utworzyły się całe przemysły – telewizyjny, muzyczny, sportowy – bez których Afgańczycy, szczególnie młodzi, nie wyobrażają już sobie życia, co rodzi nadzieję na społeczny opór wobec zapędów ekstremistów religijnych. Państwowość, choć daleka od przyzwoitych norm, nie ma postaci efemerydy a chronią ją względnie silna armia i policja. Wciąż trawione korupcją oraz dezercjami, ale w stopniu znacznie mniejszym niż przed dekadą. Zredukowano zgubne dla Kabulu wpływy Pakistanu, głównie na skutek wojny prowadzonej przez Waszyngton na pograniczu afgańsko-pakistańskim.

Śmierć poniosło 47 polskich żołnierzy, rannych zostało ponad 200.

Mówiąc obrazowo, drony zabiły już tylu pakistańskich mącicieli, że Islamabadowi przestaje się opłacać wysyłanie kolejnych. Niestety, pod Hindukusz wróciła Al-Kaida, pojawiły się również bojówki Państwa Islamskiego. Do rangi poważnego zagrożenia dla biologicznych podstaw funkcjonowania społeczeństwa urasta problem narkomanii. Dodajmy do tego talibską rebelię oraz statystyki, wedle których wojna odebrała życie 240 tys. osób, w tym 71 tys. cywilów (poległo też 85 tys. bojowników, 78 tys. afgańskich żołnierzy i policjantów, 3,6 tys. wojskowych z sił koalicyjnych).

FOT. MARCIN OGDOWSKI

eprasa.pl 829cbd8022

Trwałe dziedzictwo traumy

– Nie ma nic dobrego w wojnie. Z wyjątkiem jej końca – stwierdził niegdyś Abraham Lincoln. Tyleż to naiwne, co nieprawdziwe, dla wielu bowiem wojna nigdy się nie kończy. Badania nad stresem pourazowym wśród żołnierzy prowadzone są od kilkudziesięciu lat. Z amerykańskich obserwacji wynika, że 20-25% weteranów zmaga się z PTSD. Dotyczy to również wojskowych służących w Afganistanie. Ponieważ skutki dotykają nie tylko żołnierza, ale i najbliższych, stres pourazowy jest uznawany za chorobę rozszerzoną. Przemoc (w tym seksualna), alkoholizm, wycofanie się z życia rodzinnego i zawodowego, całe spektrum zachowań depresyjnych, często prowadzą do tragicznego finału – morderstwa lub samobójstwa. Wiosną 2019 r. 33-letni Jovonie McClendon Jr. strzelił sobie w głowę z pistoletu. Zrobił to publicznie, transmitując „wydarzenie" na Facebooku. Wcześniej zabił sześcioletniego synka i ranił jego matkę. Przyczyną był PTSD. Po rozpoczęciu wojny z terroryzmem wskaźnik samobójstw w armii amerykańskiej wzrósł o kilkadziesiąt procent – rocznie życie odbiera sobie 300-400 żołnierzy. Te statystyki nie oddają pełni zjawiska, gdyż dotyczą wojskowych w służbie czynnej. Tymczasem większość uczestników tego konfliktu jest już w cywilu. Przez Irak i Afganistan do 2018 r. przewinęło się 2,8 mln Amerykanów. Z raportu Narodowego Centrum Zapobiegania Samobójstwom Weteranów wynika, że każdego dnia życie odbiera sobie 18 byłych żołnierzy, przy czym co najmniej kilku służyło wcześniej w Afganistanie. W 2017 r. spośród 45 tys. Amerykanów, którzy skutecznie targnęli się na życie, 6 tys. miało status weterana. Wskaźnik samobójstw dla tych ostatnich był półtora raza wyższy niż dla pozostałych dorosłych mieszkańców USA.

Polscy weterani też zadają sobie śmierć, czego przykładem seria samobójstw żołnierzy pułku saperskiego ze Szczecina. Trzech pozostawało w służbie, dwóch było już w cywilu; do wszystkich zdarzeń doszło w ciągu dziewięciu miesięcy. W żadnym z tych przypadków żandarmeria ani prokuratura nie doszukały się związków między decyzją o samobójstwie a służbą w Afganistanie. Poprzestano na stwierdzeniu trudnej sytuacji zdrowotnej i/lub rodzinnej. Skalę zjawiska zaciemniają także obiektywne kłopoty z zakwalifikowaniem zgonu. Śmierć w wypadku motocyklowym dosięgła co najmniej kilku byłych „misjonarzy", również tych z elitarnych jednostek. Przypadek? Wojsko niespecjalnie docieka, a gdy zmarły wcześniej odszedł z armii, całkiem umywa ręce. W Afganistanie służyło 30 tys. Polaków, do dziś PTSD zdiagnozowano u niespełna tysiąca. Stwierdzenie, że chodzi o wyjątkowo odporny materiał ludzki, można włożyć między bajki. Stres pourazowy wcale nie musi ujawnić się od razu – często mijają lata, nim jakieś wydarzenie odblokuje chorobotwórcze wspomnienia. Przede wszystkim jednak mamy w Polsce do czynienia z postawą ukrywania problemów. Weterani nadal będący w służbie z obawy przed stygmatyzacją nie zgłaszają ich przełożonym. Część leczy się na własną rękę, poza wojskowym systemem ochrony zdrowia. Podobnie rzecz się ma w przypadku byłych żołnierzy. Możemy zatem mówić o szarej strefie, zapewne znacznej, choć i tak nieporównywalnej z tym, co się dzieje w Afganistanie. W 20-letniej wojnie rany odniosło niemal ćwierć miliona żołnierzy i policjantów tamtejszych sił bezpieczeństwa. Zranienie wybitnie sprzyja pojawieniu się PTSD, co czyni z kontuzjowanych ogromną grupę ryzyka. Ilu faktycznie zmagało się i wciąż zmaga ze stresem – nie wiadomo. Przyczyny tej niewiedzy są dwie – kulturowe (w etosie wojownika nie ma miejsca na traumę) oraz administracyjne (brak badań na ten temat).

Naiwnością jest również założenie, że wraz z 11 września 2021 r. wojna w Afganistanie się skończy. Dla USA i Zachodu owszem, ale nie dla miejscowych. Bardziej prawdopodobny scenariusz to powtórka z historii przerabianej po wycofaniu się Armii Radzieckiej w 1989 r. Promoskiewski rząd stał się wówczas celem mudżahedinów, a gdy go obalono, dotychczasowi sojusznicy zaczęli walczyć między sobą. Skorzystali na tym talibowie, którzy zajęli niemal cały kraj. Dziś Al-Kaida i Państwo Islamskie nie stanowią znaczącej konkurencji dla talibów, ale jako taktyczni sojusznicy mogą się okazać pomocni. Idea odbudowy islamskiego emiratu, do której przywiązani są talibscy przywódcy, jest w dużej mierze tożsama z celami terrorystów. Rząd w Kabulu już dziś mierzy się z rebelią samodzielnie – zachodnie wojska zajęte są ochroną samych siebie, aktywne zaś do niedawna amerykańskie lotnictwo wyraźnie spauzowało. Kabul otrzymał jasny sygnał: „Musicie radzić sobie sami". Waszyngton deklaruje dalszą pomoc po 11 września, tyle że finansową. Czy to wystarczy? Ruch talibski jest luźną strukturą. O jego sile stanowią nie polityczni i religijni przywódcy, ale lokalni komendanci, którym zależy głównie na ochronie własnych interesów, związanych z produkcją i handlem opium. To książęta wojny, młodzi i w średnim wieku, starzy „etosowcy" bowiem od dawna nie żyją. Ich stosunek do religii jest pragmatyczny; wiedzą, że skrajna odmiana islamu ułatwia kontrolę nad lokalnymi społecznościami. Istnieje zatem cień szansy, że w zamian za deklaracje nietykalności pójdą na jakiś kompromis z rządem w Kabulu, nie oglądając się na duchowych wodzów. A jeśli nie, na rozedrganą afgańską scenę może wkroczyć kolejny duży gracz. Złoża żelaza, miedzi, złota i litu czynią Afganistan łakomym kąskiem dla Chin. Pragmatyczni Chińczycy zapewne darują sobie eksport ideologii, ale czy to uchroni ich przed ciosami lokalnych bojowników? Tereny zamieszkane przez afgańskie plemiona od wieków cieszą się sławą cmentarzyska imperiów…

Marcin Ogdowski

Wojna odebrała życie 240 tys. Afgańczyków, w tym 71 tys. cywilów.

Tereny zamieszkane przez afgańskie plemiona od wieków cieszą się sławą cmentarzyska imperiów.

eprasa.pl 829cbd8022

Jakub Dymek

Ręce pełne roboty

Administracja Bidena imponuje pracowitością, choć nie robi rewolucji

Gdy 76-letni Joe Biden zaczynał w 2019 r. kampanię prezydencką, wiele osób skreśliło go na starcie. Był ich zdaniem za stary, a epoka białych mężczyzn w Białym Domu i tak już dawno powinna się skończyć. Ktoś taki nie będzie w stanie nic zrobić, nawet jeśli wygra – przekonywali. Dziś jednak jest na odwrót. Ten sam Biden w oczach amerykańskich komentatorów uchodzi za rewolucjonistę i przynajmniej drugiego Roosevelta – bo robi tak wiele i tak szybko. Być może jego podobiznę trzeba już wykuć w skalistym zboczu góry Rushmore, obok Waszyngtona, Jeffersona, Roosevelta i Lincolna.

Powiedzmy to od razu: obydwie te diagnozy były przedwczesne. Nic jednak dziwnego, że z Bidenem jest problem. Ani z niego bojowy lewak, ani typowy centrowy demokrata. Robi rzeczywiście bardzo dużo, lecz wcale nie posługuje się rewolucyjną retoryką ani nie sięga po spektakularne gesty. Joego Bidena można oceniać na jego własnych zasadach. Co już jest pewnego rodzaju sukcesem prezydenta, który właśnie zaliczył pierwsze 100 dni w Gabinecie Owalnym.

Część kontaktów na wysokim szczeblu odbywa się w formie telekonferencji. Nz. Joe Biden z premierem Kanady Justinem Trudeau.

Po rekord

Cezurę 100 dni na urzędzie wymyślił prawie 90 lat temu inny kryzysowy prezydent USA, Franklin Delano Roosevelt. Dziś jego nazwisko wraca z wielu innych powodów. Z Rooseveltem, który objął urząd na progu wielkiego kryzysu, łączą Bidena choćby oczekiwania społeczeństwa i misja prezydentury. Sympatycy demokratów, w tym sporo tych z mediów, liczą, że Biden dorówna wielkiemu prekursorowi lub chociaż spróbuje ścigać się z nim na skalę i zakres działań. I dane pokazują, że już to robi.

American Presidency Project przy Uniwersytecie Santa Barbara w Kalifornii bada dziedzictwo dawnych prezydentów i aktywność tych urzędujących. Z informacji już udostępnionych przez ośrodek wynika, że Biden w ciągu 100 dni sięgał po swoją władzę częściej niż jakikolwiek wymieniony w opracowaniu powojenny prezydent. Zostawił więc w tyle i Donalda Trumpa, i dużo młodszych w dniu objęcia urzędu prezydenckiego demokratów, takich jak John F. Kennedy czy Barack Obama. W ciągu pierwszych trzech miesięcy Joe Biden wydał 42 postanowienia wykonawcze (*executive orders* to najbardziej bezpośredni sposób sprawowania władzy prezydenta, niewymagający zatwierdzenia przez Kongres) i odwołał 67 postanowień poprzednika. Dla porównania – Trump wydał 33, a odwołał 13 *executive orders*. Gdy zaś badacze porównali tempo i sumę wszystkich decyzji, stanowisk i oświadczeń, okazało się, że szybciej od Bidena do pracy wziął się tylko Roosevelt.

> Szybciej od Bidena do pracy wziął się tylko Franklin Delano Roosevelt.

Liczby, co jasne, nie są jedynym ani najważniejszym kryterium. W ocenie prezydentury po stu dniach – nawet jeśli to tylko symboliczna granica – trzeba również zapytać o to, czym zajęła się głowa państwa i czy prezydentowi wystarczyło determinacji, by zmierzyć się z najważniejszymi wyzwaniami. W przypadku Bidena nie wygląda to wcale najgorzej.

Zadanie domowe wykonane

Joe Biden w ciągu 100 dni obiecał podjąć kluczowe decyzje

FOT. WHITE HOUSE

eprasa.pl 829cbd8022

dotyczące gospodarki i działań antykryzysowych, ekologii i zielonej transformacji, rynku pracy, relacji sojuszniczych i bezpieczeństwa narodowego. Oraz – co może najważniejsze – na froncie walki z pandemią i jej skutkami dla USA. Czy z obietnic się wywiązał? W sensie ścisłym tak, całkowicie. Bo w każdym z tych zakresów był aktywny.

Administracja Bidena wyszła z propozycją ambitnego planu antykryzysowego – The American Rescue Plan. TARP nie tylko obejmuje rekordowo wysokie kwoty wydatków budżetowych – pakiet dotacji, grantów i świadczeń bezpośrednich wart prawie 2 bln dol. Ów plan ratunkowy przesuwa także akcent na bezpośrednie świadczenia dla Amerykanów (choć robił to także Trump) oraz inwestycje w usługi publiczne i wsparcie dla władz lokalnych, by wywiązały się ze swoich zadań. Plan Bidena już można nazwać sukcesem, przynajmniej na tle wysiłków antykryzysowych administracji Obamy w latach 2009-2011. Biden, może dlatego, że był wtedy w Białym Domu, wie dziś, czego nie robić. Krytycy jednak słusznie przypominają, że bezpośrednie świadczenia dla Amerykanów miały być wyższe: nie 1,4 tys. dol. jednorazowej zapomogi, tylko 2 tys. I że z planów podwyżki federalnej płacy minimalnej do 15 dol. za godzinę wycofano się na samym początku nowej kadencji prezydenta i Kongresu – cichcem, bez walki, w żenującym stylu rezygnując z jednego z najważniejszych lewicowych postulatów od lat.

W dziedzinie ekologii i zielonej transformacji Biden wrócił do porozumienia paryskiego, obiecał znaczącą redukcję emisji dwutlenku węgla do atmosfery – choć to oczywiście deklaracje i nic nie kosztują. Co jednak ważniejsze, na potrzeby transformacji energetycznej oraz konieczności inwestycji w nową infrastrukturę i technologie odpowiada tzw. plan infrastrukturalny. Mowa o American Jobs Plan, który Biały Dom zaproponował na przełomie marca i kwietnia. Zawiera on wiele obiecujących zapowiedzi – odbudowę dróg i mostów, wsparcie tworzenia miejsc pracy i krajowego przemysłu, pomoc finansową dla szkół oraz instytucji publicznych na szczeblu lokalnym. Plan przewiduje łatwiejszy dostęp do pożyczek i kapitału dla wszystkich, którzy chcą coś w Stanach Zjednoczonych naprawić – czy to własny dom, czy zniszczony zakład pracy albo zrujnowaną sieć wodociągową w prowincjonalnym mieście. American Jobs Plan jest dość nowatorski, bo do kategorii infrastruktury i pracy włącza pracę opiekuńczą, opiekę zdrowotną, szkolnictwo, czyli tzw. miękkie dziedziny. Z jednej strony więc obiecuje zasypać zagrażające życiu i zdrowiu puste szyby nieczynnych kopalń, ale z drugiej mówi już o tym, jak nowa administracja zbuduje żłobki i ociepli stare budynki federalne.

W kwestii rynku pracy poza wielkim zawodem z powodu braku podwyżki płacy minimalnej mamy jednak mocne poparcie Bidena dla związków zawodowych. A także nominacje urzędników, które sugerują, że prezydent może się znaleźć na kursie kolizyjnym z wielkimi korporacjami w rodzaju Amazona.

W sprawach międzynarodowych najgłośniejszym echem odbiła się oczywiście decyzja o całkowitym wycofaniu wojsk z Afganistanu – choć mało kto przypomina, że i tu, jak w kilku innych sprawach, pierwszy krok wykonał Trump.

Szczepionkowy maraton i sprint

Joe Biden – trochę jak sumienny uczeń – w ciągu tych 100 dni nie ominął żadnego punktu. Fakt, nie dopełnił każdej z obietnic z kampanii i nie wywiązał się z nich w 100% uczciwie, ale o swoich zobowiązaniach nie zapomniał. W tym o najważniejszym.

Nowy prezydent, choć odziedziczył po poprzedniku kryzys pandemiczny, dostał też w pakiecie wielką szansę. Bo gdy w styczniu obejmował urząd, trwał już skuteczny i szybki program szczepień, a nowa większość w Kongresie skłonna była dać rządowi każde pieniądze i oferowała nieograniczoną pomoc w walce z epidemią. Tego samego komfortu ani odwagi działania nie miała z pewnością poprzednia administracja. Biden obiecał więc 100 mln zaszczepionych w 100 dni – swego rodzaju zakład z rzeczywistością, który wielu obserwatorów uważało za odważny lub wręcz arogancki. Jednak prezydentowi udało się nie tylko wygrać go, ale i przeskoczyć ustawioną przez siebie poprzeczkę. 100 mln dawek szczepionki podano już po 58 dniach prezydentury Bidena, a program szczepień dalej idzie w USA zaskakująco szybko.

Osobista władza prezydenta nie ma aż takiego wpływu na zarządzanie pandemią, jak mogłoby się wydawać, ale z pewnością nikt nie może Bidenowi zarzucić, że zrobił za mało lub nie wykazał się determinacją. Rolą prezydenta było raczej ustalenie priorytetów i stworzenie atmosfery, w której walka z pandemią zyskuje dość uwagi i cieszy się właściwym statusem. W 400-milionowym, tak dużym i zdecentralizowanym kraju nie sposób ani zarządzać złożonością rzeczywistości lockdownów, izolacji i obostrzeń, ani jej śledzić. Coś jednak administracja Bidena i współpracujący z nią gubernatorzy stanowi na pewno robili poprawnie, bo wiele założonych celów udało im się osiągnąć. Biznes nie rzucał kłód pod nogi, a zakupy i produkcja szczepionek poszły USA znacznie sprawniej niż Europie. Na początku maja Biden zaskoczył też obietnicą poluzowania ochrony patentowej nowych szczepionek – by nie tylko największe i najbogatsze firmy farmaceutyczne mogły je szybko produkować i dostarczać potrzebującym. W tej sprawie nie ma jeszcze konkretnej i wiążącej

W ciągu pierwszych trzech miesięcy Joe Biden wydał 42 postanowienia wykonawcze i odwołał 67 postanowień poprzednika.

100 mln dawek szczepionki podano już po 58 dniach prezydentury Bidena, a program szczepień nadal idzie w USA zaskakująco szybko.

eprasa.pl 829cbd8022

prawnie decyzji, ale to krok, na który czeka świat, i niewykluczone, że Biden prędzej niż później zdecyduje się go zrobić.

Te wszystkie okoliczności, nawet jeśli nie zależały od samego prezydenta, sprawiły, że po raz pierwszy gdzieś na horyzoncie widać koniec. Nawet jeśli nie pandemii jako takiej – bo ona może wrócić z nową intensywnością jesienią i zimą – to kompletnej bezradności władzy i instytucji publicznych. Raz jeszcze: Biden oceniany w kategoriach, które on sam zdefiniował, jest zwycięzcą.

Jednak ewolucja

Czy to wszystko uzasadnia stwierdzenia, że 46. prezydent Stanów Zjednoczonych jest drugim Franklinem Delano Rooseveltem, prawdziwym radykałem, który dokonuje w Stanach Zjednoczonych rewolucji? Nie. Ale jeśli nijakie czy zachowawcze działania poprzednich demokratycznych administracji – Baracka Obamy i Billa Clintona – uznać za normę, to Biden rzeczywiście z nią zrywa. Jak na ironię, gdy komentatorzy z prawicy pieklą się i zgrzytają zębami, że Biden jest najbardziej „lewackim" i „czerwonym" prezydentem, jakiego widzieli, mają trochę racji.

Ale wbrew przewidywaniom chyba wszystkich – i to realne zaskoczenie – Biden nie jest lewicowy w sposób, do jakiego przyzwyczaiła nas nowa, kulturowo-tożsamościowa lewica amerykańska ostatnich dziesięcioleci. Prezydent wykonuje oczywiście wszystkie słuszne i postępowe gesty, jakich wymaga od niego konwencja, lecz nie robi tego zamiast faktycznej polityki. A właśnie tego krytycy demokratów i z lewej, i z prawej flanki się spodziewali. Ale z Bidena żaden kontrkulturowy radykał albo kampusowy marksista – więcej ma z socjaldemokraty w starym stylu.

46. prezydent USA przeszedł przyśpieszoną ewolucję w niespodziewanym kierunku – z centrysty, czasami nawet osłaniającego swoich partyjnych szefów z prawej flanki, przeszedł w sprawach krajowych na lewo.

Ale i ten kurs pokazuje, że nie ma co nadużywać słowa rewolucja. Biden objął kraj w momencie kryzysu i końca starej – neoliberalnej – narracji. Gdyby w ogóle nie zmienił się przez ostatnią dekadę – która przyniosła porażkę Partii Demokratycznej, umiarkowanie udaną kadencję pierwszego czarnego prezydenta i szokujące zwycięstwo celebryty Trumpa – byłby nie politykiem, lecz skamieliną.

Z Bidena żaden kontrkulturowy radykał albo kampusowy marksista – więcej ma z socjaldemokraty w starym stylu.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl
dymek.substack.com

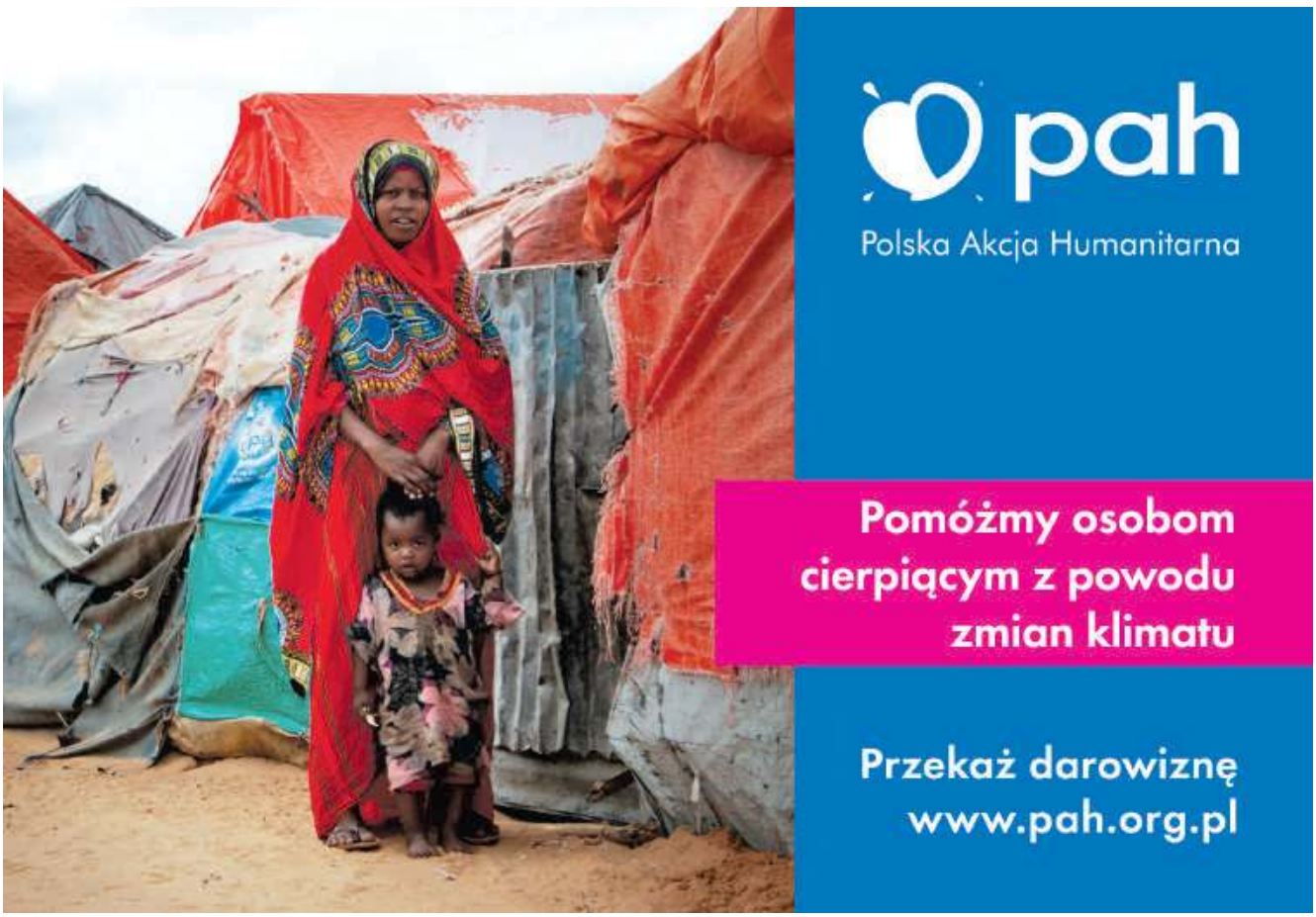

eprasa.pl 829cbd8022

Niezatapialni

I dla Abbasa, i dla Netanjahu priorytetem jest utrzymanie stanowisk i skonsolidowanie władzy

Palestyńczycy w Strefie Gazy protestowali przeciwko przełożeniu wyborów oraz wysiedlaniu rodzin z okupowanej wschodniej Jerozolimy, 5 maja 2021 r.

Jakub Katulski

Kiedy w styczniu Mahmud Abbas, prezydent Autonomii Palestyńskiej, ogłosił, że po raz pierwszy od dawna Palestyńczycy będą mogli wybrać swoje władze, pojawiła się iskierka nadziei na zmiany. Co więcej, w tym roku wybory miały się odbyć trzykrotnie, głosujący mieliby szansę na wybór swoich przedstawicieli do Rady Legislacyjnej, być może na zmianę prezydenta, a później na zdecydowanie o składzie Palestyńskiej Rady Narodowej, czyli najważniejszego ciała Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Media w regionie i te zajmujące się obserwacją wydarzeń na Bliskim Wschodzie prześcigały się w relacjonowaniu przygotowań do wyborów i tworzeniu scenariuszy ich przebiegu. Pojawiały się rozmaite opinie, kto zwycięży i jak wpłynie to na losy konfliktu izraelsko-palestyńskiego.

Od samego początku jednak nie brakowało głosów sceptycznych. Jedni uważali, że wybory nie będą uczciwe, umocnią jedynie pozycję palestyńskiej klasy politycznej. Drudzy mówili, że wcale się nie odbędą, tak jak nie odbyły się od zwycięstwa Hamasu w 2006 r. Po niecałych czterech miesiącach okazało się, że rację mieli ci drudzy – prezydent Abbas oznajmił, że wybory odbędą się dopiero wtedy, gdy Izrael zgodzi się, by były także w Jerozolimie Wschodniej, zamieszkanej przez ponad 300 tys. Palestyńczyków.

Odporny na gniew narodu

Decyzja Abbasa nie spotkała się z przychylnością innych ugrupowań czy w ogóle obywateli. Hamas, ugrupowanie terrorystyczne niepodzielnie rządzące Strefą Gazy, uznał ruch prezydenta za zamach stanu. Marksistowski Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny wezwał pozostałe ugrupowania, by przeprowadzić wybory niezależnie od woli Fatahu (macierzystej partii Abbasa). A zwykli ludzie wyszli na ulice Ramallah i Gazy w proteście przeciw Abbasowi, którego obarczają odpowiedzialnością za to, że całe pokolenie młodych Palestyńczyków nie ma pojęcia, czym są wybory i demokracja.

Mahmud Abbas jest jednak odporny na gniew swojego narodu. Urodził się w 1935 r. w położonym w górzystej Galilei Safedzie. Jego rodzina zbiegła do Syrii podczas wojny z Żydami w Mandacie Palestyny w 1948 r. Podobny los spotkał 700 tys. Palestyńczyków. Te wydarzenia stały się centralnym punktem Nakby – Katastrofy, będącej w palestyńskim micie narodowym tym, czym Zagłada jest dla Żydów.

Rodzina Abbasa w Syrii osiadła na dłużej i Mahmud ukończył prawo na Uniwersytecie Damasceńskim, po czym wyjechał do Egiptu. Pod koniec lat 50. był już urzędnikiem Służby Cywilnej w Katarze, gdzie dołączył do założonego przez Jasira Arafata Fatahu. Tak zaczęła się jego kariera jako jednej z czołowych postaci palestyńskiej polityki.

Przez dekady Abbas zdobywał środki na działalność OWP (według niektórych doniesień wykorzystane zostały także do przeprowadzenia zamachu podczas igrzysk w Monachium w 1972 r.), był współpracownikiem radzieckiego wywiadu, napisał w Moskwie doktorat o związkach syjonizmu z nazizmem i stał się jednym z dyplomatów biorących udział w procesie, który doprowadził do podpisania porozumień z Oslo, jednego z kluczowych dokumentów regulujących relacje izraelsko-palestyńskie.

W 2003 r., choć nie jest postacią charyzmatyczną, został mianowany przez Arafata premierem Autonomii Palestyńskiej. Być może jego losy potoczyłyby się inaczej, gdyby główni konkurenci, tacy jak przywódca odpowiedzialnego za całą listę zamachów terrorystycznych Tanzimu Marwan Barguti, nie zostali skazani za terroryzm i zamknięci w izraelskich więzieniach.

Naturalny następca

Kiedy zmarł Arafat, Abbas był jego naturalnym następcą i wygrał

eprasa.pl 829cbd8022

wybory w 2005 r. Zwycięstwo było pewne, jeszcze zanim Palestyńczycy poszli do urn. Hamas nie wystawił własnego kandydata, palestyńskie media całą uwagę poświęcały właśnie Abbasowi, a izraelskie służby bezpieczeństwa różnymi sposobami utrudniały kontrkandydatom prowadzenie działalności politycznej (czym w kręgach radykalnych nacjonalistów Abbas zasłużył sobie na miano kolaboranta). Tak rozpoczęła się jego czteroletnia kadencja, która trwa już ponad 15 lat i pewnie nie skończy się w najbliższym czasie.

Całe pokolenie młodych Palestyńczyków nie ma pojęcia, czym są wybory i demokracja.

Rywale Abbasa są wściekli, ale mogą jedynie załamywać ręce. Konkurenci z Fatahu nie mają wystarczającej siły, by zorganizować masowe protesty na Zachodnim Brzegu, a Hamas działa w Gazie, która choć geograficznie bliska, to politycznie jest dość odległym bytem, na który można nałożyć sankcje finansowe, jak to zrobił Abbas w 2018 r., by podważyć pozycję organizacji.

Zadowoleni z rozwoju sytuacji nie są nawet zagraniczni partnerzy. Josep Borrell, szef dyplomacji Unii Europejskiej, zaznaczył, że decyzja jest „rozczarowująca", a wybory powinny się odbyć bez zbędnych opóźnień, także w Jerozolimie Wschodniej. Nie wygląda jednak na to, by Unia miała podjąć jakiekolwiek zdecydowane kroki poza retoryką. Nie znaczy to, że wszyscy przejdą nad tym wydarzeniem do porządku dziennego. Abbas będzie podgrzewał atmosferę, wzywając Izrael do zezwolenia jerozolimskim Palestyńczykom na oddanie głosów i podkreślając, że jest gotowy do przeprowadzenia wyborów „w ciągu tygodnia". A zarówno izraelski, jak i palestyński majowy kalendarz jest pełen rocznic wydarzeń, które stanowią punkty sporu obu narodów – łącznie z rocznicą Nakby, obchodzoną 15 maja. Zwykle w tych dniach dochodzi do starć Palestyńczyków z izraelską policją i ogromnych demonstracji, takich jak Wielki Marsz Powrotu, który zaczął się w marcu 2018 r. i w ciągu 18 miesięcy kosztował życie 183 Arabów (oprócz tego ponad 6 tys. zostało poważnie ranionych przez izraelskich snajperów).

Przyklejeni do stołków

Ale po drugiej stronie muru też nie jest kolorowo, choć wybory 23 marca odbyły się zgodnie z zasadami. Mimo że prowadzony przez Beniamina Netanjahu Likud zwyciężył, premier nie zbudował stabilnej koalicji rządowej. Duże rozdrobnienie sceny politycznej sprawiło, że choć z Netanjahu sprzymierzyło się wiele żydowskich religijnych i prawicowych ugrupowań, zabrakło mu kilku głosów, które pozwoliłyby na stworzenie rządu do wyznaczonego na północ 4 maja terminu. Jedyną nadzieję stanowiło islamistyczne ugrupowanie Raam, które mogłoby stać się pierwszą w historii arabską partią w składzie koalicji rządzącej Izraelem. Taka perspektywa była nie do przyjęcia dla sojuszników obecnego premiera, np. prowadzonych przez Becalela Smotricza Religijnych Syjonistów, którzy nie zgodzili się nawet na to, by Raam pozostało poza koalicją, ale poparło rząd Netanjahu.

Na dokładkę Naftali Bennett, lider prawicowej partii Jamina i tradycyjnie koalicjant Bibiego, oznajmił, że jest gotów sprzymierzyć się z opozycją. Wystarczy, by kończący w tym roku kadencję prezydent Riwlin przekazał misję tworzenia rządu Jairowi Lapidowi, dzisiaj czołowemu politykowi opozycji, reprezentującemu centrową partię Jesz Atid (Lapid istotnie ją otrzymał 5 maja – przyp. red.). Tym samym zamiast najbardziej prawicowego gabinetu w historii Izraela mógłby powstać rząd reprezentujący interesy lewicy, prawicy i centrum. Jeśli opozycji ta sztuka się nie uda, kraj czekają piąte z kolei wybory, co z pewnością ucieszyłoby Netanjahu. Nawet jeśli powstanie rząd opozycyjny, niewykluczone, że Bibi będzie sterował krajową polityką z tylnego fotela, bo jego partia pozostanie największym ugrupowaniem w Knesecie, mającym niemal dwukrotnie więcej posłów niż partia Lapida.

Ani Netanjahu, ani Abbas nie cieszą się jednak dzisiaj powszechnym poparciem obywateli. Priorytetem dla obu zdaje się więc utrzymanie stanowisk i skonsolidowanie władzy. Przeprowadzenie wyborów w Palestynie jest dla Abbasa ryzykowne, bo może grozić utratą pozycji całego Fatahu na rzecz Hamasu. Ale nie tylko Abbas może tutaj przegrać – dla Netanjahu taka perspektywa to koszmar, którego wolałby uniknąć nawet za cenę oskarżeń o to, że destabilizuje region i odmawia ponad 5 mln ludzi prawa do decydowania o sobie. Hamas, jeśli zdetronizuje ugrupowanie Abbasa (co jest więcej niż prawdopodobne), nie będzie kontynuował polityki wyboistej współpracy i może się zdecydować na pełną konfrontację z izraelskim wojskiem. Tym razem nie tylko za pomocą rakiet wystrzeliwanych ze Strefy Gazy, ale także bezpośrednio zagrażając żydowskim osiedlom na Zachodnim Brzegu i skutecznie utrudniając życie izraelskim służbom.

Netanjahu z kolei jest oskarżony w kilku sprawach o korupcję i nadużycie władzy, a jego proces sądowy dopiero się rozpoczął. Jeśli potoczy się nie po jego myśli, Bibi może podzielić los poprzednika, Ehuda Olmerta, który skazany za korupcję spędził 16 miesięcy w więzieniu, po czym został warunkowo zwolniony w 2017 r. Netanjahu z pewnością wolałby tego uniknąć i wykorzystać na swoją korzyść możliwości, które daje mu fotel premiera.

Jeśli Hamas zdetronizuje ugrupowanie Abbasa, może się zdecydować na pełną konfrontację z izraelskim wojskiem.

Obaj starzy politycy kurczowo trzymają się swoich stołków i wygląda na to, że nie będą chcieli ich puścić. Zamiast zarządzać krajem, zarządzają jedynie kryzysem i robią wszystko, by utrzymać *status quo*. Ta krótkowzroczna strategia może nie tylko obrócić się przeciw nim samym, ale i pogłębić polaryzację wewnątrz obu narodów. A w tak trudnym regionie ani Izraelczycy, ani Palestyńczycy nie mogą sobie na to pozwolić. ■

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 829cbd8022

INDIE PŁONĄ

Indie są teraz państwem najbardziej dotkniętym przez covid. To kraj gęsto zaludniony, trudno więc utrzymać dystans społeczny. Rząd nie zdecydował się na ostry *lockdown* m.in. ze względów społecznych i gospodarczych. Testy są wykonywane, ale nie zawsze udaje się w porę wykryć chorobę. W prowizorycznych szpitalach lekarze robią, co mogą, by ratować chorych. Często z uwagi na problemy z tlenem

eprasa.pl 829cbd8022

okazuje się to niemożliwe. Ludzie masowo umierają. Śmierć jednak nie musi być wydarzeniem tragicznym, bo jeśli ktoś dobrze przeżył życie, zbliża się do Brahmy. Tradycyjną ceremonią pogrzebową w Indiach jest kremacja. To uwolnienie duszy, która bez przeszkód może wyruszyć w dalszą podróż – a po człowieku zostaje tylko proch.

FOT. DANISH SIDDIQUI/REUTERS/FORUM (2), NARINDER NANU/AFP/EAST NEWS, NAVEEN SHARMA/ZUMA PRESS/FORUM (2), AFP/EAST NEWS, SIPA/EAST NEWS, AMARJEET KUMAR SINGH/ZUMA PRESS/FORUM (2)

eprasa.pl 829cbd8022

Chrystian Ślusarczyk

Jak wyleczyć Afrykę?

Kraje afrykańskie zmagają się nie tylko z drugą falą covidu, ale też z niewygaszoną do końca epidemią eboli

Zamożne kraje zachodnie od miesięcy starają się jak najszybciej zaszczepić swoich obywateli. Europejczycy i Amerykanie coraz częściej wybrzydzają i grymaszą, domagając się konkretnej szczepionki, a odrzucając inną. W zupełnie innym miejscu jest Afryka. Przede wszystkim zachód i centrum kontynentu.

Wiemy, że nic nie wiemy

Koronawirus pojawił się w Afryce, w momencie gdy wiele tamtejszych krajów nadal zmaga się z epidemią eboli. W latach 2013-2016 ta choroba pochłonęła w Afryce Zachodniej ponad 11,3 tys. ofiar. Ostatnio – podobnie jak było to w latach 2014-2015 – z tygodnia na tydzień coraz więcej przypadków wykrywanych jest głównie w Gwinei i sąsiadujących z nią Sierra Leone, Liberii, Senegalu, Gwinei-Bissau, Wybrzeżu Kości Słoniowej i Mali. W Demokratycznej Republice Konga ostatnia epidemia eboli zakończyła się we wrześniu ub.r. Choć teoretycznie szczepionki i leki przeciwko eboli powinny być szeroko dostępne, w praktyce, w warunkach afrykańskich, nie zawsze tak jest. Pojawienie się pandemii koronawirusa ma poważne i w wielu wypadkach zgubne skutki dla lokalnej służby zdrowia, która od dłuższego czasu jest pod epidemiczną presją. Zdaniem lekarzy Afryka w tej chwili zmaga się z drugą falą pandemii koronawirusa. I z wciąż nie do końca wygaszoną epidemią eboli.

Jeszcze długo nie poznamy prawdziwych skutków covidu w Afryce. Dziś z 50 jej krajów zgony rejestruje tylko osiem: Algieria, Egipt, RPA, Tunezja, Republika Zielonego Przylądka, Wyspy Świętego Tomasza i Książęca, Seszele oraz Mauritius. Jak wynika z dochodzenia przeprowadzonego przez stację BBC, we wszystkich rejestrach pomijani są najbiedniejsi i wykluczeni społecznie, a to powoduje, że nie trafiają do nich tak potrzebne środki finansowe.

Tak bez wątpienia dzieje się w leżącej na południu kontynentu Zambii. Lokalne władze nie prowadzą dokładnych statystyk liczby zakażonych covidem i zgonów spowodowanych pandemią. O skali problemu, z jakim boryka się ten 17-milionowy kraj, świadczą wyniki badań naukowców z Boston University School of Public Health. W stolicy, Lusace, w tamtejszej kostnicy co piąty zmarły był zarażony koronawirusem. Szczególny niepokój amerykańskich naukowców wzbudza duży odsetek wywołanych covidem zgonów wśród dzieci.

Dzięki stosunkowo rozwiniętemu (jak na warunki afrykańskie) egipskiemu systemowi rejestracji świat dowiedział się, że latem i jesienią liczba zgonów zarejestrowanych w tym 100-milionowym kraju była dwukrotnie wyższa niż w analogicznych okresach lat ubiegłych. Ale dane te mogą być zaniżone. W statystykach ujmuje się bowiem wyłącznie osoby mające jakikolwiek kontakt z egipską służbą zdrowia. Kto jednak odnotowuje zgony setek tysięcy żebraków żyjących w kartonowych pudłach w Kairze czy innych egipskich miastach?

> Z 50 krajów Afryki tylko osiem rejestruje zgony.

Nigeria – miliony zakażonych i nowa odmiana

Oficjalnie w Afryce jest prawie 4 mln zakażonych koronawirusem, ale wszyscy mają świadomość, że liczby są znacznie wyższe, nie wiadomo tylko, czy kilka, czy kilkanaście razy. Nie brakuje opinii, że 4 mln mogą się odnosić do jednego megalopolis – dawnej stolicy Nigerii, Lagos, i stanu o tej samej nazwie. Według różnych źródeł to niekończące się miasto zamieszkuje już ponad 20 mln osób. Rezultaty badania Nigeryjskiego Centrum Kontroli Zachorowań mogą szokować. W stanie Lagos zakażonych koronawirusem na przełomie 2020 i 2021 r. było kilka razy więcej niż 155 tys., o których mówią oficjalne dane. Było to pierwsze, a zarazem najbardziej miarodajne badanie dotyczące zakażeń koronawirusem w najludniejszym kraju Afryki.

Badania nigeryjskiego centrum pokazują ponadto, że bardzo szybko roznoszą się tu wszystkie nowe warianty koronawirusa. Według raportu naukowców z Uniwersytetu w Edynburgu wariant koronawirusa, który pojawił się w Nigerii, wykazuje podobieństwo do wariantu brytyjskiego i zawiera niepokojące mutacje, w tym E484K, obejmującą białko tzw. kolca koronawirusa, która zwiększa jego zakaźność i może sprawić, że skuteczność szczepionek wobec tego wariantu będzie obniżona. Zdaniem badaczy z Edynburga nigeryjski wariant został wykryty dotąd w kilku krajach świata – w tym w Europie.

Wiara i zabobony kontra szczepionki

Specjaliści i liczni wolontariusze stacjonujący w kilkunastu krajach Czarnej Afryki donoszą, że wiara i ludowe zabobony wypierają możliwość skutecznej edukacji społeczeństw. Władze kilku krajów już zapowiedziały, że nie mają zamiaru sprowadzać szczepionki na koronawirusa. Zdecydowanie antyszczepionkową politykę prowadzą Tanzania i Burundi. Minister zdrowia Burundi Thaddee Ndikumana oświadczył w rozmowie z zachodnimi dziennikarzami, że „prewencja jest ważniejsza od szczepień, a jako że ponad 95% pacjentów chorych na covid wraca do zdrowia, szczepionki nie będą na razie potrzebne". Tanzania, licząca na powrót do niej milionów turystów, także nie ma zamiaru importować szczepionek. Prezydent tego prawie 54-milionowego kraju John Magufuli oświadczył nie tak dawno, że „jego kraj z pomocą Boga wygrał już walkę z koronawirusem" (17 marca prezydent zmarł – przyp. red.).

eprasa.pl 829cbd8022

Dezynfekowanie rąk podczas uroczystości w stolicy Nigerii Abudży, 23 lutego 2021 r.

Ministerstwo Zdrowia zachęca obywateli do stosowania zasad higieny i korzystania z inhalacji jako metody chroniącej przed koronawirusem.

Fakt, że Tanzania od pewnego czasu jest – przynajmniej na papierze – krajem wolnym od koronawirusa, wykorzystują rosyjscy touroperatorzy i turyści. I to do tego stopnia, że tanzańskie Ministerstwo Turystyki ma już dość awanturujących się, pijących przez 24 godziny na dobę Rosjan i wysłało Moskwie tzw. ostatnie ostrzeżenie.

Prezydent Burundi też uważa, że największym sprzymierzeńcem w walce z covidem jest nie nowoczesna medycyna, ale Bóg. Evariste Ndayishimiye mówił, że „do zakażeń dochodzi, bo Bóg karze mieszkańców Burundi za to, że niektórzy sprzeniewierzają się zobowiązaniu, by służyć państwu, nie ulegając korupcji".

RPA namiastką zachodniej odpowiedzialności

Pandemia mocno dotknęła Republikę Południowej Afryki. Wariant koronawirusa zidentyfikowany w październiku, a obecnie dominujący, nie jest bardziej śmiertelny niż dominujący dotąd szczep, ale jest bardziej zaraźliwy. Jak informuje „Puls Medycyny", szczep nazwany 510Y.V2 jest o 50% bardziej zdolny do transmisji. „Na szczęście nic nie wskazuje na to, że jest groźniejszy", uważa prof. Salim Abdul Karim, epidemiolog i współprzewodniczący komitetu naukowego w Ministerstwie Zdrowia RPA.

RPA to zdecydowanie najbogatszy kraj na kontynencie. W wielu dziedzinach gospodarki, także w medycynie, obowiązują tu zachodnie standardy. Powoduje to, że władze tego liczącego ok. 60 mln mieszkańców państwa – przynajmniej ze statystycznego punktu widzenia – mają pandemię pod kontrolą. Prezydent Cyril Ramaphosa ogłosił, że w ciągu najbliższego półrocza do kraju trafi co najmniej 20 mln szczepionek. Społeczna świadomość potrzeby szczepienia się jest znacznie wyższa niż średnia dla Afryki. W RPA wprowadzano lockdowny bardzo podobne do zachodnioeuropejskich. Co ciekawe, podczas pierwszej narodowej kwarantanny odnotowano mniej zgonów niż zwykle. Ale działo się tak przypuszczalnie z powodu mniejszej liczby wypadków drogowych i przypadków przemocy związanej z alkoholem.

Drogą RPA próbuje podążać Maroko. Tutejsza służba zdrowia – wzorując się na francuskiej – powoli dąży do europejskich standardów. Władze królestwa poinformowały, że spodziewają się dostaw szczepionki chińskiej firmy Sinopharm.

COVAX światełkiem w tunelu

Szybkie wejście w życie COVAX, programu na rzecz sprawiedliwego dostępu do niedrogich szczepionek, to realna szansa, by Afryka w walce z pandemią powoli zaczęła gonić inne kontynenty. Dzięki tej inicjatywie rozpoczęto szczepienia w Ghanie i na Wybrzeżu Kości Słoniowej. W ostatnim tygodniu lutego do obu krajów trafiło odpowiednio 600 tys. i 504 tys. dawek szczepionki firmy AstraZeneca. W Ghanie najpierw szczepionki podano pracownikom służby zdrowia oraz tym, którzy znajdują się na pierwszej linii frontu. „Rozpoczęcie procesu szczepień naszych obywateli to ważny krok, który pozwoli Ghanie wrócić do normalności, pozwoli wzmacniać i rozwijać naszą gospodarkę", powiedział prezydent Ghany Nana Akufo-Addo.

Niestety, głównym dostawcą szczepionek do programu COVAX są Indie, które wobec krytycznej sytuacji u siebie wstrzymały eksport. Afrykańskie państwa szukają rozpaczliwie dostawców zastępczych.

Jeszcze w połowie ubiegłego roku zachodnie media (ale i część polskich) wysuwały hipotezę, jakoby Afryka przeszła pandemię w miarę bezboleśnie. Można było znaleźć twierdzenia, że bieda i nierówności społeczne po raz pierwszy w historii zadziałały na korzyść kontynentu. Brak podstawowej higieny i stłoczenie miały uodparniać Afrykańczyków na choroby, w tym covid. Dziś takie tezy są rzadkością. Świat z niepokojem spogląda w stronę kontynentu, który stanowi wielką niewiadomą. Wciąż nie wiemy, jaka jest skala problemu, a bez tej wiedzy Zachód długo jeszcze będzie miał problem ze skutecznym wyleczeniem Afryki. Odpowiedzialność za tę sytuację biorą na siebie światowe mocarstwa, głównie USA. Nowe amerykańskie kierownictwo zadeklarowało wielomilionowe wsparcie medyczne dla Afryki. Optymizmem napawają słowa prezydenta Joego Bidena, który w połowie marca powiedział: „Najpierw pomożemy Amerykanom, potem spróbujemy pomóc reszcie świata". ■

Władze kilku krajów, w tym Tanzanii i Burundi, już zapowiedziały, że nie sprowadzą szczepionki na koronawirusa.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 829cbd8022

Mateusz Mazzini

Okruszki imperium

Brytyjczycy i Amerykanie nie rezygnują z wysp Czagos

Ta opowieść ma początek na terytorium o łącznej powierzchni nieco ponad 56 km kw. Potencjał ludzki też jest dość ograniczony, bo przejmując kontrolę nad tą częścią świata, zyskuje się 3,5 tys. nowych obywateli. Mowa tu o 60 wysepkach rozrzuconych po Oceanie Indyjskim, niemal dokładnie na jego środku – do wybrzeży subkontynentu indyjskiego jest stąd w linii prostej jakieś 3 tys. km, do Afryki o 1 tys. km więcej, Australii nie ma nawet co brać pod uwagę. Żeby znaleźć archipelag Czagos na mapach internetowych Google'a, trzeba ustawić kursor na wielkim niebieskim polu oznaczającym ocean i długo naciskać przycisk „przybliż". To jedno z najbardziej odizolowanych miejsc na świecie, gdzie nic nie ma prawa się wydarzyć. Ledwo wystające z wody atole na końcu cywilizacji. „Nigdzie" na mapie.

Wydawać by się więc mogło, że o wyspy Czagos nikt nigdy nie będzie kruszyć kopii, bo po co. Choć krajobrazy są tam rajskie, a klimat tropikalny, znaczna odległość od jakiegokolwiek większego lądu powoduje, że z tego zakątka nie opłaca się nawet zrobić turystycznej potęgi. Zbyt daleko, zbyt drogo, aż nazbyt egzotycznie. Może to być najwyżej punkt przesiadkowy dla podróżnych przemierzających świat z jednego końca na drugi. I jako taki właśnie wyspy funkcjonowały w historii.

Pierwszy na mapie globu umieścił je nie kto inny jak Vasco da Gama, chociaż żywego ducha na nich nie spotkał. Dlatego w przypadku Czagos trudno mówić o rdzennej populacji. Osiedleńców sprowadzili tu Francuzi w czasach napoleońskich, planując rozwój plantacji kokosów. W większości byli to czarnoskórzy niewolnicy, przybyli z sąsiedniego Mauritiusa, choć słowo sąsiedni i tak jest na wyrost, nawet jeśli ta wyspa to rzeczywiście najbliższy zamieszkany obszar. Nie znaczy to jednak, że wcześniej nikt tu nie postawił nogi. W historii mówionej ludów zamieszkujących Malediwy o Czagos wzmianek jest całkiem sporo, ale nigdy nie zasiedlono archipelagu na stałe. Nawet zanim na tych wodach zaczęli dominować Europejczycy, rachunek ekonomiczny był taki sam. Czagos były za daleko, żeby mieszkanie tam na stałe miało dla kogokolwiek sens.

Z tego zakątka nie opłaca się nawet zrobić turystycznej potęgi. Zbyt daleko, zbyt drogo i egzotycznie.

Po Francuzach przyszli Brytyjczycy, którym w przejęciu kontroli nad archipelagiem pomógł traktat paryski z 1814 r. Cztery lata wcześniej przeprowadzili w tej części świata potężną ofensywę militarną, chcąc uszczknąć jak najwięcej z chwiejącego się imperium Napoleona. Zdobyli więc Mauritius i siłą rozpędu zapragnęli wziąć pod swoje rządy wszystko, co czekało dookoła. Do Mauritiusa dołączono więc Seszele i Czagos. Przy stole negocjacyjnym brytyjska monarchia uzyskała panowanie nad tymi wyspami, nie spodziewając się wcale, jak duże znaczenie militarne zdobędą w następnym stuleciu.

Brytyjskiej dominacji na Czagos nie zaszkodziły ani światowe wojny, ani późniejsze procesy dekolonizacyjne. Rozpadające się na kawałki imperium, z którego niepodległość i demokratyzacja wyjęły praktycznie wszystkie większe klocki, na środku Oceanu Indyjskiego trzymało się mocno. Nawet oderwanie się Mauritiusa od korony w 1968 r. nie spowodowało wycofania się kolonialnej administracji do Londynu. Trzy lata wcześniej Czagos weszły w skład nowo powstałej jednostki administracyjnej – Brytyjskiego Terytorium Oceanu Indyjskiego, znanego jako BIOT od angielskiego akronimu. Cel tego ruchu był od samego początku dość jasny. To, co przez setki lat było przekleństwem Czagos, nagle stało się ich atutem. Położenie na samym środku oceanu, a więc z dala

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 829cbd8022

od czujnych oczu wielkiego ideologicznego rywala i jednocześnie bliżej sprzymierzeńców – Australii, Singapuru, państw azjatyckich – uczyniło z wysp idealną lokalizację dla zimnowojennych działań wojskowych. Wtedy, w latach 60., świat żył realną groźbą konfliktu nuklearnego, a strategie militarne potęg rzeczywiście obejmowały wszystkie jego rejony. Miejsce na środku oceanu, w którym można było coś ukryć, wykonać międzylądowanie albo zostawić przesyłkę dla sprzymierzeńców, stało się nagle bezcenne. Brytyjczycy kurczowo trzymali się więc kontroli nad Czagos, a szczególnie nad wyspą Diego Garcia, największą w archipelagu. Na jej terenie powstała baza wojskowa z lotniskiem, szybko jednak udostępniona przez Londyn partnerom z drugiej strony Oceanu Atlantyckiego. Wspólna brytyjsko-amerykańska instalacja militarna funkcjonuje tam zresztą do dziś, możliwa w dużej mierze właśnie dzięki ładunkom nuklearnym. Bo to za rakiety Polaris ze zdolnością ich przenoszenia Brytyjczycy zgodzili się w ogóle wpuścić jankesów na atol Diego Garcia.

Obok wielkich prądów historii i geopolityki na Czagos toczyło się też zwykłe życie. Raczej na skalę mikro niż makro, ale zawsze. Wyspy zdobyły stałych mieszkańców, z czasem potomkowie niewolników zaczęli się mieszać z przedstawicielami administracji kolonialnej, tworząc unikatową kreolską populację. Im jednak było ich więcej, tym bardziej przeszkadzali, zwłaszcza w budowie bazy wojskowej, która z definicji miała być ukryta przed światem. Londyn zdecydował więc o ich przymusowym wysiedleniu. Około 2 tys. osób zostało wyrzuconych z domów na Diego Garcia, Peros Banhos i atolu Salomon. Większość trafiła na Mauritius, inni na Seszele. Twierdząc, że terytoria te są ich pełnoprawną ojczyzną, nigdy z tą decyzją się nie pogodzili. I niemal natychmiast rozpoczęli spór polityczny i sądowy, który do tej pory nie doczekał się finału, chociaż zahaczył o najwyższe instancje, na czele z brytyjskim Sądem Najwyższym i Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości w Hadze.

Brytyjczycy doskonale zdawali sobie sprawę, że przesiedlenia były pod względem prawnym co najmniej problematyczne. Potwierdziły to zresztą ich własne sądy, w tym Wysoki Sąd dla Anglii i Walii (*de facto* instytucjonalny poprzednik brytyjskiego Sądu Najwyższego), który nakazał wypłacenie łącznie ponad 14,5 mln funtów odszkodowań mieszkańcom Czagos. Ci jednak chcieli więcej – nie tyle w pieniądzach, ile w politycznych gestach. Zaczęli się domagać prawa powrotu na archipelag, argumentując, że skoro zimna wojna się skończyła, globalna ekspansja Związku Radzieckiego nie spędza snu z powiek decydentom wolnego świata, to i baza na Diego Garcia nie jest już nikomu potrzebna. Dla Brytyjczyków było to nie do przyjęcia. Wprawdzie kolejni premierzy i ministrowie spraw zagranicznych zapewniali, że wyspy zostaną zwrócone mieszkańcom, „kiedy tylko przestaną być niezbędne do celów obronnych", ale moment ten ciągle nie następował.

W tym czasie sprawa stanęła również na forum międzynarodowym, bo pretensje do Czagos niezależnie od siebie zaczęły zgłaszać Mauritius i Seszele. Ten pierwszy ma argumenty szczególnie mocne, bo oparte na niezgodności z prawem międzynarodowym nie tylko przesiedleń, ale także aktu utworzenia BIOT z 1965 r. Dzisiaj mówi, że oddanie Czagos było efektem szantażu Brytyjczyków: baza za niepodległość. A do niepodległości Mauritius miał prawo od 1960 r., na mocy rezolucji Zgromadzenia Generalnego ONZ nr 1514, czyli dokumentu likwidującego kolonializm na całym świecie. Jakkolwiek więc na to patrzeć, Brytyjczyków na Czagos nie powinno być już od dawna.

Ale są, trzymani siłą sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Szanse na to, że Amerykanie oddadzą bazę, są nikłe, zwłaszcza w obliczu ekspansji na Oceanie Indyjskim nowego wielkiego rywala – Chin. Mimo że w 2019 r. rację w sporze prawnym Mauritiusowi przyznał trybunał haski, odpowiedzialny za międzynarodowe spory terytorialne. Brytyjską obecność na wyspach, dzisiaj często otwarcie nazywaną okupacją, potępia też ONZ. Ani Londynu, ani Waszyngtonu to jednak nie wzrusza. Z Westminsteru płyną regularnie słowa nazywające przesiedlenia hańbiącymi dla królestwa, ale za pięknymi słowami nie idą żadne konkretne kroki. Prof. Philippe Sands, prawnik z University College London reprezentujący Mauritius w Hadze, wezwał nawet na łamach „New York Timesa" Joego Bidena do zaprzestania międzynarodowej hipokryzji. Okupując Czagos, Biden zachowuje się zdaniem Sandsa jak Chińczycy poszerzający niezgodnie z prawem międzynarodowym swoje interesy na Morzu Południowochińskim. Mimo to na Diego Garcia wciąż lądują tylko wojskowe samoloty z USA i Wielkiej Brytanii. Czasami spekuluje się o tym miejscu jako o sercu operacji szpiegowskich. Tak było w przypadku legendarnego lotu MH370 z Kuala Lumpur do Pekinu. Samolot zniknął z radarów, nie odnaleziono go do dziś, wielu ekspertów amatorów uważało, że Amerykanie porwali go i schowali właśnie na Diego Garcia. Takich domysłów jest mnóstwo. Domysłów na temat przekazania wyspy jej mieszkańcom na razie zupełnie brakuje.

Brytyjską obecność na wyspach, dzisiaj często otwarcie nazywaną okupacją, potępia też ONZ.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Nowy numer tygodnika „NIE":
Andrzej Rozenek wyjaśnia, dlaczego musiał wstrzymać się od głosu.

eprasa.pl 829cbd8022

Guillaume Pitron

Niespełnione obietnice recyklingu

Problemem przemysłu jest koszt odzyskiwania metali ziem rzadkich – w tej chwili przewyższający ich wartość

A może oszczędzanie energii stałoby się możliwe dzięki prowadzonemu na wielką skalę recyklingowi metali rzadkich, który złagodziłby ekologiczne skutki ich wydobycia?

Idea jest tak pociągająca, że Japończycy zaczęli wprowadzać ją w życie. W dzielnicy Adachi na północy Tokio balet błękitnawych półciężarówek zakłóca spokój tego jesiennego popołudnia 2011 r. Pracownik przedsiębiorstwa oczyszczania miasta Massaki Nakamura zaczyna objazd w celu zbiórki elektrośmieci: starych konsol do gier, telefonów komórkowych, telewizorów… Wszystko trafia na pakę pikapa. Po zakończeniu objazdu Nakamura zrzuci, co zebrał, kawałek dalej, na wysypisko przedsiębiorstwa sortowania i recyklingu Kaname Kogyo. Oto zresztą jego prezes Matsuura Yoshitaka – ubrany w ciemny garnitur i krawat pod kolor – brodzi między stosami małego sprzętu AGD, który jego pracownicy starannie sortują.

Japonia jako pierwsza uświadomiła sobie, że tysiące „miejskich kopalni" obfituje w metale ziem rzadkich.

– Dziś ludzie się nie zastanawiają, tylko wyrzucają wszystkie te urządzenia – zauważa między dwoma zgrzytnięciami metalu przerzucanego z paki na pakę. – A przecież zawierają tyle metali rzadkich!

Globalizacja lokuje nas najwyraźniej w fantastycznej epoce. Dzięki niej kraje zachodnie stały się tak zamożne, że jesteśmy nawet bogaci w odpady, czy to spożywcze, domowe, czy przemysłowe, jądrowe lub elektroniczne. Przeszliśmy z jednego świata – nie tak odległego – w którym nasi dziadkowie jeszcze się zmagali z codziennymi wyrzeczeniami, do nowej cywilizacji, która nie wie, co począć z produkowanymi nadwyżkami. Łamiemy sobie głowę, już nie próbując wymyślić, jak gospodarować towarami przeznaczonymi do konsumpcji, ale jak składować produkty już skonsumowane. Na początek przyjrzyjmy się odpadkom metalowym: co roku ludzkość produkuje tyle elektrośmieci, ile ważyłoby 4,5 tys. wież Eiffla, czyli ponad 6 kg w przeliczeniu na osobę. I ilość tych odpadów na świecie z każdym rokiem rośnie w szalonym tempie: tylko w ciągu trzech ostatnich lat wzrosła o 20%.

Do tej pory przemysł poprzestawał na recyklingu metali występujących obficie, i to z niejakim sukcesem: na świecie już ponad 50% złota, srebra, aluminium czy miedzi przerabia się ponownie. Ale nikt tak naprawdę nie interesował się metalami rzadkimi, mniej rzucającymi się w oczy. I tutaj Japonia przekroczyła ważną granicę: jako pierwsza na świecie uświadomiła sobie, że tysiące „miejskich kopalni" (miejsc składowania zużytego sprzętu elektronicznego) rozrzuconych po archipelagu obfituje w metale ziem rzadkich. Na przykład w każdym z 200 mln zużytych w Japonii smartfonów jest kilkadziesiąt miligramów metali rzadkich, które można odzyskać. Łącznie jakieś 300 tys. ton metali rzadkich leży sobie gdzieś w kraju – ich odzyskanie zapewniłoby Japonii samowystarczalność przez trzy najbliższe dekady.

Ta polityka pobudza najbardziej innowacyjną tzw. gospodarkę okrężną bazującą na elektrośmieciach. Na dużą skalę organizowane są zbiórki, by jakieś 650 tys. ton małej elektroniki wyrzucanych każdego roku w całym kraju wracało do obiegu. Mobilizacja jest taka, że zaangażowano w to nawet wirtualne gwiazdy, uwielbiane w Japonii. Piosenkarka Hatsune Miku, nucąca subtelny refren na tle mangi przedstawiającej *keitai* (telefony komórkowe), ma za zadanie przekonać rodaków, że siedzą na żyle złota.

Ale zbieranie elektrośmieci nie wystarcza. Tokio zainwestowało setki milionów dolarów w programy naukowo-badawcze, których celem jest zastąpienie niektórych metali przez inne i zmniejszenie ilości metali ziem rzadkich zawartych w magnesach.

Śladem Japonii liczne państwa zachodnie zaczynają przywykać do recyklingu metali. Wymienię tu choćby armię amerykańską, wielką konsumentkę metali rzadkich. W okolicach miasta Tucson w Arizonie mieszczą się magazyny wojskowe pełne tysięcy samolotów nienadających się do użytku. Znajdują się w nich tony magnesów z metali ziem rzadkich, których wojskowi nie umieją wydostać ani ponownie użyć. Co ważniejsze: w miarę wycofywania się z Afganistanu najpotężniejsza armia świata porzuciła warte jakieś 6 mld dol. wyposażenie wojskowe naszpikowane magnesami – pozostawiając wrogowi możliwość dowolnego dysponowania nimi… W Stanach Zjednoczonych wielu zdało sobie sprawę ze skali tego nowego wyzwania i proponuje zaopatrzenie żołnierzy w podręczniki wyjaśniające im, jak z pozostawianego wyposażenia wydobywać przed opuszczeniem baz elementy zawierające metale rzadkie.

Od strony przedsiębiorstw sprawa przedstawia się inaczej, ponieważ gospodarka okrężna wprowadza całkowity przewrót w zakresie kanałów zaopatrzenia, nie wystarcza już bowiem, że zna się zwyczajowych dostawców z początkowej fazy produkcji, ale trzeba także zlokalizować tych, którym produkty te zostały sprzedane po zakończeniu cyklu użytkowania. Zgodnie z tym schematem firmy

eprasa.pl 829cbd8022

W każdym z 200 mln zużytych w Japonii smartfonów jest kilkadziesiąt miligramów metali rzadkich, które można odzyskać.

Apple i H&M, które wiedzą już, gdzie pozyskiwać surowce ziem rzadkich i bele bawełny, muszą teraz odnajdywać miliardy iPhonów i starych dżinsów rozproszonych po czterech stronach świata. Innymi słowy, nadawcy i odbiorcy zamieniają się rolami.

Dojść do tego samego wyniku, wywracając sprawy do góry nogami: dla wielu to rewolucja kopernikańska… Ale pod tym właśnie warunkiem przywrócone do obiegu metale mogłyby stanowić rosnącą część zaopatrzenia. Dostrzegamy być może przyszłość metali rzadkich. W tym przyszłym świecie wielkimi potęgami górniczymi będą nie te państwa, które odkryją nieprawdopodobne złoża surowców, ale dysponujące największymi pojemnikami na śmieci. Narysujemy mapy skarbów, odszukawszy największe góry odpadów, a specjalnie oznaczone zostaną wysypiska „klasy światowej", jak oznacza się dziś niektóre złoża. Nasze kosze na śmieci będą upragnioną żyłą złota.

Japonia praktycznie nie wydobywa dziś spod ziemi ani grama metali rzadkich, ale jeśli wysforuje się naprzód w gospodarce okrężnej tych metali, być może – kto wie? – przekształci się w eksportową potęgę i uzależni inne narody od swoich metod odzyskiwania surowców. Wykształci się zatem geopolityka recyklingu – w każdym razie Japonia jest o tym przekonana. I łatwo można sobie wyobrazić ekologiczny postęp w sposobach produkcji, czego skutkiem będzie ograniczenie eksploatacji kopalń i eksportu starych telewizorów na składowiska elektrośmieci w Ghanie czy w Nigerii.

O ile ten ambitny zamiar dobrze wygląda na papierze, o tyle w praktyce okazuje się bardzo skomplikowany. Metale rzadkie bowiem różnią się zasadniczo od powszechnie występujących metali, takich jak żelazo, srebro czy aluminium: nie wchodzą w czystym stanie w skład technologii zielonych. Przemysłowcy epoki transformacji energetycznej i cyfrowej coraz bardziej pożądają stopów do swoich produktów. Łącząc kilka metali, stwarzają materiały złożone, tak zwane kompozyty, o właściwościach spotęgowanych w stosunku do metali „zwykłych". Wszyscy wiedzą na przykład, że połączenie żelaza i węgla daje stal, bez której wiele drapaczy chmur nie stałoby prosto. Część kadłuba airbusa A380 powstała z GLARE (*Glass Laminate Aluminium Reinforced Epoxy*), odpornego materiału na bazie aluminium i włókien szklanych, co zmniejsza ciężar samolotu. Jeśli chodzi o magnesy w silnikach turbin wiatrowych i pojazdów elektrycznych, to są mieszaniną żelaza, boru i metali ziem rzadkich, co pozwala na optymalizację ich mocy.

Beton przezroczysty (szkłobeton), cegły z papieru, żele izolacyjne, wzmocnione drewno… Jesteśmy zalewani nowymi materiałami, w których zmieniły się właściwości materii. Stopy te są tak obiecujące, że zielone technologie będą od nich coraz bardziej uzależnione. A jak sama nazwa wskazuje, stopy w recyklingu trzeba będzie „odtopić", oddzielić tworzące je surowce.

Jeśli chodzi o metale rzadkie, już opracowano liczne technologie pozwalające tego dokonywać. Na przykład technologia Toru Okabego. W swojej pracowni na Uniwersytecie Tokijskim badacz ten demonstruje działanie ostatniego wynalazku: pieca wysokotemperaturowego na sól górską z wysoko położonych boliwijskich płaskowyżów.

– Metale rzadkie są oddzielane od innych metali za pomocą soli i w ten sposób można je odzyskiwać – tłumaczy pośród miszmaszu kabli, rurek i termometrów.

Na pierwszy rzut oka odzyskiwanie składników stopu nie jest rzeczą prostą. Jeśli piekarz nie zechce wyrzucić bochenka, który został mu na półce, będzie musiał podjąć próbę rozdzielenia składników, które wcześniej zostały połączone

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 829cbd8022

– a to proces szalenie skomplikowany, czaso- i energochłonny. Niewiele łatwiej przedstawia się rzecz z magnesami z metali rzadkich zawartymi w turbinach wiatrowych, samochodach elektrycznych czy smartfonach: aby oddzielić metale rzadkie od innych metali, przemysłowcy muszą się uciekać do długich i kosztownych technik, zużywając wiele chemikaliów i duże ilości energii.

Z recyklingiem jest jak ze sprawami matrymonialnymi: każdy rozwód ma swoją cenę.

– Technologia, którą tu prezentuję, jest naprawdę obiecująca, ale gdy chodzi o koszty, nie jest w ogóle opłacalna – przyznaje Toru Okabe.

Metale rzadkie znajdujące się na japońskich składowiskach są zatem skarbami, których dzisiaj żaden model ekonomiczny nie pozwala odzyskiwać. Problemem przemysłu jest więc koszt odzyskiwania metali rzadkich – koszt w tej chwili przewyższający ich wartość. Cena odzyskanych metali mogłaby być konkurencyjna, gdyby ceny samych surowców były wysokie. Niestety! One są strukturalnie niskie od końca 2014 r.

Obecnie żadne przedsiębiorstwo nie ma interesu w recyklingu wielkich ilości metali rzadkich. Taniej pozyskiwać je w kopalni.

W konsekwencji w obecnej chwili żadne przedsiębiorstwo nie ma interesu w recyklingu wielkich ilości metali rzadkich. Zdecydowanie taniej jest pozyskiwać je w kopalni, niż rzucać się na podbój pojemników z elektrośmieciami. Toteż 18 z 60 najczęściej używanych w przemyśle metali poddaje się recyklingowi w ponad 50% (aluminium, kobalt, chrom, miedź, złoto, żelazo, ołów, mangan, niob, nikiel, pallad, platyna, ren, rod, srebro, cyna, tytan i cynk). Kolejne trzy w ponad 25% (magnez, molibden i iryd) i trzy inne w ponad 10% (ruten, kadm i wolfram). Dla 36 pozostałych metali poziom recyklingu jest poniżej 10%. A dla surowców rzadkich, takich jak ind, german, tantal, gal i niektóre metale ziem rzadkich, waha się od 0 do tylko 3%. Dla przemysłu osiągnięcie któregoś dnia progu 10% odzyskanych metali ziem rzadkich, na co ma nadzieję japońska grupa Hitachi, byłoby zatem wielkim sukcesem. Nie zmienia to faktu, że ilość odzyskanych metali pozostanie niewystarczająca w stosunku do naszych potrzeb. Nawet odzyskanie niemal w 100% ołowiu nie wpłynie na zmniejszenie jego wydobycia w kopalniach, gdyż potrzeby stale rosną. Piekło jest zdecydowanie wybrukowane dobrymi chęciami.

Fragment książki Guillaume'a Pitrona *Wojna o metale rzadkie. Ukryte oblicze transformacji energetycznej i cyfrowej*, przeł. Andrzej Bilik, Wydawnictwo Kogut, Warszawa 2020

eprasa.pl 829cbd8022

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Czarna noc Czarnkowa

Minister Przemysław Czarnek nie daje o sobie zapomnieć. Ostatnio uznał, że w szkołach nie może być wyboru „religia lub etyka, lub nic", i postanowił, że o „nic" nie ma mowy, a „religia bądź etyka" będą obligatoryjne. Co oczywiście oznacza obowiązkową religię – obojętne, pod jaką nazwą. Wszak już teraz szkolna etyka jest i tak etyką katolicką, bywa nawet, że prowadzoną przez księży. Minister Czarnek obiecuje nowe podręczniki. Nie wątpię, że powstaną na KUL.

Szkolne nauczanie religii zaczęło się w 1990 r. złamaniem prawa: wprowadzono je na mocy instrukcji, pomijając ustawę. Ten grzech pierworodny poszedł w parze z przyjętą wtedy zasadą, że religia leży wyłącznie w gestii strony kościelnej. Czyli przedmiot nauczany w szkole państwowej jest wyjęty z gestii władzy państwowej. Dziś biskupi żądają jeszcze więcej: religii na maturze. Czyli na państwowej maturze ma być zdawany przedmiot spoza państwowej jurysdykcji. Ministrowi Czarnkowi to nie wadzi: cel chce osiągnąć w roku 2024. Polska – państwo wyznaniowe *de facto* – stanie się państwem wyznaniowym *de iure*.

Jak widać, nie tylko komuniści, lecz i katolicy mają swą „metodę salami". Biskupi przez lata kwestionowali „kompromis aborcyjny" – aż skończyło się to zakazem niemal wszelkich aborcji. Prawicowcy od lat kwestionowali neutralność światopoglądową państwa – aż kończy się to obowiązkową religią w szkole. Solennie obiecywano, że przedmiot ten będzie nauczany na ostatniej lekcji. Dziś mało kto już tego przestrzega, toteż uczniowie deklarujący światopogląd inny niż katolicki mogą albo spędzać godzinę bezczynnie, albo iść na religię – w niezgodzie z własnym sumieniem. I zapewne o to właśnie chodzi – ot, taka delikatna zachęta. Czekam na werdykt Trybunału Konstytucyjnego, że gwałt na światopoglądzie jest zgodny z konstytucją.

Przed laty uważałem, że religia powinna być nauczana w szkole. Z czasu mej podstawówki wspominam ten przedmiot dobrze. Ba! ale wtedy Kościół lękał się oskarżeń o praktyki dyskryminacyjne, więc katecheci sprawowali się wzorowo. Dziś Kościół niczego się nie lęka, więc katecheci się rozhulali. Ale na to rozhulanie (byle nie w kwestii dyskryminacji) gotów byłbym nawet przymknąć oko, wszakże pod jednym warunkiem: by religia szerzyła wiedzę. A tu i z tego nici. Gdy widzę, że moi studenci nie mają pojęcia nie tylko o chrześcijaństwie, nie tylko o historii Kościoła, ale nawet o katolickich prawdach wiary, pytam, czego ich uczono na religii. „Właściwie sami nie wiemy", brzmi odpowiedź. „Mówiliśmy o aborcji i in vitro", precyzuje ktoś inny. „My śpiewaliśmy piosenki", dodaje następny. Oczywiście ten poziom wiedzy to wina nie Czarnka, lecz jego poprzedników, obawiać się jednak wolno, że teraz będzie jeszcze gorzej. Religia w szkole jest jak zakaz aborcji. Zakaz nie chroni życia, religia nie uczy religii.

Tymczasem minister Czarnek to nie tylko pan od oświaty – to również pan od nauki. I oto kolejne nieszczęście: Narodowy Program Kopernikański. Pisowska władza chrzci wszystko mianem narodowego, jednak w odniesieniu do Kopernika jest to szczególnie już groteskowe. Ale nie wymagajmy od Czarnka zbyt wiele. Przypomnijmy zatem, że Narodowy Program Kopernikański miał wygenerować Akademię Kopernikańską, ta zaś robiłaby to samo co Polska Akademia Nauk, z tą różnicą, że byłaby zależna od polityków. „Nie mnóżmy bytów ponad potrzebę", powiadał Wilhelm Ockham i teraz nie wiem, czy to z powodu swej nieznajomości tego średniowiecznego teologa Czarnek tak bardzo się rozzłościł. Wszak prezesowi PAN, prof. Jerzemu Duszyńskiemu, który ujawnił plan Akademii Kopernikańskiej, poradził, by rozważył dalsze sprawowanie funkcji, wezwał go na rozmowę (w relacji prezesa: „burzliwą"), pogroził audytem. Zaiste, dawnośmy nie mieli takiego ministra. „Jego pogląd na demokrację – pisał niedawno prof. Janusz Reykowski – najlepiej pasuje do myślenia z okresu przed Monteskiuszem, jego pogląd na prawa człowieka pasowałby chyba do czasów Mojżesza. Nie wydaje się, by rozumiał świat współczesny, by miał świadomość, na czym polega nauka". Biedny Kopernik (narodowy). Gdyby pracował w Akademii Kopernikańskiej (zależnej od polityków), Słońce nadal kręciłoby się wokół Ziemi.

> Dziś Kościół niczego się nie lęka, więc katecheci się rozhulali.

Oczywiście czarna noc Czarnkowa to jeszcze nie noc Apuchtinowska. Wprawdzie towarzyszą jej zjawiska podobne: konformizm, lizusostwo, kolesiostwo… A także wykorzenienie z polskiej tradycji, bo dla Czarnka polska tradycja to tylko tradycja rzymskokatolicka. Ale nie, do Apuchtina Czarnkowi jeszcze daleko, lecz dość już blisko do ministra oświaty sprzed 200 lat, Stanisława Grabowskiego. Z tym – jak go nazywano – „ministrem ociemnienia publicznego" łączy Czarnka właściwie wszystko, również religianctwo. Ale i tu istnieją różnice: Grabowski był erudytą i człowiekiem dobrze wychowanym.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 829cbd8022

Lech Mażewski

Rokosz zwany zamachem majowym

Narodziny, rządy i upadek reżimu sanacyjnego

Kryzys parlamentaryzmu, którego sygnały można było dostrzec w końcu XIX w., spowodował, że już na początku lat 20. XX w. zaczęły się pojawiać w państwach Europy Środkowej i Wschodniej wojskowe i cywilne dyktatury. Uchwalona w Polsce konstytucja z 17 marca 1921 r., wzmacniając władzę parlamentu i osłabiając przy tym władzę wykonawczą, mimowolnie ułatwiła przewrót majowy.

Na przełomie lat 1925 i 1926 odtworzyła się centroprawicowa koalicja (endecja, PSL „Piast", chadecja), do której dołączyła Narodowa Partia Robotnicza. Kluby centroprawicy w lutym i marcu 1926 r. zgłosiły projekty zmian ordynacji wyborczych do Sejmu i Senatu. Ich uchwalenie mogłoby ułatwić stworzenie większości uprawniającej do rządzenia państwem.

Pod koniec kwietnia 1926 r. kluby centroprawicy i NPR zaproponowały ponadto zmianę sposobu rozwiązywania parlamentu. Na gruncie nowego prawa wyborczego prawica i centrum, zapewniając sobie większość w Sejmie, sprawiłyby, że system rządów parlamentarnych mógłby poprawnie funkcjonować. Z kolei zmiany w uprawnieniach prezydenta i Senatu skutkowałyby powstaniem realnej możliwości odwoływania się do decyzji wyborców, gdyby większość sejmowa nie była w stanie poradzić sobie z rządzeniem państwem. Wejście w życie tych propozycji prawicy i centrum spowodowałoby, że lewica i mniejszości narodowe utraciłyby możliwość sformowania większości, przynajmniej do czasu przeciągnięcia na swoją stronę partii centrowych, a Piłsudski już na zawsze pozostałby lokatorem Sulejówka. Co oczywiste, było to dla nich nie do przyjęcia.

Naiwność lewicy

Próba realizacji tych zamierzeń ustrojowych doprowadziła do otwartego rokoszu wojskowego pod przewodnictwem byłego naczelnika państwa, przy wsparciu stronnictw lewicy, związków zawodowych, a nawet komunistów. Po walkach w Warszawie, stoczonych między 12 a 15 maja 1926 r., w których zginęło 215 żołnierzy i 379 cywilów, zwyciężyli przeciwnicy legalnej władzy. Jednak sojusznicy Piłsudskiego wkrótce przekonali się, jak bardzo się pomylili. Komuniści, którzy od razu próbowali potraktować marszałka jako odpowiednika Aleksandra Kiereńskiego, torującego bolszewikom drogę do władzy w Rosji w 1917 r., okazali się tylko użytecznymi idiotami, wedle znanego powiedzenia Włodzimierza Lenina. Zresztą w tej samej sytuacji znalazła się wkrótce pozostała część lewicy, z Polską Partią Socjalistyczną na czele.

Stawką majowego zamachu stanu była odpowiedź na pytanie o dalszy sposób rządzenia Polską: czy ma należeć do centroprawicy w oparciu o zmodyfikowany system parlamentarny, czy też istnieje potrzeba ustanowienia porządku autorytarnego z Piłsudskim jako *spiritus movens* nowego systemu. Zwycięstwo wojskowego rokoszu przesądziło, że Polska dołączyła do innych państw środkowej i wschodniej Europy, z wyjątkiem Czechosłowacji do 1938 r., funkcjonujących w ramach wojskowych czy cywilnych dyktatur.

Często podkreśla się bezideowość dyktatury Piłsudskiego. Istotnie, nie miała ona ideologicznego zabarwienia w znaczeniu obietnicy zasadniczego przekształcenia świata. Nie była to dyktatura totalitarna, nie dążyła do podporządkowania państwu każdego obywatela ani poddania kontroli wszystkich ciał społecznych. Marszałek opowiadał się przeciw eksperymentom politycznym, zarówno w lewicowym, jak i prawicowym kierunku, i dowodził, że sytuacja Polski nie pozwala na daleko idące reformy społeczne. Wytycznymi programu ideowego były: myśl o wzmocnieniu władzy wykonawczej przy zachowaniu parlamentu pochodzącego z wyborów, brak monopartii, gospodarczy interwencjonizm, ale z utrzymaniem w ryzach inflacji, podkreślanie roli armii, akcentowanie idei państwowej jako ciągu dalszego ideologii niepodległościowej.

Jedynie taki system bez ideologicznej wyrazistości mógł przyciągnąć ludzi różnych orientacji ideowych, a zarazem nie niszczyć fizycznie politycznych konkurentów. Gdyby Piłsudski wprowadził dyktaturę o zabarwieniu lewicowym, byłby zmuszony prześladować endecję, wywłaszczyć kapitał, a może i walczyć z Kościołem, państwo natomiast pogrążyłoby się w chaosie.

Zamach stanu z maja 1926 r. oznaczał początek końca systemu parlamentarnego w Polsce.

Gdyby przyjął orientację konsekwentnie prawicową, musiałby delegalizować partie lewicowe, organizacje mniejszości narodowych, związki zawodowe, likwidować ustawodawstwo społeczne i również wtedy Polska popadłaby w jakieś rządy stanu wyjątkowego. Swoisty centryzm tej władzy, operowanie w sferze pragmatycznych rozwiązań, a nie ideologicznego programu, pozwolił obozowi sanacyjnemu skupić wokół siebie znaczną część społeczeństwa, uniknąć destabilizujących kraj wstrząsów, tendencji likwidowania pluralizmu ideowego i politycznego, nie mówiąc o niszczeniu domeny społecznej.

Dla sanacji jako obozu rządzącego – po siłowym odrzuceniu w maju

eprasa.pl 829cbd8022

Stanowisko artylerii na ul. Mokotowskiej w Warszawie, 12-15 maja 1926 r. Armacie 75 mm przyglądają się tłumy ludzi.

1926 r. rządów centroprawicy, chcącej zbudować zmodyfikowany system rządów parlamentarnych – nie było faktycznie alternatywy. Gdyby zwyciężyły centrum i lewica, nastąpiłby zapewne krótki okres szamotaniny z odsuniętym od władzy obozem sanacyjnym, a jednocześnie z dążącym do władzy nacjonalistycznym Obozem Wielkiej Polski, następcą parlamentarnej endecji. W wyniku starcia lewicy i centrum z OWP zapewne doszłoby do delegalizacji tej strony, która by je przegrała. Upadek sanacji musiałby się zatem skończyć jakąś wojną domową, torując drogę lewicowej albo – co bardziej prawdopodobne – nacjonalistycznej dyktaturze, acz o kształcie nowego ustroju trudno coś pewnego powiedzieć. Słowem, lewica i centrum nie potrafiły dostrzec, że bez generalnej przebudowy stosunków wewnętrznych demokracja wrócić nie może, a przekształcona endecja nie chciała już budowy zmodyfikowanego systemu parlamentarnego.

Zamach stanu z maja 1926 r. oznaczał początek końca systemu parlamentarnego w Polsce. Zwycięski dyktator przystąpił per fas et nefas do budowy porządku autorytarnego. W miejsce suwerenności narodu wprowadzono suwerenność państwa, zamiast trójpodziału władzy z przewagą legislatywy – prymat władzy wykonawczej, prawa podmiotowe jednostki utraciły zaś charakter absolutny. Urzeczywistnienie tych zmian nie było łatwe, lecz gdy 23 kwietnia 1935 r. Polska otrzymała nową konstytucję, istnienie systemu autorytarnego w kraju było już faktem.

Dwa obozy

Postać Piłsudskiego nadała polskiemu autorytaryzmowi i jego ideologii oryginalny kształt. Nastąpiło dopasowanie idei wodzostwa do jej niepowtarzalnego wymiaru (twórca czynu legionowego, wódz armii i strażnik polskiej racji stanu), co przełożyło się na formę absolutnie różną od idei wszechogarniającego wodzostwa faszystowskiego, bolszewickiego czy nazistowskiego. Faktem był głęboki i konsekwentny anachronizm poglądów i postawy dyktatora, jego spojrzenia konserwatywnego i nierozerwalnie związanego z wyobrażeniami i sporami ideowymi XIX w. W imię tego właśnie anachronizmu Piłsudski równocześnie potępiał demoliberalne i parlamentarne struktury oraz sprzeciwiał się ustanowieniu otwartej dyktatury i budowie państwa totalitarnego.

Nieco anachroniczna postać polskiego autorytaryzmu charakterystyczna była dla lat 1926-1935. Podkreślenie tego faktu jest konieczne ze względu na dalsze losy systemu. Po śmierci dyktatora w 1935 r. dokonał się bowiem swoisty rozpad dotychczasowego porządku przy równoczesnym bardzo silnym i niespotykanym wcześniej jawnym dążeniu do uzupełnienia go w drodze zapożyczeń nowych idei przewodnich. Te uzupełnienia (nacjonalizm, totalitaryzm) oznaczały zwrot w prawo, podobny do procesów, jakie toczyły się już od 1926 r. w obozie narodowym. Endecki nacjonalizm uzupełniony został wtedy bardziej odwołaniem się do katolicyzmu niż czerpaniem z rozwiązań totalitarnych.

W latach 1935-1939 w obozie sanacyjnym uformowały się dwa zasadnicze ośrodki ideowo-polityczne: grupa zamkowa skupiona wokół prezydenta Ignacego Mościckiego oraz zwolennicy marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego. Z rozważań możemy wyłączyć ośrodek pod egidą Walerego Sławka, który próbował podążać w kierunku czegoś w rodzaju utopii autorytarnej, gdyż został on szybko wyeliminowany z życia politycznego.

Członkowie grupy zamkowej reprezentowali poglądy, które dałoby się ująć w formułę autorytaryzmu konstytucyjnego. Cechowała je względna wierność postanowieniom nowej ustawy konstytucyjnej w połączeniu z dążeniami

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

eprasa.pl 829cbd8022

technokratycznymi oraz nieśmiałymi obietnicami ewentualnej liberalizacji politycznej w ramach obowiązującego porządku. Te dwie ostatnie sprawy kojarzone były z osobą wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego.

Znacznie bardziej złożone problemy ideowo-polityczne stanęły przed zwolennikami kolejnego marszałka. Sam Rydz-Śmigły nie miał sprecyzowanej koncepcji ideowej i akceptował jedynie bliżej nieokreśloną formułę zwykłej dyktatury militarnej, obciążonej problemami niemożności znalezienia szerokiego zaplecza społecznego. Jego doradcy próbowali rozwiązać ten ostatni problem. Ich poszukiwania skończyły się radykalnym zwrotem w stronę ideologii i organizacji rodzimego faszyzmu (Ruch Narodowo-Radykalny Falanga). Zdezawuowanie Adama Koca, szefa Obozu Zjednoczenia Narodowego, oznaczało przekreślenie tych związków, ale zasadniczy kierunek zwrotu – w stronę totalitaryzmu – pozostał ważnym elementem dziejów obozu rządzącego w ostatnich latach przed wybuchem II wojny światowej. Świadczyły o tym wysiłki Zygmunta Wendy i Bogusława Miedzińskiego, postaci z otoczenia Rydza-Śmigłego, którzy podjęli próbę skojarzenia dyktatury wojskowej z własną formułą totalitaryzmu o wyraźnej orientacji nacjonalistycznej.

Nie sposób jednak nie zauważyć wielu faktów z lat 1938-1939, wskazujących, że kierunek przekształceń nie był nawet w elicie obozu rządzącego aż tak jednoznaczny. Ważnym dowodem są tu rozpoczęcie w 1938 r. i kontynuowanie w 1939 r. wyborów samorządowych w miastach oraz zapowiedzi z tego samego okresu uchwalenia nowej ordynacji do Sejmu, do czego jednak nie doszło.

Słabość opozycji

Siły wewnętrzne nie okazały się wystarczające do obalenia systemu sanacyjnego po śmierci Piłsudskiego. Ani wzmagające się protesty robotnicze, w tym liczne strajki okupacyjne, ani wielki strajk chłopski w lecie 1937 r. organizowany przez Stronnictwo Ludowe – mimo licznych ofiar śmiertelnych – nie wstrząsnęły ówczesną władzą. Zagrożeniem dla istniejącego porządku nie były też uliczne burdy wszczynane przez zradykalizowanych młodych narodowców, tym bardziej takiej roli nie mogły odegrać pokojowe działania polityków związanych z centrowym Frontem Morges. Wszystkie te usiłowania stanowiły jedynie dowód faktycznej bezsilności ich uczestników czy organizatorów, gdyż władza sanatorów nigdy nie była przez to zagrożona. Co przesądzało, że zrodzony w wyniku zamachu majowego porządek okazał się tak trwały?

Upadek sanacji musiałby się skończyć wojną domową, torując drogę lewicowej albo nacjonalistycznej dyktaturze.

Należy zwrócić uwagę na zależność między strukturą społeczno-gospodarczą międzywojennej Polski a nasileniem się tych czy innych cech reżimu sanacyjnego. Istotna była tu wielka rola państwa jako nie tylko twórcy polityki gospodarczej, lecz także – i przede wszystkim – głównego kontrolera, dysponenta kapitału i przedsiębiorcy. W warunkach słabości kapitału nieuchronna była dominująca rola administracji w życiu gospodarczym i politycznym, co prowadziło do zlewania się warstwy rządzącej, uzupełnionej przez czynniki wojskowe, i klas posiadających oraz do szokującego zachodnich obserwatorów faktu, że majątek robiło się nie w gospodarce, lecz w polityce. Kapitalizm państwowy był gospodarczą bazą, zapleczem dyktatury, co w Polsce tak wyraźnie się uwidoczniło. Jedyny kraj regionu z liberalną i bardziej rozwiniętą gospodarką – Czechosłowacja – oparł się do konferencji w Monachium w 1938 r. prądom dyktatorskim.

Sanacyjna dyktatura była zatem w sensie społecznym oparta na biurokracji, która zawarła sojusz z klasami posiadającymi, z wykluczeniem dotychczasowej elity władzy związanej z tradycyjnymi partiami prawicy (głównie endecją). Towarzyszył temu fakt niedorozwoju klasy robotniczej, słabości klas średnich, braku gospodarczych podstaw niezależności inteligencji, związanej ściśle z aparatem państwowym, dominacji drobnego chłopstwa i olbrzymiego ukrytego bezrobocia na wsi. Nieśmiałe próby industrializacji kraju, jakie pojawiły się po śmierci Piłsudskiego, nie były w stanie tego zmienić. W sumie daje to obraz społeczeństwa przeżartego przez państwo, pozostające od maja 1926 r. w rękach zwycięskich rokoszan. Bez rozbicia tej martwej struktury społeczno-gospodarczej nie było przyszłości dla Polski. To w konsekwencji oznaczałoby wyeliminowanie dotychczasowej klasy panującej albo przynajmniej znaczne ograniczenie jej uprzywilejowanej pozycji, na co ta z oczywistych powodów się nie godziła.

Wszystko to razem przesądzało o trwałości sanacyjnego autorytaryzmu i jego dalszej ewolucji w kierunku rozwiązań totalitarnych. Ekspansja reżimu zależna była od dalszej etatyzacji życia gospodarczego i społecznego, co też w latach 30. ubiegłego wieku wyraźnie się nasiliło. Sojusz biurokracji, uzupełnionej przez wojskowych rokoszan, z klasami posiadającymi zdominował wtedy kształt wewnętrzny Polski. Czy gdyby nie wybuch i przebieg wojny we wrześniu 1939 r., doszłoby do totalizacji ustroju – nie wiadomo. Ale w wersji *à la polonaise* mógłby on istotnie się różnić od występujących wówczas w Europie rozwiązań, być rodzajem *quasi*-totalitaryzmu.

Postać Piłsudskiego nadała polskiemu autorytaryzmowi i jego ideologii oryginalny kształt.

O upadku reżimu sanacyjnego przesądziło wsparcie Francji dla polityków z Frontu Morges, z gen. Władysławem Sikorskim na czele, przebywających w Paryżu po klęsce Polski w kampanii 1939 r. Antysanacyjna opozycja była za słaba, żeby tego samodzielnie dokonać. Nie pierwszy zatem raz o losie Polski zadecydowały siły zewnętrzne.

Dr hab. Lech Mażewski jest ustrojoznawcą

eprasa.pl 829cbd8022

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Na samym początku i końcu – Hel

Pewnie można by komentować ze zgrozą, ironią, szyderstwem, przerażeniem, zadziwieniem to, co się wyrabiało wokół głosowania w Sejmie nad ratyfikacją unijnej decyzji o zasobach własnych dotyczącej Funduszu Odbudowy, zarówno podczas sejmowych przepychanek, jak i medialnych starć czy sieciowych tsunami. Mógłbym z zasłużoną złośliwością komentować sytuację Zbigniewa „Niemego" Ziobry, jakkolwiek by było ministra „prezydenckiego", który, dowodząc rokoszkiem przeciw ratyfikacji, miał czelność zwrócić się przeciw imperatorowi Jarosławowi, co sprawiło, że marszałkini Sejmu Elżbieta Witek nie dopuściła go do głosu, i w tym jednym momencie oglądaliśmy nie potężnego, mściwego ministra sprawiedliwości, który na każdego coś ma, tylko małego, skarconego przez nauczyciela, rumianego ze wstydu chłopca.

Można by też o szczepionkach w deszczowych, zimnych, majowych kolejkach i popularności dramatycznych wieści z Indii, gdzie z powodu rozluźnienia rygorów podczas uroczystości religijnych, imprez sportowych i wyborów oglądamy spektakl rozszalałego covidu – zbierającego krwawe żniwo, w stosunku do liczby mieszkańców mniejsze jednak niż nad Wisłą. Ale możliwość komentowania jest również możliwością niekomentowania.

Możliwość komentowania jest również możliwością niekomentowania.

Nie mogę się oderwać myślami od rodzinnej, przykrej uroczystości. Przeżywszy 92 lata, zmarł mój wujek. Śmierć w tym wieku to niby nic dziwnego. Jednak odejście wujka zamyka jakąś ważną część mojego życia, uruchamia wyobraźnię, kołyszą się wspomnienia. Wujek był całe życie marynarzem Marynarki Wojennej i żył tam, gdzie stacjonował – w Helu. Spędzałem tam szczęśliwe momenty niezmąconego dzieciństwa, nie mając jeszcze żadnych poglądów, uprzedzeń, wątpliwości ani pytań. Wujek był niewiarygodnie pogodny i – co ważne – był pierwszym człowiekiem z tatuażem, którego poznałem. Pierwsza widziana szaroniebieska kotwica, splecione litery MW na szczupłym, żylastym przedramieniu, pozostanie już na zawsze tą najważniejszą – i piękną, tajemniczą, i trochę groźną, niepokojącą.

Port wojenny w Helu, do którego niekiedy mnie przemycał, był wówczas pełen prawdziwych i pływających okrętów, które parolatkowi wydawały się przeogromne i potężne. Dzisiaj w tym miejscu nie ma żadnego okrętu, czasami stacjonują jednostki ratownicze. Port budowany był jeszcze przed wojną, w czasie wojny Hel szybko stał się jedną z najważniejszych baz szkoleniowych załóg hitlerowskich U-bootów. Z pejzażu dzieciństwa nieusuwalne jest wspomnienie rejsu małym kutrem, motorówką, do portu wojennego w Gdyni po kamizelki ratunkowe dla helskiego garnizonu – dzisiaj można to napisać, wujek już nie poniesie żadnych konsekwencji oprócz mojej dobrej pamięci. W Gdyni stacjonowały także okręty podwodne, ich widok uprzytamnia mi, że nie zawsze byłem antymilitarystą i że te obrazy broniły się swoją oczywistością i mocą.

Pobyty w Helu to także odwiedzanie kina Wicher, nowoczesnego, modernistycznego, zbudowanego w latach 60. W XXI w. kino niszczało, popadając w ruinę, podobnie jak funkcjonujące obok kasyno wojskowe, gdzie się stołowaliśmy. W zeszłym roku oba budynki zrównano z ziemią, wejdzie deweloper i będzie apartamentowiec, a ja mam wciąż pod powiekami wichrowe mozaiki z syrenami i wspomnienia pierwszych seansów filmowych. Do bólu po odejściu wujka dołączył skurcz tęsknoty za widokiem Wichru. Ten pusty plac symbolizował jakiś kolejny koniec tamtego świata, w którym dla marynarza z kilkudziesięcioletnią służbą na okrętach i w porcie nie zabrakłoby miejsca w helskim szpitalu wojskowym. A tak się stało teraz. Śmierć wujka zakwalifikowano jako covidową, co sprawiło, że wdrożone procedury nie pozwoliły rodzinie ubrać go w mundur. A całe życie był przecież marynarzem. Sam cmentarz upstrzony jest co najmniej kilkudziesięcioma tabliczkami, że groby są nieopłacone. Cmentarz jest komunalny. Nie zapłacisz – nie będziesz miał grobu.

Nasz ostatni spacer przed kilkoma laty był oczywiście do latarni i do portu. Charakterystyczną szczupłą sylwetkę wujka rozpoznawali mieszkańcy, koledzy, wędkarze, sąsiedzi. Hel, który pamiętałem i który pokochałem dzięki wujkowi, odszedł w dal. Dzisiaj można chodzić wokół całego helskiego cypla, na pięknej plaży nie ma zasieków z drutu, można zwiedzać dawne fortyfikacje, bunkry, stanowiska ogniowe. Przechodzić przez hektary lasów obronnych, wspominać szarawą stal okrętów, chłód broni służbowej, śmiech starego marynarza. I odwracać głowę od straganowej, reklamowej oczopląsiarni. Pewnie nieraz jeszcze tam pojadę, to podróż w czasie i historii, ale Hel już nigdy nie będzie dla mnie tym samym miejscem. Żegnaj, wujku, ahoj, dobrego żeglowania po morzach wieczności. Helu – nie daj się.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 829cbd8022

Wiesław Kot

Bronisław Cieślak (1943-2021)

Zgłosił się...

W PRL mogliśmy nawet pokochać milicjanta. Pod jednym warunkiem – że był to porucznik Borewicz

Powiedzieć aktor? Mało! Bronisław Cieślak to była Postać. Ministrant z kościoła na krakowskim Kazimierzu, z wykształcenia etnograf po UJ, z czasem reporter radiowy i dziennikarz, wszedł w pierwszy prawdziwy serial „policyjny" (choć o milicji) jak brakujący puzzel w układankę. Wszystko, co mu się przydarzyło później (łącznie z karierą parlamentarną), to tylko przypisy do porucznika Borewicza.

Ewa wzywa

Do obsady popularnego – w założeniu – serialu telewizyjnego żaden aktor z nazwiskiem się nie kwapił, wręcz przeciwnie. Środowisko doskonale pamiętało, że Janusz Gajos po sukcesie w „Pancernych", a Stanisław Mikulski po „Stawce" przez całe lata musieli pauzować. Nie widział ich u siebie żaden reżyser, bo miałby nie aktora, lecz czołgistę i agenta. No i czasy na rolę milicjanta były najgorsze z możliwych – produkcję serialu rozpoczęto w 1976 r., po wydarzeniach radomskich. Społeczna ocena milicji sięgnęła dna. Z „propozycji na Borewicza" nie skorzystali przykładowo Jan Englert i Piotr Fronczewski. Ale w orbicie zainteresowań reżysera Krzysztofa Szmagiera znalazł się redaktor krakowskiej telewizji, Bronisław Cieślak, który w programie „Bez togi" na żywo relacjonował co bardziej bulwersujące sprawy kryminalne. Na zdjęcia próbne pan redaktor się zgodził, bo już planował, jak zrobi z nich reportaż, a może nawet napisze książkę „Jak nie zostałem gwiazdą filmową". O wzięciu roli w serialu nie było mowy, bo szefostwo krakowskiego ośrodka natychmiast z hukiem wywaliłoby redaktora Cieślaka. Tyle że gdy zdjęcia próbne obejrzał główny prezes telewizji Maciej Szczepański, to ani krakowski dyrektor, ani sam Cieślak nie mieli już nic do gadania.

I ruszyły zdjęcia „Przygód porucznika Bolskiego", bo tak początkowo nazywał się serial. Ale że nazwisko wydało się Cieślakowi jakieś zbolałe, pożyczono to bardziej „podchodzące" od asystenta operatora, Bohdana Borewicza. Zmieniono też tytuł serialu na „07 zgłoś się", ale nie – jak chce legenda – aby przymierzyć porucznika MO do Jamesa Bonda. Po prostu przez bezpłatny numer telefoniczny 07 przez cała lata można było się dodzwonić na milicję. A kiedy kręcono serial, na rynku już od ośmiu lat świetnie rozchodziły się niebieskie comiesięczne zeszyty kryminalne z serii „Ewa wzywa 07…". Osiem zresztą przerobiono na scenariusze do kolejnych odcinków.

Babcia na wyrębie, wnuk w MO

Porucznik Borewicz okazuje się bardzo interesującą składanką. Jako oficer śledczy wyniki ma świetne, ale przez 11 lat serialowej służby (ostatni odcinek to rok 1987) nie awansował nawet o jeden stopień. Może dlatego, że nie zapisał się do partii (w przeciwieństwie do Bronisława Cieślaka, który był w strukturach aż do wyprowadzenia sztandaru). Choć tradycja rodzinna popychała w tę stronę. Ojciec Borewicza był działaczem PPS, po wojnie jako wykładowca prawa szkolił milicyjne kadry, za co zarobił kulkę od któregoś z „żołnierzy wyklętych". Z kolei babka, która wychowywała przyszłego milicjanta, była przedwojenną działaczką KPP, co w ramach stalinowskich czystek przypłaciła kilkuletnim wyrębem tajgi za kręgiem polarnym. Maturę Borewicz zdał w szanowanej stołecznej szkole Batorego przy Myśliwieckiej. To tu zapewne młody Sławomir podciągnął się w angielskim do tego stopnia, że po studiach prawniczych został wysłany na placówkę dyplomatyczną do Londynu, gdzie „bawił się w handel zagraniczny". Zachodem się nie zachłysnął, w przeciwieństwie do żony (zagrała ją Izabela Trojanowska). Ta wpadła w oko bogatemu obywatelowi Libanu i bez żalu rozstała się z mężem, który nie miał prawa się spodziewać, że kiedykolwiek zarobi więcej niż aktualna średnia krajowa. Z dyplomacji na grunt milicyjny Borewicz przeniósł zwyczaj noszenia amerykańskiej kurtki wojskowej (wcześniej w takiej pokazał się Zbyszek Cybulski w „Popiele i diamencie"), T-shirtów z logo Pumy, spryskiwania się Old Spice'em czy używania golarki elektrycznej.

> Powiedzieć aktor? Mało! Bronisław Cieślak to była Postać.

W imię zasad, miłe panie

Poza zachodnim sznytem Borewicza w oczach widzów ratowała autoironia. Nie ma on cienia złudzeń w kwestii tego, co społeczeństwo sądzi o milicji, ale też nie żywi złudzeń co do samego społeczeństwa. Co się okazuje przy rozpatrywaniu donosów. Borewicz tłumaczy, że rodacy wprawdzie nie lubią milicji, ale jeszcze bardziej nie lubią innych rodaków, którym się powiodło, i takim bliźnim bardzo chętnie podłożą świnię w postaci donosu do nielubianej MO. W gospodarce socjalistycznej dostrzega „przerosty". Gdy go wkurzą mocniej, potrafi rzucić w twarz majorowi Wołczykowi, że nie ma sensu ścigać po bazarze Różyckiego bab handlujących majtkami spod lady, dopóki tych majtek nie będzie można kupić w sklepie na rogu. Oczywiście Borewicz zostaje za taką zuchwałą krytykę systemu natychmiast usadzony przez majora, który patrzy na te sprawy szerzej.

eprasa.pl 829cbd8022

No i Borewicz to był swojski luzak, zwłaszcza na polu damsko-męskim. Ot, oglądają sobie z porucznikiem Zubkiem w poniedziałkowy poranek gwiazdy filmowe, które przyjechały do łódzkich studiów na zdjęcia (teatry tego dnia zamknięte). Zubek jest zachwycony, że na jednym peronie widzi i Ewę Wiśniewską, i Stanisława Mikulskiego, i jeszcze Krzysztofa Kowalewskiego. Na Borewiczu te persony nie robią najmniejszego wrażenia. „Jak wielcy ludzie sztuki idą, to was nie interesuje – wyrzuca mu Zubek. – Szansonistki żeby szły roznegliżowane, tobyście się gapili". Borewicz na to: „Szansonistki? W poniedziałek rano na dworcu? Z największą przyjemnością!".

Poza tym Borewicz w kwestii dam jest jak śmierć – kosi wszystko. Jak ma sprawę do funkcjonariuszki z milicyjnego archiwum, to z miejsca próbuje ją omotać. Trafiła się pielęgniarka – szybko ląduje w jego łóżku, podwozi go kobieta za sterami śmigłowca – już porucznik wstawia jej bajer. Dostawia się nawet do żony kolegi, Jaszczuka. Sam zresztą się gubi w tych romansach do tego stopnia, że w jednym z odcinków aktualna partnerka zastaje go w łóżku z jeszcze nowszą kochanką. Obliczano, że średnio na jeden odcinek przypada trzy i pół narzeczonej Borewicza. Nie prześpi się tylko z byłą żoną, która wpadła do Warszawy na chwilę i cynicznie zaprasza do swojego apartamentu w Victorii. Cóż, „w imię zasad", jak pewnie by powiedział jego młodszy kolega Franz Maurer. Bo nawet taki kolekcjoner jak Borewicz w kwestii podrywu jakieś zasady respektuje.

Porucznik to był swojski luzak, zwłaszcza na polu damsko-męskim.

Z tym wszystkim Borewicz wstępuje w środowisko przestępcze Warszawy jak Philip Marlowe wstępował w czeluście Los Angeles. I tam, i tu zbrodnia „główna" odkrywa szeroki obszar deprawacji, jakiej ulega całe dookolne środowisko. Oto weteran zachodniego frontu II wojny, obecnie właściciel stadniny koni, który żyje z nauki jazdy, przy tym homoseksualista, zazdrosny o młodego „podopiecznego" (odcinek „24 godziny śledztwa"). Cóż, miłość nie wybiera… Gorzej, że koło dość zamożnego weterana kręci się czereda młodych cwaniaków, którzy dadzą się starszemu panu „wykorzystać", choć z natury są jak najbardziej hetero. Oczywiście za niemałe „honorarium".

Albo weźmy sytuację z odcinka „Strzał na dancingu": ofiarą zbrodni jest mężczyzna, a zabójczynią okazuje się piosenkarka dancingowa, niegdyś jego partnerka. Tymczasem śledztwo komplikuje prostą, wydawałoby się, sprawę, bo zamordowany to wyjątkowo bezlitosny szantażysta – zmuszał swoją ofiarę do prostytucji i wyrywał ostatnie grosze, których brakowało na utrzymanie małego dziecka. Sympatia widza lokuje się więc po stronie morderczyni. Wymiaru sprawiedliwości zresztą też – prokuratura uwzględnia okoliczności łagodzące, skazana będzie miała w areszcie całkiem znośne warunki, a dziecku zapewni się opiekę.

Ten półmrok moralny utrzymywał się nawet w sytuacjach, które na samo przestępstwo bezpośrednio nie rzutowały. W odcinku „Dziwny wypadek" oglądamy antypatycznego docenta, który wdał się w pokątny romans. Jego żona od lat jest obłożnie chora. Docent nie umie jej porzucić, ale i nie może się oprzeć pokusie zdrady. Jego kochanka z konieczności akceptuje ten układ – oboje ze smutnym znużeniem czekają na śmierć prawowitej małżonki. Odcinek kończy się sceną, w której docent po raz kolejny idzie w odwiedziny do szpitala, a kochanka podaje mu czekoladki i kwiaty dla żony, o co troskliwie sama zadbała. Po czym ze zwieszoną głową czeka w samochodzie na jego powrót.

Z czasem Cieślak i Borewicz zlewali się w jedną postać – scenarzysta Szmagier po prostu szerokim gestem sięgał do biografii zakumplowanego aktora i wybierał rodzynki. Filmowa stewardesa krytykuje facjatę bohatera: „Nie wygląda pan na myśliciela, raczej na boksera, i to kiepskiego, bo panu nos rozkwasili". W odpowiedzi słyszy historię o góralach, z którymi kiedyś zdarzyło mu się wejść w polemikę – i stąd ten złamany nos. Wszystko prawda! Inni też chętnie bawili się jego wizerunkiem. Kiedyś „Trybuna" wydrukowała obok siebie trzy zdjęcia. Na pierwszym był Sean

FOT. INPLUS/EAST NEWS

eprasa.pl 829cbd8022

Connery podpisany „007”, na drugim Borewicz z podpisem „07”, a na trzecim minister Ziobro z podpisem „0”. Cieślak zamierzał nazwać Borewicz swojego kota, ale gdy kot okazał się samiczką, poprzestał na Borówce.

Komisarz Borewicz? Nie, dziękuję

Sam Bronisław Cieślak demonstrował do swojej postaci dobroduszny dystans. W czasach, kiedy skończyły się pieniądze z aktorstwa, zmuszony był zarabiać na życie, sprzedając słodycze w kiosku w krakowskim Domu Turysty. Dla szkolnych wycieczek, które robiły sobie z nim zdjęcie, był większą atrakcją niż Wawel. Ale np. na rynku w Nowym Sączu w czasach przedpandemicznych kwitnąco prosperował sklep z procentami, który na reklamie miał potężną butelkę oraz hasło: „0,7 zgłoś się!”.

Pokazał się Cieślak przykładowo w drobnym epizodzie w filmie „Latające machiny kontra Pan Samochodzik”. Rozpoznaje go tam grupa więźniów: „O, porucznik Borewicz!”. „Komisarz Borewicz! Został pozytywnie zweryfikowany”, pada natychmiastowa korekta. Z czasem stawał się szacownym zabytkiem. Podczas spotkania z fanami w szczecińskim Muzeum Techniki żartował, że muzeum to najlepsze miejsce na spotkania z takimi jak on. Kiedy córka obejrzała w telewizji odcinek o przemycie krempliny z Zachodu (lata 70.), dopytywała ojca, czy kremplina to jakiś rodzaj prochów, o którym nie słyszała. Na Dworcu Centralnym w Warszawie zaczepił Cieślaka starszy pan, który deklarował, że ma całkiem poważne zlecenie dla „pana detektywa” – zapewne Borewicz nałożył mu się na Malanowskiego.

A co by było, gdyby powstały nowe odcinki serialu umieszczone w realiach III RP… Reżyser Krzysztof Szmagier miał już nawet gotowy scenariusz takiego pilotażowego odcinka. W nim porucznik Borewicz w ostatniej fazie PRL prowadzi śledztwo w sprawie partyjnego dygnitarza. Ten szuka na niego haków, a że nic nie znajduje, posuwa się do prowokacji i wrabia policjanta. Borewicz ląduje w więzieniu, prycza w pryczę z działaczami opozycji. Nie jest z ubecji, więc łatwo się z nimi zaprzyjaźnia, a oni doceniają w nim „równego faceta, choć milicjanta”. Te znajomości przydadzą mu się wcześniej, niż się spodziewał. Prokurator nie może przetrzymywać go pod kluczem bez dowodów w nieskończoność. Borewicz wychodzi zatem na wolność, ale już w nowej Polsce. I teraz – dzięki znajomościom spod celi – pozytywna weryfikacja to bułka z masłem. Zostaje komisarzem i będzie stał na straży odrodzonej, niepodległej itd. „Bezapelacyjnie. Do samego końca. Mojego lub jej”. Ale taka opowieść Cieślakowi/Borewiczowi nie pachniała. „Daj spokój, Krzysztof, będziesz się teraz podlizywał?”, spytał reżysera. I nawet nie czekał na odpowiedź.

Poza wszystkim Borewicz zostawił licznym hołdownikom bezcenne przesłania, za które jesteśmy mu wdzięczni do dziś: „Funkcjonariusz milicji? Na wódkę?! W biały dzień? W godzinach pracy? Z największą przyjemnością”.

Wiesław Kot

Imieniny obchodził oczywiście 1 września, jako Bronisław. Licznie odwiedzali go w tym dniu starsi i młodsi przyjaciele. Wbrew pozorom zdrobnienie Sławek wzięło się nie od imienia serialowego bohatera, ale od skrótu Bronisława. Tak nazywali go przyjaciele.

Dzieciństwo i młodość na krakowskim Kazimierzu miał ubogie. Może dlatego bardzo cenił sobie finansową niezależność, osiągniętą dzięki zapobiegliwości żony Hanki i własnej pracy w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, głównie przy serialu „Malanowski i Partnerzy”.

Do swoich osiągnięć na ekranie miał dystans. Bardzo poważnie traktował natomiast osiągnięcia w Polskim Radiu Kraków, gdzie pracował do drugiej połowy lat 90. Szczególnie cenił sobie przyjaźń z Jackiem Stworą i innymi tuzami ówczesnej rozgłośni. Od połowy lat 70. do wiosny 1991 r. pracował w Ośrodku Telewizyjnym na Krzemionkach. Był m.in. kierownikiem redakcji codziennego programu informacyjnego „Kronika Krakowskiej TV”. Od 1984 r. jako zastępca redaktora naczelnego ds. artystycznych. To Sławek był pomysłodawcą zatrudnienia na Krzemionkach jako głównego reżysera Kazimierza Kutza, do czego w 1985 r. trzeba było przekonać krakowski komitet PZPR. Okres od drugiej połowy lat 80. do 1993 r. to najlepszy czas Telewizji Kraków. Przede wszystkim dzięki Kazimierzowi Kutzowi i Sławkowi.

Aktorski debiut

Po wojnie Sławek mieszkał w dzielnicy Kazimierz, która nie cieszyła się dobrą opinią. Aby uchronić syna od złego towarzystwa, matka zapisała go do kółka ministranckiego przy kościele Bożego Ciała. Wtedy to opiekun ministrantów ks. Rudolf Droździewicz zaproponował wystawienie napisanej przez siebie jednoaktówki o męczeństwie św. Tarsycjusza, który wolał zginąć ukamienowany przez pogan, niż oddać im niesiony pod płaszczem Najświętszy Sakrament. Rolę świętego ksiądz powierzył Sławkowi i ten na schodach jednego z ołtarzy ginął kilka razy pod gradem papierowych kul. To był jego aktorski debiut.

LK

2 maja br. w wieku 77 lat zmarł

Bronisław Cieślak – dla przyjaciół Sławek,

nasz Przyjaciel,
człowiek wielu talentów,
dziennikarz radiowy i telewizyjny,
popularny aktor, m.in. porucznik Borewicz z serialu „07 zgłoś się”,
człowiek lewicy, wierny jej wartościom do końca,
znaczący polityk – poseł na Sejm RP III i IV kadencji, przez pewien czas rzecznik klubu parlamentarnego SLD.
Sławek Cieślak był do końca, od kilkudziesięciu lat, aktywnym członkiem „Kuźnicy”.
Przyjacielu – będzie nam Ciebie bardzo brakowało.

Kuźniczanie

eprasa.pl 829cbd8022

Sławek

Był dziennikarzem kompletnym, autorem reportaży radiowych, telewizyjnych, filmów dokumentalnych

Z prof. Aleksandrem Krawczukiem podczas cyklicznego programu rozrywkowego „Tylko w niedziele", 1981 r.

Wtedy powstały najlepsze spektakle Teatru Telewizji, kabarety, koncerty. Rocznie Kraków przygotowywał ich ponad 120 godzin. Plus 100 godzin publicystyki i informacji.

W lutym 1990 r. Kazimierz Kutz został nowym szefem ośrodka. Miesiąc później wezwano go do nowego komitetu partii, czyli siedziby Solidarności. Zażądano nie tylko natychmiastowego odwołania Sławka z funkcji zastępcy naczelnego, ale również wyrzucenia go z pracy. Po powrocie na Krzemionki wzburzony (a to bardzo delikatne określenie) Kazimierz Kutz poprosił go do siebie i przy nim zadzwonił do prezesa Andrzeja Drawicza. Ten odpowiedział, żeby Kutz napisał wniosek o zwolnienie zastępcy, a on schowa go do szuflady. Jednak wiosną 1991 r. najpierw odwołano Kutza, a chwilę później Sławek został zwolniony przez wiceprezesa Radiokomitetu Marka Markiewicza (kolegę Cieślaka z Łodzi) na wniosek kolegi z Krzemionek, nowego naczelnego Telewizji Kraków, Artura Janickiego. Zarejestrował się wtedy jako bezrobotny, przez pewien czas w kiosku krakowskiego Domu Turysty sprzedawał czekolady, gumy do żucia, zegarki. Przytuliła go Telewizja Katowice, w której poprowadził teleturniej o reklamie.

Banicja z Krzemionek nie trwała długo. Jedną z pierwszych decyzji Krzysztofa Jasińskiego, od 1993 r. nowego dyrektora, było powołanie Sławka na szefa reklamy.

Był dziennikarzem kompletnym. Autorem reportaży radiowych, telewizyjnych, filmów dokumentalnych. Prowadził programy publicystyczne i wielkie koncerty. Pisał artykuły.

Lata 1997-2005 to posłowanie z ramienia SLD. Przekonaniom lewicowym przez pamięć o ubogim dzieciństwie pozostał wierny do końca. Pod koniec rządów SLD przewidywał, że lewica przez wiele lat będzie zmarginalizowana i stanie się partią 40-60 jedynek na listach, z najwyżej kilkunastoprocentowym poparciem. Był sybarytą, cenił dobre towarzystwo, jedzenie, napitki. Kochał słodycze, przede wszystkim lody. Najchętniej z bitą śmietaną i świeżymi owocami. Jego rajd z choinką 24 grudnia 2000 r. pod prąd w okolicach placu Szczepańskiego w Krakowie został przez kolegów z ław sejmowych potraktowany jako udany początek kampanii sejmowej, po której w 2001 r. Cieślak odnowił swój mandat. A ponieważ nie ma wroga gorszego niż partyjny kolega na liście wyborczej, został karnie przesunięty na dalekie miejsce. Za swój największy sukces podczas drugiej kadencji uważał uchwalenie w 2005 r. ustawy o kinematografii, która powoływała Polski Instytut Sztuki Filmowej i do dzisiaj zapewnia finansowanie produkcji filmów. W 2005 r. Sławek został uhonorowany medalem Gloria Artis.

Był człowiekiem spełnionym rodzinnie i zawodowo. Spłodził syna – i dwie córki – zbudował dom, zasadził niejedno drzewo.

■

Za swój największy sukces uważał uchwalenie w 2005 r. ustawy o kinematografii, która powoływała Polski Instytut Sztuki Filmowej.

Z Gilem na obozie ZMS

Kiedy Sławka wyrzucono z krakowskiej telewizji, honor nie pozwolił mu prosić o pomoc. A przecież dobrze znał byłego przewodniczącego Zarządu Regionu Małopolska NSZZ Solidarność i posła Mieczysława Gila. Razem jeździli na obozy do ośrodka Związku Młodzieży Socjalistycznej w Kobyle-Gródku, dzisiaj Gródku nad Dunajcem, i wspólnie codziennie na porannych apelach śpiewali „Jesteśmy gwardią proletariackich mas". Była między nimi tylko taka różnica, że Cieślak miał na sobie koszulkę z napisem „Ratownik WOPR", a Gil, jako instruktor ZMS, białą koszulę i czerwony krawat.

LK

FOT. ARCHIWUM TVP/FORUM

eprasa.pl 829cbd8022

DOKUMENT

GAMESTOP
Amatorzy kontra Wall Street
reż. Mark Radice, prod. USA, TVN 24 GO

Znacie go jako wilka z Wall Street, który dwie dekady temu sprzedawał fikcyjne akcje. Fakt, na chwilę trafił do więzienia, ale co z tego, skoro co poużywał i zabalował, to jego. Teraz Jordan Belfort powraca jako komentator niedawnej afery giełdowej. On, przedstawiciel starego świata finansjery, stara się nam, widzom, wytłumaczyć, jak milenialsi dokonali spektakularnego skoku na Wall Street. A wszystko za sprawą akcji upadającej firmy z branży gier komputerowych GameStop. Gdy doświadczeni

maklerzy chcieli zarobić na tym, że ich wartość spadała, młodzi ludzie, niezadowoleni z kondycji giełdy, przekonani, że nigdy nie zbiją na niej fortuny, jeśli nie wejdą na rynek z potężnym kapitałem, skrzyknęli się w mediach społecznościowych i podkupili akcje GameStop, kosmicznie windując ich wartość. Dokument szczegółowo pokazuje, do jakiego zamieszania doszło w efekcie na Wall Street, przystępnie tłumaczy też kulisy tej manipulacji. To, że oprowadza nas po tym temacie Belfort, zakrawa na dowcip, ale pomysł okazuje się strzałem w dziesiątkę, bo facet ma i charyzmę, i wiedzę.

Artur Zaborski

NA POWAŻNIE

BIBLIJNE ŚWIĘTO WIOSNY

Światopoglądowo wieczór zawiera absolutną sprzeczność, bo dwie historie biblijne, o Judycie i o synu marnotrawnym, kończą się erupcją pogańskich obrzędów, czyli „Świętem wiosny". Artystycznie jednak wszystko się zgadza – muzyka w miarę nowoczesna, związana z francuskim kręgiem kulturowym, przygotowana została przez zespół operowy i baletowy Opery Bałtyckiej. Mamy tu sporo dobrego śpiewu, oryginalną scenografię i kostiumy, a przede wszystkim rewelacyjny taniec w finale – dzieło Ewy Wycichowskiej, której talent choreograficzny urasta tu do rangi światowej. Można było tę premierę zobaczyć w sieci, ale mamy nadzieję, że uda się napawać wielką sztuką także w realu.

Bronisław Tumiłowicz

„Judyta/Syn marnotrawny/Święto wiosny", tryptyk do muzyki Honeggera, Debussy'ego i Strawińskiego, kierownictwo muzyczne José Maria Florêncio, reżyseria Romuald Wicza-Pokojski, choreografia Ewa Wycichowska, Opera Bałtycka w Gdańsku, premiera online 23 kwietnia 2021

KURTYNA W GÓRĘ

ONI ZABILI 180 OSÓB

Przemilczana zbrodnia ludobójstwa w ujęciu austriackiej noblistki Elfriede Jelinek to zestaw wypowiedzi kilku nietrzeźwych osób, natomiast spektakl będący quasi-operą na scenie TR Warszawa staje się jeszcze dziwniejszy. Z jednej strony, jest minimalistyczny – aktorzy tylko czytają na siedząco swoje teksty, a za nimi tło dźwiękowe tworzy na żywo zespół czterech wiolonczel. Z drugiej, reżyserka pozwoliła aktorom na dosyć swobodne zachowanie, a nawet śpiewanie. W pewnej chwili wszyscy zgodnie grają i śpiewają hymn hitlerowskich Niemiec, ze słowami: *Deutschland, Deutschland über alles* (Niemcy ponad wszystko). Spektakl jest przejmujący i upiorny dzięki naszej wyobraźni.

Franciszek Jacik

„Rechnitz. Opera – Anioł Zagłady", spektakl według Elfriede Jelinek, reżyseria Katarzyna Kalwat, muzyka Wojtek Blecharz, TR Warszawa, premiera online 24 kwietnia 2021

MIĘDZY OKŁADKAMI

Jiří Kamen
Świece w pogańskim gaju
tłum. Elżbieta Zimna
Dowody na Istnienie, Warszawa 2021

Wszyscy powiadają: Hrabal, Pavel, Čapek, a książek Kamena nie widzieli ani razu. Nie widzieli, bo ten czeski pisarz i dziennikarz to postać nad Wisłą absolutnie nieznana. Na szczęście wydawnictwo Dowody na Istnienie (a dokładniej Mariusz Szczygieł, czołowy czechofil RP) postanowiło nam Kamena zaprezentować. „Świece w pogańskim gaju" to zbiór humorystycznych opowiadań o kwestiach kluczowych i trywialnych. O miłości, tej małżeńskiej i tej pokątnej, o wędrówkach dusz w kocim ciele, o świętości i plugastwie. Przede wszystkim to książka o radości pisania i czytania, rozrywkowa i beztroska, ale jednocześnie ironiczna i przenikliwa. Czeska w najlepszym tego słowa znaczeniu. Czesi mają dar, którego Polakom wybitnie brakuje, tę pogodę ducha, ciepły dystans do siebie i rzeczywistości. Kamen to świetne uzupełnienie czeskiej reprezentacji literackiej, która uczy nas, chmurnych Polaków, swoistego słowiańskiego luzu.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 829cbd8022

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Chłopcy rozłamowcy

Zepsuła nam się lodówka, coraz więcej rzeczy w domu się psuje: zmywarka, piec do gazu, pompa, odkurzacz, kosiarka, posypał się nasz drugi samochód. Po prostu już nadszedł ich czas. Mieszkamy w Międzylesiu od 12 lat – jak ten czas leci. Tyle żyją przeciętnie w naszych czasach urządzenia techniczne (firmy się starają, by nie za długo). A co z nami? Ja wyraźnie zardzewiałem, boli mnie prawe biodro, pewnie do wymiany, głowę mam już nadpsutą od dawna. Jej nie da się wymienić. A urządzenia domowe zawsze nam się psują złośliwie przed weekendem.

Składam książkę z miniopowiadań. „Bilet do nieistnienia". Opornie i mozolnie mi to idzie. Krótka forma jest trudna, w opowiadaniu wszystkie problemy gromadzą się na małej przestrzeni i potrzebna jest puenta. Każde opowiadanie to osoby pomysł, ile można mieć pomysłów, na pomoc! Autor zwykle częściowo korzysta ze swojego życia, ale najczęściej bierze z niego tylko jakiś fundament (ja swoją przeszłość wyjadłem już do dna), a czasami ledwie okruszek, szuka punktu zaczepienia i na tym coś buduje. Można oczywiście korzystać z czyichś opowieści. I w końcu jest wyobraźnia, ale ona zwykle też potrzebuje podpórek, pretekstów, cegiełek.

•

I już mamy czystkę w pismach wydawnictwa Polska Press przejętych przez Obajtka. Bezwstyd władzy nie zna granic. Te pisma kupił Orlen, czyli Obajtek, czyli rząd, czyli Kaczyński. Sądzono naiwnie, że to trochę potrwa, zanim ponasadzają swoich ludzi na kierownicze stanowiska. Nie potrafili poczekać, już lecą pierwsze głowy. Na szczęście większość czytelników przenosi się teraz do internetu, a prasa lokalna w naturalny sposób traci na znaczeniu. Wykończą te pisma, jak wykończyli radiową Trójkę. Są jak rak, wszystko niszczą. A prezes niedawno mówił, że opozycja to rak. Przy tak skrajnie odmiennym widzeniu świata tylko śmierć może dokonać rozstrzygnięcia, kto ma rację.

•

Od jakiegoś czasu wołam: Marian, trzymaj się! Chodzi oczywiście o szefa Najwyższej Izby Kontroli, Mariana Banasia. Kto by się spodziewał, że będę kibicował pisowskiemu aparatczykowi. Został wypluty przez aparat, chciano mu złamać kark, a on zbiesił się i zawziął. Nagle stał się niezależny jako prezes NIK. I oto w podwarszawskim domu jego syna zrobiono rewizję. Mafia zawsze uderza w rodzinę. Marian Banaś wydał w tej sprawie oświadczenie. „Przypomina mi to czasy bolszewickie, gdy zostałem skazany za to, że byłem patriotą. Dziś w rzekomo wolnej Polsce robi się to samo. To w czystej postaci państwo policyjne, którym rządzą służby, a nie premier", stwierdził. „Mój syn – tak jak ja – był stale inwigilowany. Robi się to po to, aby zmusić mnie do rezygnacji ze stanowiska oraz zmiany wyników zakończonych i trwających kontroli (…). NIK to dzisiaj jedyna niezależna instytucja. Nie będzie na nią wpływać żadna partia. Tak być powinno, bo taki był powód jej powołania. Zapewniam, że żadne prowokacje służb temu nie przeszkodzą". Brawo, Marian! I wielka bieda dla PiS, co on jeszcze skontroluje i ujawni. Doszliśmy do momentu, gdy wszystkie niezależne instytucje to dla PiS ciała obce, więc odruchowo próbuje je zniszczyć.

•

Historyk sztuki Andrzej Osęka nie żyje, miał 88 lat. Poznałem go w 1968 r., w leśniczówce w środku wielkiego lasu. Mieszkaliśmy tam razem. Był sierpień, z trudem przedarła się do nas przez bory i lasy wiadomość o inwazji na Czechosłowację. Po stanie wojennym współpracowałem z nim w ramach drugiego obiegu, robiłem podziemne pismo „Wezwanie", a on „Kulturę Niezależną". Chyba z 10 lat temu spotkałem go przypadkiem na placu Zbawiciela. Zawsze był ironicznie sceptyczny i układał wargi w charakterystyczny kpiący grymas.

•

W TVN 24 debata kandydatów na prezydenta Rzeszowa. Żenujący poziom, wszyscy bladzi, przeciętni bądź obłąkani jak Grzegorz Braun, narodowy świr. Konrad Fijołek, kandydat opozycji, też bezwonny, blady i niewyraźny. Smutne to wszytko.

•

Kłótnie w opozycji w związku z europejskim Funduszem Odbudowy, żenada, wszystko zmierza do tego, że PiS nie będzie miało z kim przegrać. Ale Fundusz Odbudowy przegłosowany, Lewica zbiera cięgi, a Platforma zaplątała się we własny ogon, co z tego, że szlachetny. Rozłam w opozycji, rozłam w Zjednoczonej Prawicy. Politycy Solidarnej Polski wieszają psy na tej decyzji Sejmu. Sebastian Kaleta twierdzi, że UE będzie teraz na Polsce wymuszać małżeństwa tej samej płci. I Matka Boska Częstochowska będzie płakać. Michał Wójcik, wyjątkowy osioł, ostrzega, że może dojść do sytuacji, gdy polscy obywatele będą płacili za długi obywateli innych państw. Ale najostrzej mówi sam Ziobro: „Dotacja jest tak samo bezzwrotna, jak kiedyś demokracja socjalistyczna była demokracją. To jest nowomowa". Prezesa i premiera oskarżać o kłamstwa i nowomowę – co za odwaga!

Prezesa i premiera oskarżać o kłamstwa i nowomowę – co za odwaga!

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 829cbd8022

21 listopada 2020 r. Otwarte Mistrzostwa Małopolski Juniorek i Juniorów w Krakowie.

Szachowe nierówności

Czy szachistki są słabsze od szachistów

Bronisław Tumiłowicz

Formalnie przewaga mężczyzn nad kobietami jest w szachach gigantyczna. Na grudniowej liście stu najlepszych szachistów świata – rankingu Międzynarodowej Federacji Szachowej (FIDE) – znajduje się tylko jedna kobieta, zajmująca 79. pozycję. W pierwszej setce najlepszych polskich graczy są trzy kobiety. Z danych FIDE wynika również, że kobiety stanowią jedynie ok. 10% zawodników notowanych w rankingu, a ich odsetek wśród graczy posiadających któryś z niezależnych od płci tytułów mistrzowskich wynosi ok. 1%.

Te dane zaskakują, ale niektórzy sądzą, że serial „Gambit królowej" (Netflix) pomoże spopularyzować wśród kobiet królewski sport. Czy jednak doczekamy się meczu najlepszego szachisty z najlepszą szachistką? Niwelacja dysproporcji wymaga lat pracy oraz popularyzacji szachów w kręgach juniorek. O nadreprezentacji mężczyzn w szachowej społeczności mówi Agnieszka Brustman, niegdyś mistrzyni Europy i świata juniorek, a później kilkakrotnie polska pretendentka do tytułu mistrzyni świata. – Młodziutkich dziewczynek grających w szachy jest sporo, ale po 17. roku życia większość rezygnuje z regularnych treningów, a szachy wymagają ogromnego poświęcenia i ukierunkowania życia pod kątem tylko tego sportu. Mężczyźni prędzej są skłonni do takich poświęceń i to budzi mój szacunek. Na szczęście FIDE coraz bardziej stawia na popularyzację szachów wśród kobiet.

Były już różne projekty, jak podnieść prestiż szachistek. Proponowano np. prowadzić rozgrywki „na ślepo", za ściankami czy za kotarami, aby przeciwnicy nie wiedzieli, z kim grają. Może należałoby skrócić czas namysłu nad kolejnymi ruchami, może rozszerzyć kategorię punktów karnych czy walkowera, może przyśpieszyć decyzję o poddaniu partii. Jest wreszcie kwestia finansowa – nagrody w turniejach pań są niższe niż u panów. Specjaliści szachowi zapewne znaleźliby więcej sposobów, aby przepisy ustawić bardziej pod kątem kobiet. Na przykład nie wiadomo dlaczego kobiety mogą brać udział w rozgrywkach z mężczyznami, a mężczyźni w kobiecych turniejach już nie.

Dysproporcja między płciami w szachach stała się nawet tematem opracowań. Doszukiwano się już najrozmaitszych przyczyn. Pojawiły się m.in. dosyć nieprawdopodobne teorie, że kobiety popełniają więcej błędów, gdy grają przeciwko mężczyznom, nawet wtedy, gdy ich wymierny poziom umiejętności i przygotowania jest podobny. Gdy pytamy o przyczyny szachowej nierównowagi, Monika Soćko, arcymistrzyni szachowa nie tylko w grupie kobiet, ale także w kategorii męskiej, jedyna Polka z takim tytułem, mówi: – Nie wiem, ale tak jest. Może dlatego, że facet na turnieju patrzy wyłącznie, by osiągnąć założony cel, nie ugina się pod naporem spraw dochodzących z zewnątrz, np. z domu. Kobieta zabiera ze sobą bagaż problemów i obaw, nieustannie odbiega myślami od stolika szachowego, przy którym koncentracja musi być maksymalna.

Monika Soćko uważa, że jednak predyspozycje fizyczne, choć szachy to sport umysłowy, stawiają panie w gorszej sytuacji. Bo podczas turnieju trzeba niekiedy spędzić przy stolikach niemal non stop ponad sześć godzin. I to w jak najlepszej kondycji. Nawet sekunda nieuwagi może spowodować przegraną. – Odporność, wytrzymałość, skupienie – to mi się nasuwa najbardziej jako cechy mężczyzn szachistów. Jeden z silniejszych arcymistrzów na świecie na to pytanie odpowiedział mi, że to dlatego, że kobiety nie są egoistkami i nie myślą jedynie o sobie – dodaje Monika Soćko.

Pytana z kolei, czy nie trzeba przełamywać dominacji mężczyzn, Monika Soćko wyjaśnia: – Cały czas próbujemy, a Judit Polgár, węgierska szachistka, która w tej kategorii najlepiej sobie radziła, nawet praktycznie zrezygnowała z turniejów z kobietami. Ja natomiast staram się być aktywna w obu kategoriach. Przykładowo na 12 rozegranych w jednym roku turniejów osiem było kobiecych, a cztery *open*, czyli dla mężczyzn i kobiet. Mam swoją strategię gry i nie uzależniam jej od tego, czy gram z kobietą, czy z mężczyzną. W szachach szybkich łatwiej uzyskać przewagę nad mężczyzną, bo pośpiech sprawia, że wszyscy popełniamy błędy.

Odmienne zdanie na temat gorszej dyspozycji kobiet w szachach ma Agnieszka Brustman, która jest absolwentką Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej, a obecnie działa jako trener, organizator i sędzia turniejów szachowych. – Nie zgadzam się ze stwierdzeniem, że kobiety gorzej sobie radzą na szachownicy niż mężczyźni. To stereotyp i po prostu

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl 829cbd8022

nieprawda. Powiem to inaczej – niewielka grupa mężczyzn znajdujących się na topie listy rankingowej gra lepiej od szachowej czołówki kobiet. Rzecz w tym, że na taki męski prymat nie ma żadnych dowodów, bo mistrzowie nie spotykają się przy stoliku z mistrzyniami. Nie było meczu szachowego mistrza świata z kobietą mającą ten sam tytuł. Natomiast zdarzają się pojedyncze partie, najczęściej w szybszych i błyskawicznych tempach gry. Wtedy dochodzi do konfrontacji jednorazowej. W ogóle nie podoba mi się termin szachy kobiece. Lepiej brzmi szachy wśród kobiet. To przecież ta sama gra, na tych samych szachownicach. Wszyscy pamiętamy osiągnięcia znakomitej Węgierki Judit Polgár, która już niestety nie gra, ale miała zostać mistrzem świata również wśród mężczyzn. Była blisko, zaszła naprawdę bardzo wysoko, jednak rywalizowała praktycznie od początku tylko z mężczyznami. W swoim kraju była oczywiście najlepsza. Starszej daty mistrzowie uważali, że żadna pani tego poziomu nie osiągnie, a życie pokazało, że osiągnęła. Niestety, rywalizując w męskiej konkurencji, nie zdobyła tytułu mistrzyni świata kobiet, choć nieoficjalnie nią była.

W pierwszej setce najlepszych polskich graczy znajdują się trzy kobiety.

Pani Agnieszka podaje zaskakujące przykłady: – Obecny szachowy mistrz świata Magnus Carlsen jakiś czas temu przegrał z Rosjanką Aleksandrą Kosteniuk. Znakomita Szwedka Pia Cramling, która ma za sobą 45 lat zawodowej gry, była liderką zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet w swoim kraju. Mimo wieku udaje się jej utrzymać znakomity poziom i walczyć w zawodach z coraz młodszymi przeciwniczkami i – co najważniejsze – nadal zwyciężać. Mnie również zdarzyło się kiedyś pokonać w meczu czteropartiowym mistrza Polski mężczyzn. Warto zaznaczyć, że rankingi zawodników, które mają odzwierciedlać siłę gry szachistów, co miesiąc się zmieniają i ma na nie wpływ wiele czynników. Na przykład niektórzy w danym okresie nie grają, a inni są nadaktywni. Ponadto różnice rankingowe pomiędzy zawodnikami są minimalne i nie dają gwarancji, że np. szachista z numerem 100 lub 200 nie wygra z kimś z pierwszej piątki. Przykład? 22-letni arcymistrz Jan Krzysztof Duda, wicemistrz świata w szachach błyskawicznych, nasza wielka nadzieja, wygrał z mistrzem świata Carlsenem. A średni tzw. statystyczny poziom gry kobiet ciągle się podnosi, więc zobaczymy, co ciekawego w tym temacie jeszcze się wydarzy.

Z obserwacji środowiska szachowego wynika ponadto, że sytuacja kobiet na świecie nie zawsze pomaga im w swobodnym poruszaniu się i aktywności sportowej. Znakomite szachistki z Iranu nie mogą grać, a panowie mogą. Czy można zatem mówić o równości w szachach?

b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 829cbd8022

Konrad Malec

Stracone gatunki

Siedem grzechów głównych wobec ptaków i przyrody

W grudniu ukazała się „Czerwona lista ptaków Polski". To dokument wskazujący zagrożone gatunki, z podziałem na stopień zagrożenia, opisem sytuacji ptaka i przyczyn, dla których znalazł się na liście. Od wydania poprzedniego podobnego dokumentu minęło 20 lat. Obecna lista jest dłuższa, wylicza więcej gatunków, które utraciliśmy.

Już za Bolesława Chrobrego zauważyliśmy nasz negatywny wpływ na przyrodę, stąd np. częściowa ochrona bobrów. Wówczas myślano o utracie korzyści z bobrów. Pierwsze na świecie działania mające zapobiec wymarciu gatunku dotyczyły tura pod koniec XVI w., z woli Zygmunta III Wazy. Również początki ochrony gatunkowej w dzisiejszym rozumieniu zapoczątkowali Polacy, w 1868 r., gdy sejm autonomii galicyjskiej uchwalił ustawę „względem zakazu łapania, wytępiania i sprzedawania zwierząt alpejskich właściwych Tatrom, świstaka i dzikich kóz". Polska przez wiele lat, zarówno pod zaborami, po odzyskaniu niepodległości, jak i za PRL oraz na początku III RP była w awangardzie działań na rzecz ochrony przyrody, aż pod koniec lat 90. politycy wszystkich barw i rządów solidarnie wykonali w tył zwrot, a na arenie międzynarodowej zaczęliśmy być postrzegani jako hamulcowi.

Prezentuję zatem siedem naszych przewin wobec ptaków. Te same grzechy dotyczą reszty przyrody.

1. Odwodnienia i regulacje rzek

Dwie grupy najliczniejsze na liście to ptaki mokradeł i dolin rzecznych. Zdewastowaliśmy 84% torfowisk, z pozostałych niewielki procent jest w dobrej formie. Łąki pocięte są rowami odwadniającymi. Wprawdzie teoria melioracji zakłada, że te same rowy powinny je nawadniać, ale polskie rowy są jednokierunkowe. Równocześnie część ekstensywnie użytkowanych łąk zarasta lasem, druga poddana jest silnemu uproduktywnieniu. Zamiast jednego pokosu w roku dochodzi do dwóch, a nawet trzech. Oczywiście w tym celu sypie się dużo nawozów i stosuje więcej prac polowych, co ptakom nie służy. Jednocześnie znikają pastwiska, krowy nie opuszczają obór, a to w ich towarzystwie ptaki czują się najlepiej – w znacznej mierze chroniły ptaki przed małymi i średnimi drapieżnikami, a do tego płoszyły owady. W efekcie populacja mojego ulubionego kulika wielkiego, którego nestor polskiej ornitologii Władysław Taczanowski w XIX w. nazwał ptakiem pospolitym, dziś liczy mniej niż 250 par. Liczba rycyków mieści się w przedziale 800-1,5 tys. par, a płaskonosów spadła poniżej tysiąca.

> Zdewastowaliśmy 84% torfowisk, z pozostałych niewielki procent jest w dobrej formie.

Inna kaczka takich środowisk, świstun, w czerwonej księdze otrzymała status CR – krytycznie zagrożona, jej ostatnie lęgi odnotowano w 2010 r. Wśród ptaków środowisk podmokłych zanika derkacz, którego Mickiewicz w „Panu Tadeuszu" nazwał pierwszym skrzypkiem łąk (z wieszczami się nie polemizuje, mnie jego głos służył za budzik).

Równie fatalna jest sytuacja ptaków związanych z dolinami rzecznymi. Małe cieki są maniakalnie regulowane. Duże w znacznej mierze zostały uregulowane za Prusaka i w PRL. Ale na wielu odcinkach pozostały względnie naturalne (środkowa Wisła, dolna Narew, Bug) albo odzyskały wartość przyrodniczą jak dolna Odra. Niestety, pomysł rządu na użeglownienie rzek, bezzasadny ekonomicznie, zniszczy ich przyrodnicze wartości. Obwałowywanie rzek i przekształcanie nadrzecznych łąk w pola orne odbiera ptakom miejsce do życia. Na wielu odcinkach rzeki są poddane presji osiedleńczej i rekreacyjnej. Odcinki naturalne, przynajmniej względnie, są zaś domem dla już wspomnianych gatunków, ale też dla ptaków korzystających z piaszczystych wysp, np. rybitwy białoczelnej czy ostrygojada, którego krajowa populacja liczy nie więcej niż 35 par. Paradoksalnie takie postępowanie szkodzi również ludziom, zwiększa ryzyko powodziowe, w długiej perspektywie obniża produktywność nadrzecznych gruntów, a także zwiększa ryzyko suszy w najmniej uwodnionym kraju Europy.

2. Prowadź swój pług przez kości wymarłych ptaków

Na drugim miejscu pod względem spadku liczebności znajdują się ptaki krajobrazu rolniczego. Wydawało się, że rozdrobniona własność ziemi w Polsce zapobiegnie katastrofie, ale kraj nad Wisłą nie jest samotną wyspą na rozszalałym morzu przemysłowego rolnictwa. Politycy uwielbiają ględzić o tradycyjnej wsi, z milionami gospodarzy. Tymczasem na wsi mamy dwóch-czterech gospodarzy. Reszta dzierżawi im swoje pola. Aby jedna osoba utrzymała się z rolnictwa, musi obrabiać minimum 30 ha. A jeśli to ma być cała rodzina… W efekcie każdy chce szybko i efektywnie zaorać pole i zebrać, co się da. Drzewa i krzewy przeszkadzają, więc są cięte. Miedze zajmują miejsce, więc są likwidowane wraz z całym mikroświatem, który je zasiedlał. Chwasty tępi się herbicydami, robactwo insektycydami. Najsłabsze ziemie nawozi się potrójnie albo odpuszcza, tworzą się ugory, a po nich lasy.

Efekty są katastrofalne. Niektóre ptaki wyginęły, np. dzierzba rudogłowa. Jej czarnoczelna kuzynka ostatni lęg miała 10 lat temu. Inne gatunki trzymają się na włosku, gadożera mamy najwyżej trzy pary, kraski kilkanaście. W szybkim tempie ubywa świergotków polnych i ortolanów,

eprasa.pl 829cbd8022

Miejsce ptasich lęgów w Jantarze.

od których Beethoven miał zapożyczyć słynny czteronutowy fragment V symfonii. Milionowa rzesza czajek z początków XXI w. obecnie stopniała do mniej niż 100 tys. par, choć oberwało się jej też przez zanik łąk zalewowych. Analogiczna sytuacja dotyczy hodowli ryb – albo intensyfikowane jest wykorzystanie stawów rybnych, albo są one porzucane. W obu przypadkach prowadzi to do znikania ptaków lęgnących się w przybrzeżnych szuwarach, a przy intensyfikacji hodowli ptaki muszą konkurować o pokarm z przegęszczonymi rybami. I znów takie postępowanie szkodzi również ludziom, pełna chemii żywność odbija się na naszym zdrowiu, a pola pozbawione osłony drzew i miedz ulegają szybkiej erozji.

3. Leśnictwo

Utarło się przekonanie, że leśnicy to ludzie chroniący przyrodę. Tymczasem to rolnicy, których uprawy nieco później plonują. Oczywiście tak jak są rolnicy ekologiczni, bywają i tacy leśnicy, ale w zhierarchizowanej, niemal wojskowej strukturze nie mają łatwego życia. W latach 90. był trend ekologizacji leśnictwa, ale za czasów SLD zarzucono go, a każda kolejna ekipa coraz bardziej działała na szkodę polskich lasów. Obecna nawet tego nie kryje, choć używa logiki, zgodnie z którą czarne jest białe, a białe jest czarne. Efekty jak w soczewce widzimy w Puszczy Białowieskiej. Leśnicy źle znoszą widok martwych drzew, będących źródłem bogactwa przyrodniczego. To często na nich żerują dzięcioły, w tym najrzadszy – trójpalczasty, który wprawdzie nie jest zagrożony, ale otrzymał kategorię NT – bliski zagrożenia. Niedopuszczanie, by drzewa dotrwały sędziwego wieku, uniemożliwia zakładanie gniazd przez wspomniane gadożery i rybołowy. Tu także postępowanie takie szkodzi ludziom, lasy przestają chronić nas przed powodziami, tracą znaczenie jako miejsce atrakcyjne turystycznie, wreszcie długofalowo obniżają produktywność.

4. Zmiany klimatu

Żaden polski rząd nie podszedł poważnie do tego zagadnienia, a część polityków i publicystów związanych z PiS neguje zmiany klimatu, pozostali podważają rolę człowieka w tym zakresie. Ptaki natomiast już ją odczuwają. Przykładem może być słowik szary. Krzaczaste siedliska, w których mieszka, ulegają przesuszeniu. Jednocześnie wschód Polski, będący domeną słowika szarego, jest kolonizowany przez jego bliskiego krewniaka – słowika rdzawego. Zwykle ptaki dzielą się niszami ekologicznymi, szary zajmuje wilgotniejsze krzewy, rdzawy suchsze. Tyle że te pierwsze zanikają, wówczas zachodni krewniak zgarnia całą pulę. Inny kłopot mają nadal względnie pospolite muchołówki żałobne. Na skutek zmian klimatu gąsienice, którymi żywią młode, szybciej przekształcają się w motyle, a pisklęta głodują. Wprawdzie wiele ptaków owadożernych zaczęło wcześniej przylatywać z zimowisk, ale nie na tyle, by załapać się na danie główne. Chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie ma wątpliwości, że dalsze ocieplanie się klimatu doprowadzi do katastrofy, której ludzkość będzie ofiarą.

5. Łowiectwo

Trudno w to uwierzyć, ale zanikające głowienki i czernice pozostają na liście gatunków łownych, a postulat wyłączenia ich z odstrzału spotyka się ze sprzeciwem myśliwych. Co gorsza, okres łowiecki rozpoczyna się, kiedy część ptaków jeszcze wodzi młode. Prowadzi to do rozbicia rodzin, niekoniecznie wskutek odstrzału, czasem spłoszone dorosłe ptaki uciekają, a później nie mogą odnaleźć potomstwa. Nawet kiedy lotne już młode odlecą, tracą opiekę, dzięki której uczą się życia od matek, więc ich szanse przeżycia drastycznie maleją. To samo dotyczy gatunków niełownych. Zresztą wiele gatunków chronionych i zagrożonych, takich jak hełmiatki, cyranki czy płaskonosy, myśliwi zabijają z powodu słabej znajomości ptaków. Poza tym ptaki, które chronione są w Polsce, bywają zabijane w innych krajach, w czasie przelotów czy zimowania. Ta sytuacja dotyka m.in. ortolana i droździka. Kompletną pomyłką jest polowanie we Francji na kuliki wielkie, do ochrony których w Polsce dopłaca UE. Rzecz jasna, takie postępowanie znów szkodzi również ludziom, bo wiele ptaków uśmiercanych w południowej i zachodniej Europie wspomaga polskich rolników w walce ze szkodnikami upraw.

Sporty motorowodne często płoszą ptaki, niekiedy robią to też kajakarze.

FOT. MARIUSZ GRZELAK/REPORTER

eprasa.pl 829cbd8022

Często ptaki wodne, w tym morskie, giną w sieciach rybackich. Dotyczy to m.in. lodówek czy uhli, które nie znalazły się na liście, ponieważ nie są ptakami lęgowymi w Polsce, ale licznie zimują u naszych wybrzeży. Do opracowania listy gatunków nielęgowych mamy za mało danych, choć powinny się znaleźć w opracowaniu.

6. Wypoczynek über alles

Nasze aktywności urlopowe też odbijają się na ptakach. Brzegi rzek i jezior przerabiane są na działki wypoczynkowe, z płotami przypominającymi zasieki lub więzienne mury. To pozbawia możliwości zakładania gniazd rybołowy. Inna sprawa, że nawet jeśli brzegi nie są ogrodzone, kręcą się tam ludzie, a to płoszy zwierzęta bojące się człowieka. Coraz popularniejsze wędrówki poza szlakami wiodą ludzi w pobliże gniazd ptaków drapieżnych, a one tego nie lubią. Wiele takich miejsc jest oznaczonych tabliczkami z informacją o strefie ochronnej zwierząt z zakazem wstępu, ale kto by się przejmował drobiazgami. Sporty motorowodne płoszą wiele ptaków wodnych, niekiedy zaś robią to i kajakarze. W ostatnich latach popularny stał się *kitesurfing* – coś w rodzaju deski surfingowej, do której przyczepiony jest latawiec ciągnący pływaka. Cierpią na tym ohary – piękne, kolorowe kaczki lęgnące się w norach – których liczebność w Polsce wynosi ok. 120 par. Na widok sunącego po wodzie dziwadła ptaki uciekają nawet z odległości 700 m. Dla porównania przed pieszym uciekają z 30 m. Płoszą się ptaki na gnieździe (samce ostrzegają samice o niebezpieczeństwie) i wodzące młode.

7. Imperializm ekologiczny

Jednym z najpoważniejszych problemów przyrodniczych jest inwazja obcych gatunków. Część roślin, zwierząt i grzybów sprowadzonych z innych kontynentów przechodzi u nas w fazę ekspansji. Odnajdując sprzyjające warunki w nowej ojczyźnie i nie mając naturalnych wrogów, mogą się mnożyć do woli. Miejscowe gatunki, nie mając takiego komfortu, ustępują najeźdźcom, a nierzadko bywają przez nich bezpośrednio tępione. Obcym w natarciu jest norka amerykańska, w znacznej mierze odpowiedzialna za spadek liczby ptaków wodnych, którymi się żywi. Zjada także ich jajka. Niektóre rodzime gatunki stają się nadliczbowe wskutek działań ludzkich. Sztandarowym przykładem jest lis, którego populacja zrobiła się trzy-cztery razy większa, niż wynosi naturalna pojemność środowiska. Lisy nie gardzą jajami, pisklętami, a jak się uda, to i dorosłymi ptakami. Szczepionka przeciw wściekliźnie wyeliminowała główny ogranicznik liczby lisów. Ostatnie badania wskazują, że do ograniczenia liczebności lisów i norek przyczyniają się wilki, te jednak po latach tępienia dopiero odbudowują swoją pozycję, a już pojawiają się głosy, by wznowić polowania na nie. Imperializm ekologiczny uderza w ludzi, straty ekonomiczne w UE spowodowane gatunkami obcymi w 2013 r. były szacowane na 12 mld euro.

Wiele gatunków chronionych i zagrożonych myśliwi zabijają z powodu słabej znajomości ptaków.

Równolegle ze wspomnianą ustawą o ochronie kozic i świstaków sejm galicyjski przyjął „ustawę o ochronie pożytecznych ptaków i innych zwierząt”, która obejmowała ochroną wszystkie ptaki śpiewające, większość drapieżnych, dzięcioły oraz nietoperze. Wcześniej, na przełomie XVIII i XIX w., ks. Krzysztof Kluk, prekursor botaniki, zauważył, że chronić należy całe ekosystemy. Polscy naukowcy, np. Jan Sztolcman, Władysław Szafer, Józef Paczoski czy Michał Siedlecki, na początku lat 20. ubiegłego wieku wystąpili z inicjatywami międzynarodowej ochrony przyrody, szczególnie ptaków. Udało się to tylko w odniesieniu do żubra, na działania międzynarodowe trzeba było zaczekać do lat powojennych. Polskie władze powinny odrzucić ultrakonserwatywną, antyprzyrodniczą kalkę zza oceanu i odwołać się do własnych tradycji. Tym bardziej że ochrona przyrody łączyła Polaków ponad podziałami politycznymi i klasowymi, znacznie większymi niż dziś. Ponadto w XXI w. utrata gatunku to na arenie międzynarodowej obciach. Czas wrócić na pozycję lidera w ochronie przyrody, bo bycie w ogonie to jeszcze większy obciach, nawet jeśli krzyczy się przy tym o wstawaniu z kolan.

•

Czerwoną listę ptaków Polski można pobrać ze strony Ogólnopolskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków: otop.org.pl/.

Konrad Malec

Gerda i Kaj proszą o życie.

Kaj i Gerda, Gerda i Kaj. Dwa osiołki, które całe swoje życie oparcie miały tylko w sobie. Od zawsze razem. Nierozłączni. Latami tułały się po świecie, wielokrotnie zmieniając właścicieli. Nigdzie dłużej nie zagrzały miejsca. Pan kupił, Pan dał pracę na chwilę. Pan zarobił i sprzedawał dalej. Robiły wszystko to co tylko mogą robić grzeczne osiołki. Kilka lat przepracowały jako ośli terapeuci w ośrodku pod Warszawą. Woziły też dzieci po nadmorskim deptaku. Godzinami stały w upale pozując do zdjęć. Dzielnie ciągnęły zbyt ciężką bryczkę z klientami. Ludzie mieli rozrywkę, one traciły młodość i zdrowie. Normalna rzecz.
Jeszcze chwilę temu stały na targu, a ludzie drwili z ich powykręcanych kopyt i opuchniętych nóżek. Z lichej, matowej sierści. Z tego, że tak głośno płakały, gdy odciągano je od siebie. Kupił je właściciel przydomowej ubojni. Kupił, bo były tanie. Kupił, bo już nikt inny ich nie chciał. Kupił, bo spracowane i stare nie przydadzą się już nikomu. Kupił, bo już tylko na ich zabiciu da się zarobić.
Dziś pobrzękując ciężkim łańcuchem, upchnięte w ciasnej, ciemnej komórce, czekają na swój koniec. Wtulone w siebie, drżą ze strachu na dźwięk otwieranych drzwi. Chowają się w najdalszy kąt, gdy pojawia się człowiek. Czują, że zbliża się śmierć, ale nie wiedzą, że gdy nadejdzie najgorsze, zostaną rozdzielne. Bo przyjedzie im umierać w samotności. Jedno z nich siłą zaciągną do komórki obok, a drugie będzie słuchało… Płakać, do ostatniego tchu, będą oba…
Za Gerdę i Kaja daliśmy zadatek. W piątek (14 maja) musimy je odebrać. Życie i ich transport to razem 4800 zł. Rzeźnik uprzedził, że nawet jednego dnia dłużej nie będzie ich trzymał. Bo „pani wie ile to to żre?” Wiemy…

Kaj i Gerda. Gerda i Kaj. Dwa osiołki, które całe swoje życie oparcie miały tylko w sobie. Dziś Kaj stara się jak może ochronić swoją Gerdę ale nie jest w stanie jej uratować. One nie mają nic ani nikogo na tym świecie. Tylko w nas jest dla nich jedyna szansa na ratunek.
Szanowni Państwo, z całego serca prosimy o pomoc.

Jeśli chcesz pomóc, możesz przekazać darowiznę z tytułem GERDA I KAJ na konto PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając **SMS** o treści **RATUJE** na numer **7412** (koszt SMS 4,92 zł z VAT), **7910** (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub **91950** (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

Fundacja Centaurus, ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław, tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: http://centaurus.org.pl/rkkm

eprasa.pl 829cbd8022

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Czytaj, chamie

Statystyczny Polak wypija grubo ponad 10 litrów spirytusu rocznie, co wedle standardów Światowej Organizacji Zdrowia oznacza stuprocentowe przekroczenie tygodniowej dawki, wyznaczającej granice tzw. picia bezpiecznego. A zatem, upraszczając, Polak wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ma problem alkoholowy. Zarazem ówże nieistniejący, lecz jak najbardziej możliwy nasz rodak wedle statystycznych konstruktów jest również półanalfabetą, książek czytać nie lubi lub też nie umie z dziesiątek rozmaitych powodów (brak czytania ze zrozumieniem, permanentna dystrakcja, syndrom „snu lekturowego" – ten ostatni diagnozuję na sobie samym, nie mogę czytać w pozycji leżącej, bo natychmiast zasypiam). A zatem przeciętny nasz obywatel to nieoczytany pijaczyna. Z czego w myśl tekstu Stanisława Skarżyńskiego, publicysty „Gazety Wyborczej", można wywnioskować, że Polak pije, bo się wstydzi, że nie czyta. Autor lewym sierpowym uderza w bibliofilów, co to się obnoszą ze swoimi elitarnymi przyjemnościami, fotografują z książkami lub, o zgrozo, z biblioteką w tle, używają polszczyzny wyrafinowanej, a nieczytających mają w nosie, by nie rzec w pogardzie. W tenże sposób wywierają presję kulturową, która w mniemaniu Skarżyńskiego jest klasistowską opresją, a nawet represją; nieczytający Polak czuje się postponowany, wykluczony i pogardzany. Czemużby nie sądzić, że z tego powodu nadużywa alkoholu, przekleństw i folguje niechęci do wykształciuchów, głosując na populistyczną prawicę, która mu czytać nie każe?

Umówmy się, że będę tu różnicował lewicę i lewactwo, tak jak to czynię w przypadku kibiców i kibolstwa. W obu przypadkach ci drudzy oznaczają fanatyków i chuliganów. Fanatyczne i chuligańskie jest więc zapędzanie się poza granice rozsądku w obronie „prostego człowieka". Nowy nurt tego fanatyzmu reprezentują brązownicy Chama Polskiego, którzy zachłyśnięci tomami Andrzeja Ledera i Adama Leszczyńskiego odkrywają swoje chłopskie korzenie i biczują się modnym pejczykiem za lata pańszczyzny. Bycie chamem z dziada pradziada jest teraz *trendy*, obnoszenie się z tożsamością inteligencką to dziaderski krindż. „Nie czytam, bo nie mam czasu, książki są dla darmozjadów", rzekł był niegdyś złowrogo hydraulik na widok moich regałów i wyczułem w tym zapowiedź „wstawania z kolan" rzeszy wtórnych analfabetów, którzy wreszcie nie muszą się tłumaczyć okularnikom ze swojej ignorancji.

Czas *cancel culture* odczuwam jako wiek ciemny, bo lewaccy (nie lewicowi) harcownicy z werwą kasują kolejne ogniwa kanonu lekturowego (*vide* kazus „Lolity" jako pochwały pedofilii), nie spodziewałem się jednak, że jednym cięciem wykasują całą literaturę jako elitarną rozrywkę klasy próżniaczej. A jak już kto czyta, nie wolno mu, broń boże, wywyższać swoich preferencji i kompetencji nad innych – samo pojęcie literatury pięknej, podobnie jak to się ma z kulturą wysoką, zapewne zostanie usunięte ze słownika przez niwelatorów ze skrajnie lewego skrzydła, albowiem wywyższając, zarazem poniża, piękno określając, jednocześnie szkaluje brzydotę. Kultura jest jedna, Martyniuk równy Maksymiukowi, Lipińska równa Dąbrowskiej, dachy równe strzechom. Dzielenie się doświadczeniami lekturowymi lada chwila będzie *faux pas*, ba, właściwie już jest – dość przypomnieć bekę z Rafała Trzaskowskiego za jego inteligenckie wspominki.

Co do mnie, według pobieżnych obliczeń bliżej mi raczej do statystycznego Czecha, który wedle prywatnego rankingu Mariusza Szczygła ma trzy ulubione zajęcia: żłopanie piwa, czytanie książek i zbieranie grzybów. Ze względu na sezonowość tej ostatniej czynności w miesiącach zimowych i wiosennych piję i czytam jeszcze więcej. Ba, oba te nałogi dają mi poczucie bycia lepszym – od siebie samego rzecz jasna – przy czym poczucie doskonalenia wynikające z procesu lektury jest od tego pijackiego znacznie trwalsze. Nigdy też obu tych przyjemności nie łączę, wierny pozostaję zasadzie „piłeś? nie czytaj!", alkohol osłabia moc lektury i odwrotnie, te czynności nie mają się ku sobie. Oto więc żyję w dziadersko-krindżowej galaktyce Gutenberga, szczęśliwie będąc mężem dziennikarki o książkach piszącej, przez co jesteśmy na co dzień bombardowani paczkami zawierającymi dobra literackie. Aby zaś nie dać się wypchnąć z mieszkania narastającym stosom książek przeczytanych lub niechcianych, regularnie wynoszę je do pobliskiej biblioteki. Dziś np., taszcząc torbiszcze tomiszcz, przypomniałem sobie przed domem, że mógłbym przy okazji wyprowadzić psa, wróciłem więc po niego, torbiszcze zostawiając, a kiedy znowu zszedłem, książek już nie było. Nigdy nie czułem się tak szczęśliwy z powodu bycia ograbionym. Przekorny naród, od kiedy lewacy (nie lewicowcy) zabrali się do pochwały nieczytania, zaczął lgnąć do lektur z dziką pasją.

Przekorny naród, od kiedy lewacy (nie lewicowcy) zabrali się do pochwały nieczytania, zaczął lgnąć do lektur z dziką pasją.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 829cbd8022

Zepsuta ryba

Tajemnicze i zaskakujące przypadki medyczne

Dr med. Lisa Sanders

Rezydent pierwszego roku doktor Kurtland Ma podszedł do leżącego na kozetce młodego mężczyzny. Było wcześnie rano i szpital był pogrążony w ciszy. Pacjent wyglądał zaskakująco dobrze. Lekarz zdążył się już przyzwyczaić, że o poranku do izby przyjęć centrum medycznego Jacobi w Brooklynie docierali tylko chorzy w bardzo złym stanie.

Krótka historia choroby wskazywała, że mężczyzna zgłosił się na pogotowie z powodu kłopotów z chodzeniem. Doskwierały mu też ból i zawroty głowy. Jego czynności życiowe i wstępne badania krwi były jednak w normie. Zwierzchniczka doktora Ma, przekazując mu dokumentację pacjenta, wspomniała, że to dziwny przypadek.

– Nie mam pojęcia, co się z nim dzieje – powiedziała. – Ale chyba trzeba mu zrobić tomografię głowy.

Pacjent miał 28 lat. Twierdził, że jeszcze trzy dni wcześniej był zupełnie zdrowy. Wybrali się wtedy z dziewczyną na Bahamy z okazji jego urodzin. Dzień spędzili aktywnie, pływając i nurkując, a wieczorem poszli do modnej, rekomendowanej restauracji. Obydwoje zamówili dania rybne – dziewczyna lucjana czerwonego, on barakudę. Po kolacji poszli potańczyć. Na parkiecie mężczyzna nagle poczuł przeszywający ból brzucha, który był tak intensywny, że zabrakło mu tchu.

Z trudem dotarł do toalety – skurcze jelit wkrótce przerodziły się w biegunkę. Miał nadzieję, że szybko mu przejdzie, ale objawy się utrzymywały i ostatecznie musiał wrócić do hotelu.

Jego dziewczyna zażartowała w drodze powrotnej, że następnym razem nie powinien zapraszać wirusów na swój urodzinowy wyjazd. Mijali grupy roześmianych turystów, a on marzył tylko o tym, aby położyć się do łóżka. Kiedy dotarli do hotelowego pokoju, nie mógł zasnąć. Czuł, że ma gorączkę. Z powodu dolegliwości żołądkowych co chwilę musiał wstawać do toalety. W końcu obudził swoją dziewczynę i powiedział, że musi jechać do szpitala.

W maleńkiej izbie przyjęć bahamskiego ambulatorium mężczyzna zaczął wymiotować. Torsje wstrząsały jego ciałem nawet wtedy, gdy pozbył się całej treści żołądka. Resztę nocy spędził półprzytomny w szpitalu. Pamiętał tylko, że robiono mu jakieś badania, oraz to, że ból i nudności powoli mijały. Lekarze bahamskiego szpitala zaglądali do niego regularnie. Pacjent miał wysoką temperaturę, bardzo bolał go brzuch, nawet przy najlżejszym dotyku. Czyżby miał zapalenie wyrostka robaczkowego albo wątroby? A może po prostu poważnie się czymś zatruł?

Tomografia komputerowa nie wykazała żadnych zmian w obrębie wyrostka, a badania krwi wykluczyły zarówno zapalenie wątroby, jak i inne choroby zakaźne. Dzięki lekom przeciwwymiotnym najdotkliwsze z objawów powoli ustępowały.

Od jednego z opiekujących się nim lekarzy wycieńczony mężczyzna dowiedział się, że to pewnie zatrucie pokarmowe. Większość z nich jest wynikiem spożycia bakterii okrężnicy (*Escherichia coli*), salmonelli lub gronkowca (*Staphylococcus aureus*). Owoce morza mogą zawierać mniej znaną bakterię przecinkowca (*Vibrio parahaemolyticus*), zwykle ginie ona

eprasa.pl 829cbd8022

jednak pod wpływem odpowiedniej obróbki termicznej.

– Czy jedliście sushi? – dopytywał lekarz.

– Nie, nasze ryby były dobrze wysmażone – zapewniła go dziewczyna pacjenta.

Lekarz wzruszył tylko ramionami i powiedział:

– Zwykle i tak nie ma sensu identyfikować bakterii, bo leczenie jest takie samo, bez względu na to, co wywołało zatrucie. Proszę przyjmować dużo płynów – dodał na odchodnym.

Rano mężczyzna poczuł się nieco lepiej. Przepisano mu jakiś antybiotyk oraz leki przeciwwymiotne i odesłano do hotelu z zaleceniem, by odpoczywał. Przez kolejne dwa dni właściwie ciągle spał, ale trzeciego poczuł się na tyle dobrze, by wyjść. Kiedy wkładał ubranie, zauważył, że ruchy jego rąk były wyjątkowo nieporadne. Odczuwał też dziwne mrowienie w stopach i wydawało mu się, że chodzi po dywanie z milionów falujących igiełek.

Nie był pewien, czy będzie w stanie coś zjeść, więc dziewczyna kupiła mu na stoisku ze świeżymi sokami koktajl owocowy. Burczało mu w brzuchu, a napój pachniał cudownie. Wypił łyk i natychmiast go wypluł. Choć płyn był schłodzony, zdawało mu się, że parzy, jakby ktoś mocno go podgrzał. Spróbował jeszcze raz i znów poczuł to samo – koktajl był gorący! Tego już było za wiele. Natychmiast się spakowali i polecieli do Nowego Jorku. Dziewczyna wróciła do domu, a on wziął taksówkę do kliniki Jacobi.

Wypił łyk koktajlu i natychmiast go wypluł. Choć płyn był schłodzony, zdawało mu się, że parzy.

Doktor Ma z uwagą słuchał opowieści pacjenta i robił notatki. Kiedy mężczyzna wspomniał o zaburzeniach smaku, nagle mu przerwał i wykrzyknął:

– Wiem, co to jest! Wiem!

Potem popędził do dyżurki i powiedział kolegom, że pacjent ma ciguaterę i nie wymaga tomografii komputerowej.

Wywołujące zatrucie ciguatoksyny kumulują się w mięsie ryb żywiących się algami ze skażonych obszarów wód tropikalnych. Ponieważ rezerwuarem toksyn jest tłuszcz, ich stężenie stopniowo wzrasta w kolejnych ogniwach łańcucha pokarmowego. W związku z tym duże drapieżniki, takie jak rekiny, ryby lucjanowate, okoniowate i barakudowate, mogą zawierać ich całkiem sporo, a to one są najchętniej spożywane przez człowieka. W przeciwieństwie do bakterii wywołujących zwykłe zatrucia pokarmowe ciguatoksyny nie zmieniają koloru ani zapachu mięsa i nie giną podczas obróbki cieplnej.

28-latek odczuwał dziwne mrowienie w stopach i wydawało mu się, że chodzi po dywanie z milionów falujących igiełek.

Zaburzenia wywołane tymi toksynami po raz pierwszy opisał w 1774 r. John Anderson – asystent lekarza z pokładu HMS Resolution. Należący do brytyjskiej marynarki królewskiej i dowodzony przez kapitana Jamesa Cooke'a okręt przemierzał wówczas południowy Pacyfik. Anderson zauważył, że kilku żeglarzy rozchorowało się po zjedzeniu mięsa dużej ryby złowionej w morzu. Wszyscy mieli napady gorąca, gwałtowne bóle i zawroty głowy, odczuwali też osłabienie oraz palenie w ustach i gardle. Wielu z nich miało również nudności, wymioty i biegunkę, lecz w odróżnieniu od zwykłego zatrucia pokarmowego towarzyszyły im dziwne objawy neurologiczne, podobne do tych, na które skarżył się pacjent. Najczęstsze i najbardziej charakterystyczne z nich to zaburzenia czucia, takie jak odrętwienie czy mrowienie, oraz zagadkowa zamiana odczuwania ciepła i zimna. Ciguatoksyny mogą również wpływać na pracę serca, spowalniając ją lub zaburzając jej rytm.

Zatrucie zwykle nie prowadzi do śmierci, ale nie ma na nie skutecznego antidotum, więc leczy się je wyłącznie objawowo.

Skutki ciguatery mogą się utrzymywać od paru tygodni do kilku miesięcy, a nawet lat.

Starsza stażem koleżanka nie mogła się nadziwić, że doktor Ma tak szybko i bezbłędnie rozpoznał chorobę.

– To było bardzo proste – powiedział młody lekarz.

Kilka miesięcy wcześniej na oddział trafiła cała rodzina z podobnymi objawami. Zatruli się ciguatoksynami po zjedzeniu barakudy, którą przyrządzili na kolację bożonarodzeniową. Wszyscy mieli nudności, wymioty i biegunkę, a gdy pojawiły się u nich zaburzenia neurologiczne, zgłosili się do szpitala. Ma bardzo dobrze zapamiętał ten przypadek.

Działanie ciguatoksyn nie jest dobrze poznane. Badacze podejrzewają, że uszkadzają one ochronną warstwę komórek nerwowych, powodując ich obrzęk. Lekarz wrócił do pacjenta, by przedstawić swoją diagnozę. Mężczyzna nie był nią zaskoczony – od początku podejrzewał, że zaszkodziła mu ryba, którą zamówił w restauracji.

Barakudę uznano niedawno za jedno z najczęstszych źródeł toksyn morskich, a Centrum do spraw Zapobiegania i Kontroli Chorób wystosowało nawet ostrzeżenie przed jej spożywaniem, zwłaszcza jeśli pochodzi z wód Morza Karaibskiego. Obecnie zagrożenie ciguaterą nie ogranicza się jednak tylko do obszarów tropikalnych. Ze względu na rosnącą temperaturę mórz produkujące ciguatoksyny algi występują już także w wodach okalających Florydę, Teksas i Karolinę Południową, a nawet Karolinę Północną.

Pół roku po powrocie z Karaibów młody mężczyzna nadal borykał się z konsekwencjami zakażenia. Gdy zadzwoniłam do niego, by spytać, jak się czuje, powiedział, że w pierwszych tygodniach choroby schudł prawie 10 kg i choć odzyskał apetyt, wciąż był osłabiony i od czasu do czasu miał zaburzenia czucia. Na końcu z żalem dodał:

– Ta ryba była naprawdę smaczna. Zjadłem jej całkiem sporo.

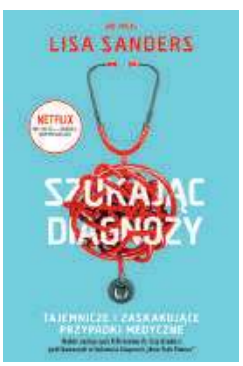

Fragment książki dr med. Lisy Sanders *Szukając diagnozy*, przekład Dominika Braithwaite, Insignis Media, Kraków 2020

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 829cbd8022

SOKI – na zdrowie!

Paula Leśniewska

Moda na spożywanie dużej ilości warzyw i owoców sprawiła, że na rynku pojawiło się wiele odmian soków. Owocowe, warzywne, mętne, klarowne, jednodniowe, smoothie, przecierane, z dodatkiem miąższu – można się pogubić. Przybywa też fanów wyciskania warzyw i owoców w domu.

– Soki wykazują istotne działanie fizjologiczne, są cennym źródłem składników odżywczych i substancji biologicznie czynnych o prozdrowotnym działaniu, tzw. fitozwiązków. Należą do nich m.in. karotenoidy (alfa- i beta-karoten, luteina, likopen), witaminy A, C, E i z grupy B oraz polifenole o działaniu przeciwutleniającym, redukujące efekty stresu oksydacyjnego, a przez to wykazujące ochronne działanie w stosunku do choroby niedokrwiennej serca, schorzeń neurologicznych czy nowotworów – uważa dr inż. Monika Hoffmann ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

Instytut Żywności i Żywienia zaleca spożywanie 400 g warzyw i owoców dziennie w co najmniej pięciu porcjach, z tego jedną porcję może stanowić szklanka soku (200 ml). Dlaczego tylko szklanka? Soki owocowe mają wyższy indeks glikemiczny i są bardziej kaloryczne niż surowiec, z którego pochodzą. Soki warzywne (m.in. marchewkowe, pomidorowe, buraczane) są mało kaloryczne, ale spożywane w dużej ilości mogą powodować problemy trawienne.

Jakie soki najbardziej służą zdrowiu? Odpowiedź jest prosta: świeże i mętne. Soki wyciśnięte samodzielnie w domu i natychmiast wypite mają na ogół wyższe stężenie witamin

i minerałów niż te z supermarketu. Co nie znaczy, że sklepowe soki są bezwartościowe. Wszystko zależy od sposobu produkcji i jakości surowca. Najmniej wartości odżywczych mają soki odtworzone z koncentratu (tzw. 100%) w wersji klarownej (bez miąższu). – W dużym stopniu pozbawione są cennych żywieniowo składników: polifenoli, witamin, błonnika, które są usuwane albo ulegają rozpadowi w procesach klarowania, filtracji oraz podczas obróbki termicznej zapewniającej trwałość soków. W porównaniu z klarowanymi soki przecierowe i naturalnie mętne zawierają więcej pektyn i polisacharydów błonnikowych oraz 2-10 razy więcej związków polifenolowych – uważa dr inż. Monika Hoffmann. Jeżeli kupujemy sok w sklepie, najlepiej wybierać produkt z adnotacją „naturalnie mętny bezpośrednio tłoczony", „niepasteryzowany jednodniowy" i „smoothie" albo „przecierowy".

Ostatnio bardzo modne stały się soki z *superfruits* – owoców o fioletowym, czerwonym, karmazynowym lub czarnym zabarwieniu – m.in. żurawin, porzeczek, borówek, czarnego bzu i aronii. Wyrazisty kolor zawdzięczają antocyjanom, rodzajowi flawonoidów o szczególnie prozdrowotnym działaniu. – Mają zdolność wyłapywania wolnych rodników i są wykorzystywane w organizmie człowieka jako naturalne przeciwutleniacze. Antocyjany przeciwdziałają kruchości naczyń krwionośnych, zwłaszcza naczyń włosowatych, oraz stymulują produkcję rodopsyny – substancji ważnej w procesie widzenia. Dodatkowo wpływają na obniżenie szybkości reakcji utleniania cholesterolu LDL, który jest składnikiem blaszek miażdżycowych – uważa dr Ewa Piątkowska z Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie.

Eksperci zachęcają do robienia soków w domu. Po pierwsze, wiemy, z jakich składników powstały, jaka jest ich jakość. A po drugie, możemy eksperymentować, dodając nieco warzyw, które są bardzo zdrowe, ale same nie smakują najlepiej. Mała ilość np. natki pietruszki dostarczy m.in. żelaza, witaminy C oraz kwasu foliowego, pomoże wzmocnić układ immunologiczny i pożegnać wiosenne przeziębienia.

Do domowego przygotowywania soków warto wykorzystać wyciskarkę wolnoobrotową. Sok uzyskany z wyciskarki jest gęsty, bogaty w witaminy i błonnik, natomiast ten z sokowirówki jest rzadki i nie ma tak dużych wartości odżywczych. Zatem do dzieła i na zdrowie! ■

Najlepsze świeżo wyciskane soki

1. Sok z witaminą A i żelazem
- 2 duże marchewki
- 2 buraki
- 2 pomarańcze
- kawałek świeżego imbiru

2. Sok marchewkowy *à la* Kubuś
- 4 duże marchewki
- 1 jabłko
- 1 brzoskwinia

3. Zielony sok I
- 1 duży ogórek
- 1 gruszka
- 1 limonka
- 2 garście liści jarmużu
- 1 garść listków mięty
- plasterek imbiru
- natka pietruszki

4. Zielony sok II
- 3 duże garście liści jarmużu
- 1 grejpfrut
- 1 gruszka
- 2-3 cm świeżego imbiru
- 1 cytryna
- 3 łodygi selera naciowego
- natka pietruszki

5. Sok pomarańczowo-marchewkowy
- 2 duże pomarańcze
- 3 duże marchewki
- 1 cytryna
- 2-3 cm świeżego imbiru
- kilka listków świeżej mięty (opcjonalnie)

6. Sok jabłkowo-marchewkowo-ananasowy
- 1 jabłko
- 1/5 świeżego ananasa
- 2 duże marchewki
- 2-3 cm świeżego imbiru

7. Sok limonkowo-ogórkowo-jabłkowy
- 2 limonki
- 2 ogórki
- 2 jabłka

Źródło: Agata Puk, blog agataberry.pl

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 829cbd8022

Dobra praca popłaca

Odwołanie Andrzeja Papierza ze stanowiska dyrektora generalnego, roszady w MSZ – wszystko to sprawiło, że zdecydowanie za mało miejsca poświęciliśmy Joannie Wroneckiej, która została specjalnym koordynatorem ONZ ds. Libanu. Doceńmy, jest to funkcja, którą można przyrównać do funkcji zastępcy sekretarza generalnego ONZ. W ostatnich latach takie miejsca były dla polskich dyplomatów niedostępne.

Z kilku powodów. Po pierwsze, międzynarodowa siła przebicia Polski jest dziś niewielka. Po drugie, jeżeli trafia się polski dyplomata, który ma dorobek, autorytet, może więc aplikować, to pisowska władza podstawia mu nogę, tłumacząc, że to kandydat od ekipy eseldowskiej albo – co gorsza – geremkowskiej. A kandydaci z PiS? No cóż, odpadają w pierwszym etapie.

W tych okolicznościach nominacja Wroneckiej nabiera wartości. Zwłaszcza że ma ona opinię osoby, która przyszła do MSZ z „zaciągu Geremka". Czyli z tego najbardziej w PiS podejrzanego. Arabistka z Uniwersytetu Warszawskiego, z tytułem doktora. Zna arabski, francuski i angielski. Zaczynała od stanowiska eksperta i po kolei pokonywała wszystkie szczeble resortowej kariery. Aż po stanowisko dyrektora departamentu, a potem, w 2015 r. – podsekretarza stanu.

Była ambasadorką w Egipcie (jako jedna z pięciu kobiet ambasadorek w Kairze) i w Maroku. Z sukcesami, znajomością arabskiego oraz arabskiej kultury i filozofii imponując gospodarzom. A w roku 2017 została ambasadorem RP przy ONZ.

Piękna kariera, ale warto dorzucić do tego kilka informacji. W roku 2003, po powrocie z Egiptu, Wronecka została dyrektorem sekretariatu ministra Włodzimierza Cimoszewicza. To był szok, bo dyrektor sekretariatu ministra był wtedy jedną z najważniejszych osób w MSZ, jego wpływy można porównać do podsekretarza stanu. Nikt więc się nie spodziewał, że eseldowiec Cimoszewicz na swoją prawą rękę weźmie osobę z ekipy geremkowskiej. A wziął. Co dobrze świadczy i o nim, i o niej. Dodajmy jeszcze jedno – sprawdziła się na tym stanowisku powyżej oczekiwań.

Już za PiS, gdy przyszedł Waszczykowski, też znalazła się w grupie tych, na których minister chce się opierać. Była podsekretarzem stanu, a gdy w ekipie rządzącej wybuchła panika, bo zbliżał się termin objęcia przez Polskę stanowiska niestałego członka Rady Bezpieczeństwa, a nie wiadomo było, kogo do Nowego Jorku wysłać, jej kandydatura okazała się wybawieniem. Ku wielkiej wściekłości pisowskiego betonu Wronecka pojechała do ONZ. Tenże beton parokrotnie stawał na głowie, by ją odwołać, wypominając jej Cimoszewicza i Geremka. Albo to, że rosyjscy komicy nagrali prześmiewczą rozmowę z prezydentem Dudą, udając sekretarza generalnego ONZ. W tym przypadku atakowano ją, bo to placówka w Nowym Jorku miała potwierdzić, że do Dudy dzwoni António Guterres. Ale okazało się, że w tym czasie Wronecka była na urlopie w Polsce…

A teraz w ogóle jest od pisowskich humorów uniezależniona, bo sekretarz generalny ONZ powierzył jej rolę koordynatora. Wronecka zatem odchodzi z ambasady w Nowym Jorku, na jej miejsce jedzie prezydencki minister Krzysztof Szczerski. Ale to już temat na inną opowieść.

Attaché

Szyici biorą udział w procesji upamiętniającej śmierć zięcia Mahometa, imama Alego. Lahore, 4 maja.

FOT. ARIF ALI/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 829cbd8022

JOLKA

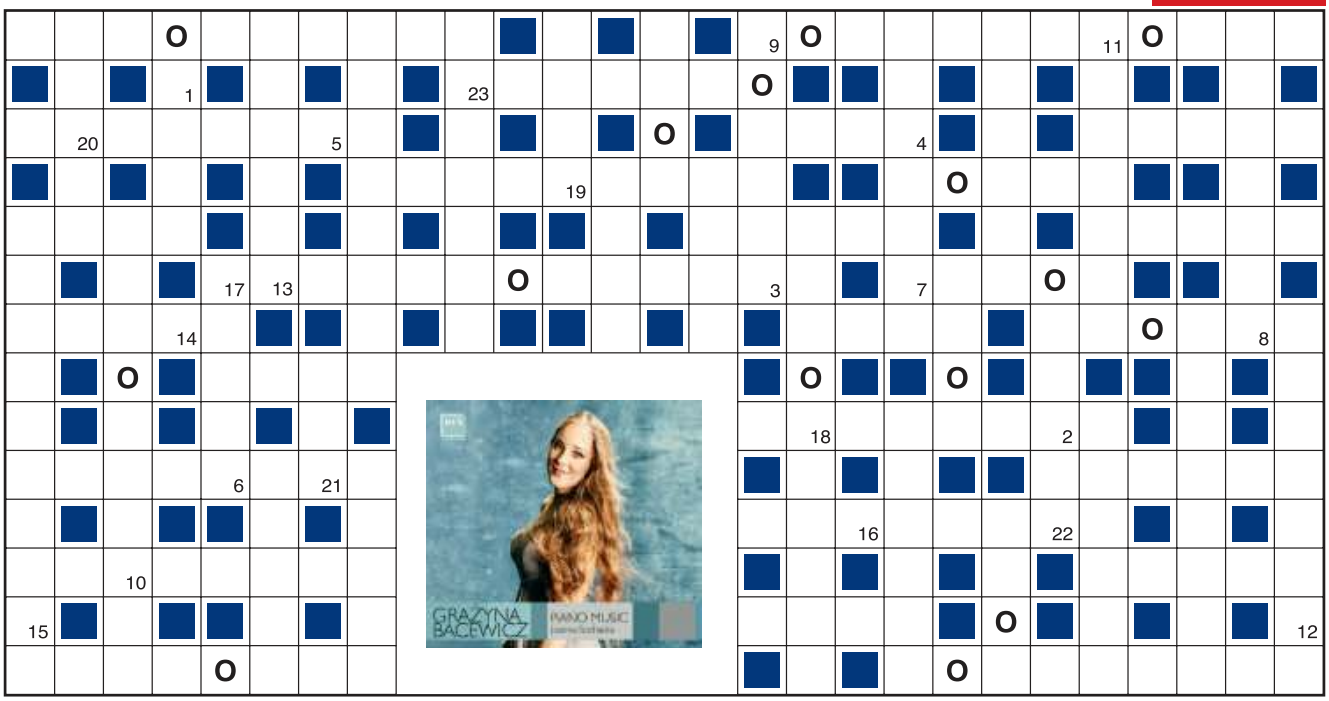

1	2	3	4	5	6	7	8	9

10	11	12	13	14	15	16

17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery O ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- gaz stosowany do spawania i cięcia metali
- z fotografiami albo reprodukcjami dzieł
- imię rzeźbiarki Szapocznikow
- jest ziemno-wodna
- bohaterka powieści Lucy Maud Montgomery
- roczniki
- pies z „Wyprawy pod psem" Makuszyńskiego
- największa operacyjna jednostka wojskowa
- w dawnej Polsce najwyższy sąd dla miast
- …Partenos, dzieło Fidiasza
- reprezentuje realną osobę w wirtualnym świecie
- Kryzys lub Lotna Opozycji
- ten z lewej nogi jeszcze głupszy?
- kobieta naprawiająca odzież lub wykańczająca tkaniny w fabryce
- do wyciągania gwoździ, cięcia drutu
- Piotr z kościoła św. Jakuba w Sandomierzu
- człowiek niezaradny i niezdarny
- marzyciel, utopista
- i lepianka, i dół wypełniony wodą
- narzutowe to eratyki
- gruchający ptak
- brak jej wiedzy, dyletantka
- potentat w branży meblarskiej
- skóra na ściereczkę do okularów
- …pamięci z pamiątkami po osobistości lub wydarzeniu
- dynia szparagowa
- wykonany z przepychem, ale bez gustu
- uczestnik Tour de Pologne, Giro d'Italia
- bajerantka, szachrajka
- figura w tańcu lub typ kwiatostanu
- drwienie, szydzenie
- Wientian jego stolicą
- „ciut dłuższy" niż maj (o literkę)
- figurowy lub panczenista
- jadło to było nie dla jarosza
- cnota Emilii im ofiary nie pali w „O Potwarzy" Węgierskiego
- …ludności ze wsi do miast
- dobierze szkła
- może się stępić
- odcinek sieci przewodów biegnący przez kondygnacje
- pojazd do przygotowywania tras narciarskich
- klub z Madrytu i waluta Brazylii
- spiekota, żar
- o stanowisku, wysokim urzędzie
- skrzydło wiatraka
- jego jesień w tytule monografii Huizingi
- był nazywany mydelniczką
- utwór dramatyczny i nieszczęście
- przetaczanie krwi
- np. sztablatura
- skomponowana jako wstęp np. do opery
- …przedsionkowo-komorowe w sercu
- absolwentów lub harleyowców
- przeciwieństwo laika

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1012". Do rozlosowania CD „Joanna Sochacka. Grażyna Bacewicz. Piano Music" ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 16 maja 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1009" z nr. 17: *Plotka też się starzeje.*
Nagrody otrzymują: Józef Dymalski z Wrocławia, Elżbieta Lewandowska z Warszawy, Janina Nowak z Kłodawy.

eprasa.pl 829cbd8022

PENETRACJE

RZECZPOSPOLITA

PROF. ANDRZEJ LEDER, FILOZOF, PSYCHOTERAPEUTA

To, jak działania PiS w gruncie rzeczy pogłębiają rozwarstwienie, szczególnie widać w edukacji. Po reformie likwidującej gimnazja wszystkie szkoły prywatne w wielkich miastach przeżywają nieprawdopodobny bum, bo klasa średnia chce uciec ze szkolnictwa publicznego. W związku z tym szkolnictwo publiczne zaczyna się zapadać, a za tym pójdzie obniżanie się poziomu edukacyjnego całego polskiego społeczeństwa. Do tego pandemia sprawiła, że ok. 30% najsłabszych uczniów wypada z systemu. Podobnie jest ze służbą zdrowia. Z mieszkalnictwem.

POLSKA

WITOLD BEREŚ, DZIENNIKARZ, AUTOR KSIĄŻEK, SCENARZYSTA

Pilch zachwycał się absolutnie wszystkimi kobietami, może niektórymi zachwycał się bardziej. Pracując w galerii Andrzeja Mleczki, stawiał najbardziej sprośne rysunki na najwyższej półce, tak by dzieci nie mogły się do nich dostać. Za to kiedy wchodziły panie, Pilch siadywał na fotelu i zachęcał, by klientka sama sięgnęła po interesujący obiekt na półkę. Nic nie było wówczas bardziej zmysłowego niż widok kobiet nie na obcasach, które muszą wspiąć się na palce, by „Mleczkę" sobie wziąć.

FORUM MYŚLI WOLNEJ

PIOTR AUGUSTYNEK, SEKRETARZ REDAKCJI

Oto z otoczenia ministra Czarnka wyłonili się bezobjawowo myślący ludzie, którzy w roku 2021 chcą nasze społeczeństwo (przepraszam, NARÓD) wepchnąć w obszary fanatyzmu religijnego, wszystkiego, co więzi wolną myśl i uniemożliwia uczniowi zadawanie pytań. Pojawiają się pomysły, aby nauczać tylko tych treści, które mieszczą się w ramach doktryny Kościoła katolickiego. Przypominam: średniowiecze skończyło się prawie 600 lat temu.

TVP STYL

MARTA MANOWSKA, AUTORKA PROGRAMÓW TELEWIZYJNYCH

Podzielam filozofię: bój się i rób. Niedawno półtorej godziny przed emisją jednego z programów na żywo dowiedziałam się, że muszę go poprowadzić sama, bez partnera. Jakby bomba wybuchła mi w brzuchu. Ale pomalowałam się, uczesałam, wyprosiłam wszystkich z garderoby, przemówiłam do siebie: „Uczestnicy mają tyle pięknych rzeczy do powiedzenia, że nie zrobią tego sami, musisz tym zarządzić. Zrobisz to dobrze, a w domu czeka szampan!". I pierwszy raz wyszłam do live'a na luzie, choć mogłam liczyć tylko na siebie.

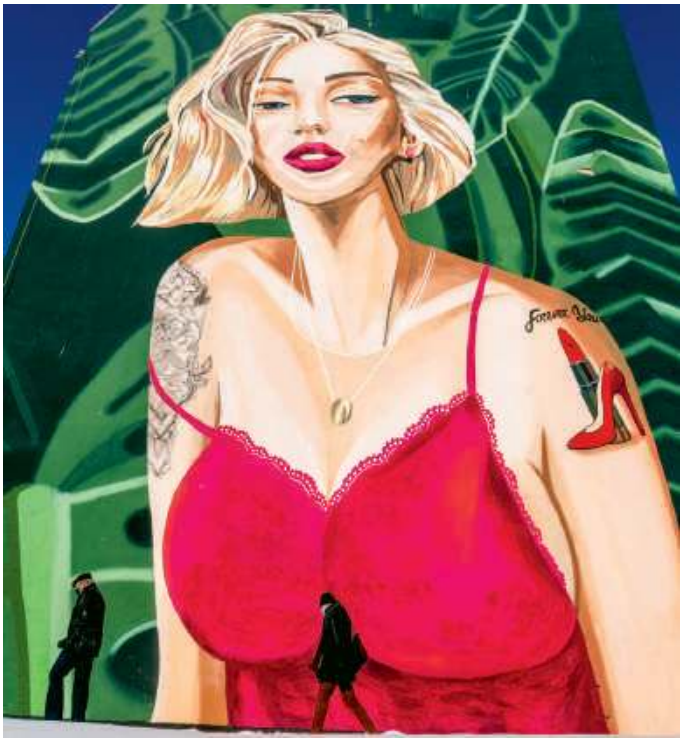

Dojrzała kobieta nic nie musi, wszystko może – mural przy ul. Kasprzaka w Warszawie.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

Aby język giętki…

ANDRZEJ STASIUK O SYTUACJI W POLSCE

Z miesiąca na miesiąc coraz bardziej śmieszno i bardziej straszno.

ADAM MICHNIK O IPN

Uważałem IPN za grupę przestępczą, którą trzeba będzie kiedyś do więzienia zamykać.

RAFAŁ MATYJA O MATEUSZU MORAWIECKIM

Opowiadania, jakie snuje, są słabe. To jest coraz bardziej drętwa mowa.

PROF. MICHAŁ LEW-STAROWICZ O FANTAZJACH EROTYCZNYCH

Mogą być sposobem na odreagowanie tego trudnego okresu. W okresie pandemii znacząco wzrósł ruch na stronach porno.

ALEKSANDER HALL O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Nie buduje nowych instytucji, tylko niszczy te istniejące lub sprowadza je do tworów karykaturalnych, pozbawionych autorytetu.

HALINA MLYNKOVA O KORONAWIRUSIE

To był czas licznych kryzysów zawodowych i prywatnych. Weryfikacja nastąpiła u wielu bliskich mi osób.

JUSTYNA KOWALCZYK O MARATONACH NA NARTACH

Niewielu doświadczyło maksymalnego 60-kilometrowego wysiłku po skutym lodem Bajkale lub startu na szczycie wulkanu.

KATARZYNA GROCHOLA O MĘŻCZYZNACH

Gdy komuś raz i drugi mówię: „proszę, nie dotykaj mojego kolana", to za trzecim razem powiem „spier…".

CEZARY ŻAK O SOBIE

Wolę być dla siebie surowy, niż sobie pobłażać. To się chyba nazywa zdrowy rozsądek.

EWA WACHOWICZ O PREZENCIE

Najpiękniejszy prezent, jaki dostałam, to lot helikopterem nad górami.

eprasa.pl 829cbd8022

Nabiałem w pandemię

Południowokoreańska policja wszczęła śledztwo w sprawie producenta jogurtów, który ogłosił, że są one skuteczne w zwalczaniu SARS-CoV-2 oraz wirusa grypy. Firmie, której ekspert przedstawił takie informacje podczas sympozjum naukowego, zarzucono złamanie zakazu stosowania reklam, które mimo braku twardych dowodów sugerują, że dany wyrób może być skuteczny w leczeniu chorób. Jogurtowcy przeprosili za swoje zachowanie, ale jednocześnie zapewnili, że wstępne badania wykazały antywirusowe właściwości ich asortymentu. Jeśli te wieści się potwierdzą, lecimy otworzyć butelkę – maślanki, rzecz jasna.

Wszystko na sprzedaż

W Nowej Zelandii federacja rugby zdecydowała o sprzedaży 12,5% udziałów w reprezentacji narodowej. Przypomnijmy, że mowa nie o byle kolektywie, ale o trzykrotnym mistrzu świata, popularnym na całym globie m.in. ze względu na wykonywanie przed meczami efektownego tańca wojennego Maorysów. Nabywcą jednej ósmej słynnych All Blacks jest fundusz inwestycyjny Silver Lake, który posiada już m.in. 10% tegorocznego finalisty piłkarskiej Ligi Mistrzów, drużyny Manchester City. Ciekawe, ile zielonych można by dostać za pakiet kontrolny biało-czerwonych.

Odwaga zaczyna się po trzydziestce

Kierowca, który po pijaku dachował na trasie Węgorzewo-Kal, przedstawił dość zaskakujące powody swojej podróży. Otóż od poprzedniego dnia mężczyzna wypił 30 piw i stwierdził, że nie da rady pracować, dlatego wsiadł za kierownicę, by poinformować o tym szefa osobiście. 30-latek, który wyszedł ze zdarzenia z lekkimi otarciami, odpowie za kierowanie pojazdem w stanie nietrzeźwości i za spowodowanie kolizji. Jak zwykle: same problemy z tą odwagą cywilną.

Modowy odlot

Niepraktyczna męska torebka w kształcie samolotu, która właśnie trafiła na rynek, kosztuje więcej niż niektóre prawdziwe maszyny. Mowa o skórzanym dodatku marki Louis Vuitton, zaprojektowanym przez Virgila Abloha. Aby zostać szczęśliwym (?) posiadaczem luksusowego gadżetu, trzeba mieć wolne 39 tys. dol., tymczasem dwumiejscową cessnę 150H można zdobyć już za 32 tys. dol. Gdyby snobizm umiał latać, nabywcom wspomnianych torebek samoloty byłyby niepotrzebne.

Toasty i testy

W Kopenhadze jeden z pubów oferuje test na COVID-19 plus piwo w oczekiwaniu na wynik. Testowanie odbywa się w specjalnej kabinie, a jeśli wynik jest negatywny, klient jest wpuszczany do wnętrza WarPigs Brewpub. Cały pomysł wziął się stąd, że w Danii wstęp do kawiarni, barów, restauracji czy muzeów przysługuje jedynie osobom wolnym od koronawirusa, tymczasem punkty darmowego testowania są oblegane. Zamiast stać w kolejce, zapewne niejeden zatroskany o swoje zdrowie postanowi na nią wstąpić!

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

eprasa.pl 829cbd8022

Czworonożni ulubieńcy transportowani przez właścicieli niczym lordowie – w Londynie i w japońskim Kawasaki.

Ale żywność to ty szanuj

Chińscy influencerzy, którzy w swoich filmach ostentacyjnie marnują jedzenie, będą odtąd musieli się liczyć z grzywnami, wynoszącymi nawet równowartość 60 tys. zł. Nowe przepisy obligują także restauracje do pobierania od klientów dodatkowych opłat, jeśli ci zostawią zbyt wiele na talerzach, ponadto zakazują nakłaniania gości do składania większych zamówień. W niektórych częściach Państwa Środka obowiązuje też zasada, że klienci lokali gastronomicznych powinni zamawiać jedno danie mniej, niż siedzi ich przy stoliku. Podsumowując: dalsze losy marnotrawców zapowiadają się marnie.

Szczepionkami i pracą ludzie się bogacą

Wirginia Zachodnia przekaże obligacje oszczędnościowe o wartości 100 dol. wszystkim osobom w wieku od 16 do 35 lat, które wezmą udział w szczepieniach przeciw COVID-19 – zapowiedział gubernator stanu, republikanin Jim Justice. – Młodzi mieszkańcy nie szczepią się tak szybko, jak byśmy chcieli – przyznał polityk. Akcja, która zostanie sfinansowana ze środków federalnego programu antykoronawirusowego, zapewne przekona część wahających się, nawet jeśli wielu z nich zamiast obligacji wolałoby zastrzyk gotówki.

FOT. A-MEM, FACEBOOK (2), TOBY MELVILLE/REUTERS/FORUM, CHARLY TRIBALLEAU/AFP/EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska, Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 829cbd8022

Wieczór

Gdzie wszystko można, nic nie trzeba

Marta Rynkiewicz należy do pokolenia młodych twórców posługujących się tradycyjnym medium malarskim. Jest to sztuka inspirowana doświadczeniem wewnętrznym, jednak artystka nie unika refleksji nad współczesnością. Interesuje ją napięcie między naturą a kulturą – choć może przedstawione nie w sposób bezpośredni, raczej skonstruowane na zasadzie poetyckiej metafory i skojarzeń. Tajemnicze przestrzenie obrazów, egzotyczne krajobrazy i widoki zabytkowej architektury wypełnione są ciszą. Bez ludzkiej obecności emanują pozornym spokojem, atmosferą oczekiwania.

Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie
plac Zdrojowy 2
do 6 czerwca

Niebiański ogród

U celu podróży

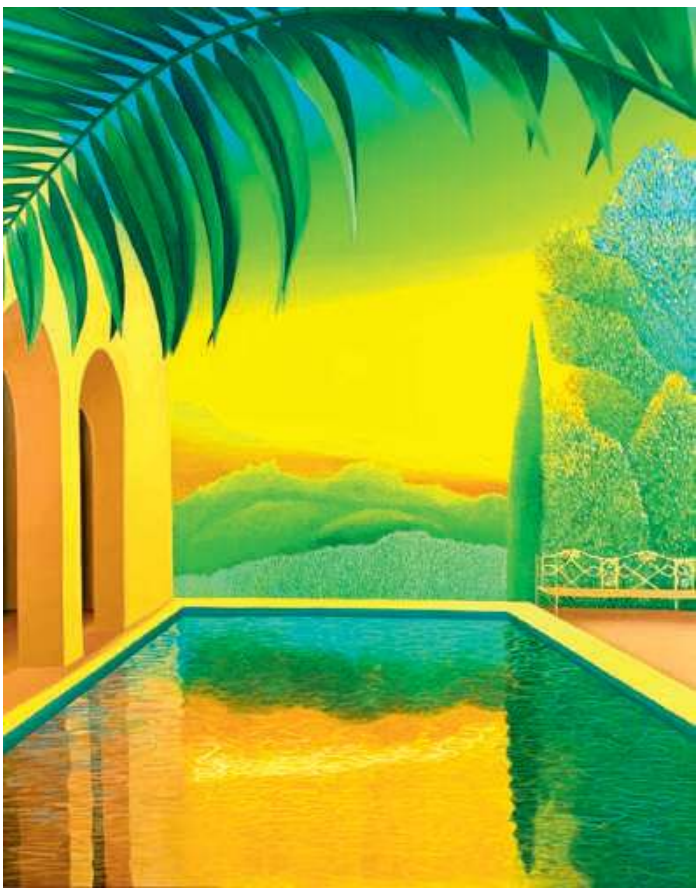

Rozgrzany

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 829cbd8022

W ciągu 12 lat działania Fundacji DKMS zarejestrowaliśmy ponad 1,7 miliona potencjalnych Dawców szpiku i komórek macierzystych.
Każdego dnia kolejni Dawcy z naszej bazy dają szansę na życie chorym na białaczkę i inne nowotwory krwi zarówno w Polsce, jak i na świecie.

PRZYŁĄCZ SIĘ DO WALKI Z NOWOTWORAMI KRWI!
ZOSTAŃ POTENCJALNYM DAWCĄ SZPIKU I KRWIOTWÓRCZYCH KOMÓREK MACIERZYSTYCH.

Dowiedz się więcej i zamów pakiet rejestracyjny na **dkms.pl**

Fundacja **DKMS**
ul. Altowa 6/9, 02-386 Warszawa
T +48 22 882 94 00 • F +48 22 882 94 02 • kontakt@dkms.pl • dkms.pl
DAROWIZNA: PEKAO SA 92 1240 6292 1111 0010 5530 0549

eprasa.pl 829cbd8022

Przekaż datek 62 1240 2294 1111 0000 3718 5444

eprasa.pl 829cbd8022